

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr II/254

1968



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

K. A. JELEŃSKI :

POETA I PRZYRODA

H. GRYNBERG :

WYGNANIE Z POLSKI

H. SKOLIMOWSKI : **XV KONGRES FILOZOFICZNY
W WIEDNIU**

P. PREISS :

PROPOZYCJA SYNTEZY

SPIS RZECZY

K. A. Jeleński:	<i>Poeta i przyroda</i>	3
Witold Gombrowicz:	<i>Fragment z dziennika</i>	23
Aleksander Hertz:	<i>Ptak, który kala...</i>	31
Henryk Grynberg:	<i>Wygnanie z Polski</i>	49

W I E R S Z E

Tadeusz Olasek:	<i>O domu, rozbiórce i z ruin powstaniu</i>	59
Stanisław Wygodzki:	<i>Wiersze</i>	63

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski:	<i>„Następny do raju”</i>	71
Londyńczyk:	<i>Kronika angielska</i>	78

K R A J

Paulina Preiss:	<i>Próba syntezy</i>	86
Bogdan Mieczkowski:	<i>Bezrobocie w systemie komunistycznym</i>	92

SPRAWY I TROSKI

George J. Flemming:	<i>Antypody (2)</i>	101
Edward Puacz:	<i>Nowy Kongres Polonii</i>	108

KRONIKA KULTURALNA

Henryk Skolimowski:	<i>Kongres Filozoficzny w Wiedniu</i>	110
Adam Sutkowski:	<i>Galeria Wilanowska</i>	119
—	<i>Komunikaty</i>	124
	a) Nagroda literacka dla W. Iwaniuka	
	b) Subskrypcja na dzieło prof. St. Kościółkowskiego	
	c) Jubileusz Instytutu im. J. Piłsudskiego	
	d) „Zeszyty Historyczne”.	

K S I A Ź K I

E. Żagiell:	<i>Wspomnienia kowieńskie</i>	127
Benedykt Heydenkorn:	<i>O Polakach w Kanadzie</i>	129
Mieczysław Sławiński:	<i>Toronto, Tronto, Trana</i>	136
Jan Weinstein:	<i>„Ostatni polscy rycerze”</i>	140
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	142



J. Korson:	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	144
J. Bisping, A. Ciołkosz, B. J. Jenne, St. Korboński, P. Raina, K. Symonolewicz-Symmons, Związek Dziennikarzy R.P. Syndykat Australia, oraz Zb. Rewski:	<i>Listy do Redakcji</i>	152

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Listopad - Novembre

1968

INSTYTUT



LITERACKI

NOTA BIOGRAFICZNA

Henryk SKOLIMOWSKI, ur. w 1930, w Warszawie. Studia: Politechnika Warszawska (Inżynieria) — Mgr. inż. 1956; Uniwersytet Warszawski (Filozofia) u Doktora Kotarbińskiego — Mgr. 1959; Oxford: D. Phil. in Philosophy (1964). Stanowiska uniwersyteckie: W latach 1964-68: Associate Professor of Philosophy at the University of Southern California, Los Angeles. Obecnie: Research Fellow, Linacre College, Oxford.

WPŁATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

(W ODPOWIEDZI NA APEL)

Jan Bober, Cardiff (W. Brytania)	F. 25,00
Carola Bloch, Tübingen (Niemcy)	F. 120,00
Zofia Czaykowska, Londyn	F. 24,50
Bogdan Czaykowski, Vancouver B.C. (Kanada)	F. 60,00
Z. Czudec, Toronto, Ont. (Kanada)	F. 45,00
Stanisław Janowski, Belgrad	F. 30,00
Janina Kościółkowska, Laloubère (Francja)	F. 24,50
Roman Królikowski, Johannesburg, po raz piąty	F. 100,00
Lech Krysiwicz, Montreal (Kanada), po raz szósty	F. 40,50
Janusz Laskowski, Paryż, po raz dwunasty	F. 100,00
Jan Leśniak, Londyn	F. 24,50
Feliks Mantel, Paryż	F. 100,00
Wojciech Matuszewicz, 59-Lambersart (Francja)	F. 25,00
Marian Pankowski, Bruksela, po raz drugi	F. 50,00
B. Rabkin, New York	F. 49,00
M. i E. Rybczyńscy, 92-Boulogne (France)	F. 125,00
Nina Sereda, Montreal (Kanada), po raz dwudziesty piąty	F. 49,00
Henryk Sęk-Sękalski, Lae, T.P.N.G. (Nowa Gwinea)	F. 24,50
Alfred Virski, Wiedeń	F. 98,00
Kazimierz Wierzyński, Londyn	F. 50,00
Janusz Zembrzusi, Paryż, po raz dziesiąty	F. 100,00
Janusz Żółtowski, Houston, Texas (USA), po raz trzeci	F. 4.900,00
S. Żytkiewicz, Rijswijk (Holandia)	F. 24,50
Bezimiennie, Bloomington (USA), po raz drugi	F. 98,00
Bezimiennie, 92-Bois-Colombes (Francja)	F. 33,00
Bezimiennie, Bruksela	F. 10,00
Bezimiennie, California (USA), po raz trzeci	F. 98,00
Bezimiennie, czytelnik z Polski, po raz czwarty	F. 98,00
Bezimiennie New York	F. 122,50
Bezimiennie, St. Max (Francja), po raz czwarty	F. 100,00
Anonimowo z Płd. Afryki — jako protest w sprawie Czechosłowacji	F. 110,00

DZIĘKUJEMY!

Poeta i przyroda

„Istoty od nicości odległość jest nieskończona”. Motto z „Gucia Zaczarowanego” (1962) mogłoby właściwie posłużyć za motto „Wierszy” Czesława Miłosza, zebranych w pięknym tomie wydawnym przez Oficynę Poetów i Malarzy (Londyn, 1967). Zmienia się tylko, z biegiem lat, postawa poety wobec różnych wersji tego samego problemu.

Wczesny „Hymn” (1935) zaczyna się słowami „Nikogo nie ma pomiędzy tobą i mną”, kończy słowami „Pomiędzy tobą i mną nie ma nikogo”. Inaczej mówiąc: istoty od nieskończoności odległość jest żadna — a ponieważ nie ma Boga („nie mam wiary”) — i „ja” i „świat” i „Bóg” to złudzenia. Jest już w tym wierszu cała kosmologia Miłosza, toczą się rzeki, wiatry chodzą między chmurami, „góry białe pasą się na równinach ziemskich, do morza idą, do wodopoju swego”. Jest również notatka z jednej z tych chwil olśnienia, kiedy wydaje się przez chwilę, że istnieją i „ja” i „świat” — więcej: że i „ja” i „świat” to jedno i to samo (podobnie jak dla Prousta, te chwile olśnienia, czy złudzenia, są dla Miłosza okupieniem nicości życia):

O ciemności!

*Zabarwiona pierwszym blaskiem świtu,
jak płuco wyjęte z rozszarpanego zwierza
kołyszysz się, zanurzasz się!
Ileż razy z Tobą płynąłem
zatrzymany pośrodku nocy,
słyszac głos jakiś nad twoim struchlatym kościołem,
krzyk cietrzewi, szum wrzosu w tobie się rozszerzał
i świeciły dwa jabłka leżące na stole
albo otwarte błyszczały nożyce —
— a my byliśmy podobni:
jabłka, nożyce, ciemności i ja —
pod tym samym, nieruchomym
asyryjskim, egipskim i rzymskim
księżycem.*

Jest dalej w „Hymnie” tak charakterystyczne dla Miłosza poczucie nietrwałości świata, ciągłej zmiany, heraklitowego „Panta Rei”. „Katastrofizm” przedwojennej poezji Miłosza przypisywano — przypisuje nadal on sam — przeczuciom kataklizmu historycznego. Wydaje mi się, że moment historyczny co najwyżej udramatyzował, nadał apokaliptyczny charakter egzystencjalnej, prywatnej intuicji że świat i życie ludzkie zbudowane są na piaskach ruchomych:

*Przemieniają się wiosny, mężczyźni i kobiety łączą się,
dzieci po ścianach rękami w półsenności wodzą,
ciemne lądy rysują palcem umaczanym w ślinie,
przemieniają się formy, rozpada się to co wydawało się
niezwyciężone!*

Wreszcie, mimo że „mnie jest dana siła”, poczucie że w ostatecznym rachunku nie znaczy to nic:

*Ciężką falą rozbiję się o brzegi jego
i odejdę, powrócę w wiecznych wód obszary,
i młoda piana falą nakryje mój ślad.*

„Już we wczesnym dzieciństwie” — pisze Miłosz w „Rodzinnej Europie” — „czerpałem poczucie wyższości z moich rozmyślań nad powszechnością śmierci: ci naokoło mnie się nie zastanawiają, ja się zastanawiam, tym samym góruję nad nimi”.

Tyle, że dwudziestoczteroletni Miłosz jeszcze silniej ma to przeświadczenie, które wyrazi w dwadzieścia lat później w wierszu o śmierci („Po drugiej stronie”, 1964): „Do końca nie wierzyłem że jak innych, mnie!...”

Przeciw nietrwałości świata, przeciw „wszystkiemu co minęło, wszystkiemu co minie”,

*...broni się młodość, czysta jak słoneczny kurz,
ani w dobrem, ani w złem nie rozmyślana,
pod twoje olbrzymie stopy podestana,
abyś jej głód, a innym dawał wino i chleb*

Dlatego

*Jeszcze nie odzywa się dźwięk rogu
zwołujący rozproszonych, leżących w dolinach.
Koło wozu ostatniego jeszcze nie dudni na grudzie...*

W „Guciu Zaczarowanym”, niemal trzydzieści lat później, poczucie że niczego nie można „osiągnąć” (z niczym współistnieć, a być może nawet istnieć naprawdę) staje się obsesyjne, powtarza się wielokrotnie:

Dane było życie ale niedosiężne...

Niemożliwe żebym umarł dopóki nie dosięgnę...

*I wznosiło się drzewo dalej niedosiężne,
O istne, o istliwe aż do rdzenia. Było...*

*A przestrzeń między mną i nią dzieliła się nieskończenie,
Hucząca pierzastymi strzałami Eleatów...*

*Ale ona też patrzyła na mnie jak na pierścienie Saturna.
I wiedziała że wiem jak nikt nie dosięga...*

„Niedosiężność” przeżywa również poeta w akcie samej twórczości („Po Ziemi naszej”, 1961):

*A słowo z ciemności wyjawione było gruszką.
Krążyłem dokoła niego podskakując to próbując skrzydełek.
A kiedy już — już piłem z niego słodycz oddalało się...
Na nic. Między mną i gruszką ekwipaże, kraje,
I tak już będę żyć, zaczarowany.*

Jednym z kluczy jest tu krótki poemat prozą „Esse” (1954):
*Na to mi przyszło, że po tylu próbach nazywania świata umiem
już tylko powtarzać w kółko najwyższe, jedyne wyznanie, poza
które żadna moc nie może sięgnąć: ja jestem — ona jest!”*
I koniec poematu (w którym spotkanie z młodą kobietą w paryskim metrze należy właśnie do przeżyć na chwilę druzgocących granice między sobą i światem, dających poczucie istnienia):
*Wysiadła na Raspail. Zostałem z ogromem rzeczy istniejących.
Gąbka, która cierpi bo nie może napełnić się wodą, rzeka, bo odbicia obłoków i drzew nie są obłokami i drzewami.*

Inny klucz w „Traktacie Moralnym” (1947), mimo że Miłosz, jak często w swych wierszach dydaktycznych, chce zwęzić w nim problem uniwersalny do jego współczesnych, dydaktycznych aspektów:

*Bo schizofrenia — rozdwojenie
Istoty na kwiat i korzenie,
Poczucie, że te moje czyny
Spełniam nie ja ale ktoś inny...
Nie sądz poza tym zbyt pochopnie,
Bo różne są obłędu stopnie
I z chęcią, czy też mimo chęci,
Wszyscy jesteśmy nim objęci...
Myśl co uważasz za stosowne,
Ja tutaj tylko ci przypomnę,
Że diabeł, jak z lektury wiem,
Jest séparé de lui-même...*

Jak uczy psychoanaliza, małe dziecko nie zdaje sobie sprawy, że jest tylko „sobą”, że nie zawiera świata, że nim nie rządzi. Oderwanie świadomości indywidualnej od zbiorowego wszech-

istnienia jest bodaj boleśniesz od przecięcia pępownicy i dlatego człowiek i o jednym i o drugim „zapomina”. O tym rozdarcu przypomina nam często poezja a poezja Miłosza — nieustannie. Czasem jest to temat wyrażony świadomie, wprost, jak w wierszu „Co znaczy” (1960):

*Nie wie że świeci
Nie wie że lata
Nie wie że jest tym a nie innym.*

*I coraz częściej z otwartymi ustami
Z gasnącym papierosem Gauloise,
Nad szklanką czerwonego wina,
Myślę o tym co znaczy być tym a nie innym.*

*Tak samo było kiedy miałem dwadzieścia lat.
Ale wtedy nadzieja że będę wszystkim,
Może nawet motylem i kosem, przez zakłęcie.
Teraz widzę zapyłone drogi powiatu
I miasteczko w którym urzędnik pocztą upija się co dzień
Z żalu że jest też sam, tylko ze sobą.*

*A gdyby tylko gwiazdy zamykały mnie
I gdyby tak się zwykle odbywało
Że jest tak zwany świat i tak zwane ciało.
Gdybym chciał być nie-sprzeczny. Ale nie.*

Heraklit, któremu Miłosz poświęca wiersz (1960), wyraźnie się z nim identyfikując, „lituje się nad nimi, (nad ludźmi), sam go-dzien litości”. Godzien litości jak twórca, gdyż „nawet syntaxis ciemna, jak mu zarzucano, słowa tak ułożone że z potrójnym sensem, niczego nie obejmą”. Palce w sandale, drobna pierś dziewczyny, pot i oliwa na twarzy marynarza, wszystkie przed-mioty, wszystkie stworzenia „uczestniczą w Powszechnym, osobno istniejąc”.

*Swoi we śnie i sobie już tylko oddani,
Z miłością do zapachu zniszczalnego ciała,
Do centralnego ciepła pod włosiem pubicznym,
Z kolanami pod brodą, wiemy że jest Wszystko
I tęsknimy daremnie. Swoi, więc zwierzęcy.
(To zdanie da się czytać w obie strony).*

Ale Heraklit jest również go-dzien litości:

*Bo torturował siebie, wybaczyć nie mogąc
Że chwila świadomości nigdy nas nie zmienia.*

Dramat jest zatem podwójny: świadomość odcina nas od Pow-szechnego, skazuje nas na istnienie osobne. Raj, do którego na-leżą jeszcze, szczęśliwie, nieświadomie, wilga i bóbr, jest na

zawsze utracony. Ale świadomość jest bezsilna, nigdy nas nie zmienia. Nie będziemy nigdy „czystymi dziećmi”.

Do mitu Raju utraconego dochodzi mit grzechu pierworodnego. W formie bezpośrednio autobiograficznej powtarza to Miłosz w wierszu „Nauki” (1957) zaczynając, charakterystycznie,

*Od tamtej chwili, kiedy w domu o niskich okapach
Doktor z miasteczka przeciął pępowinę...*

Nauki ludzi („od nich przejąłem nazwy ptaków i owoców”) znalazły, mówi poeta, granicę

*We mnie samym, a woła moja była ciemna,
Mało posłuszna, moim albo ich zamiarom.*

Włączeni w łańcuch materii, w ciąg biologiczny, zależymy od „skazy”, od „kalektw” przodków.

*Inni, których nie znałem, czy tylko z imienia,
Stąpali we mnie i ja, przerażony,
Słyszałem o sobie skrzypiące pokoje.
Dokąd się nie zagląda przez dziurkę od klucza.*

Dziedziczność, determinizm, ciężar bytu:

*...To mnie poniżało,
Że gotów byłbym krzyczeć: Wy, odpowiedzialni,
Przez was nie mogę zostać kim chcę, tylko sobą!*

Charakterystyczny jest obraz grzechu pierworodnego, który następuje, gdyż jest to grzech przeciw „Powszechnemu istnieniu”, przeciw jedności z każdym stworzeniem:

*Słońce padało w książce na grzech pierworodny,
I nieraz, kiedy huczy w trawach popołudnie,
Wyobrażałem sobie dwoje, z moją winą,
Jak depczą osę pod rajską jabłonią.*

W „Rodzinnej Europie”, Miłosz wspomina swe chłopięce zmagania „z pięknem i równocześnie z matematycznym okrucieństwem wszechświata” i podobnie podstawia śmierć pod erotyzm: „zdeptywałem gąsienicę na ścieżce, jak się popełnia seksualny występki: chciałoby się tego nie robić, ale robimy to, bo żyjemy na ziemi, włączeni w obrót rzeczy”. Trudno nie wskazać tu na uderzającą analogię z jedną z kluczowych scen „Pornografii” Gombrowicza, kiedy Karol i Henia wspólnie rozdeptują glizdę, co stanowi ich pierwszą świadomą więź erotyczną. Więc łączy Miłosza z Gombrowiczem niż przypuszcza polska krytyka (niż może do niedawna przypuszczali oni sami). Ustęp o „zbawianiu żuków” na plaży z gombrowiczowskiego „Dziennika” —

to również jego wspólny z Miłoszem teren. Wspólny teren, może wynikający z pokrewieństwa obu pisarzy z dwoma prądami filozoficznymi, jednym prastarym (ale jakże aktualnym), drugim najnowszym: z gnozą i z ahumanizmem.

Zamiarem Miłosza w „Rodzinnej Europie” było „patrzeć na siebie jako na obiekt socjologiczny” z zachowaniem „szacunku dla tych piwnic, które są w każdym i które lepiej zostawić w spokoju”. Mimo to, z całej jego prozy, jedynie kilka stron tej właśnie książki nie pomija tych rzeczy najważniejszych, które są dziedzina jego poezji. Jest to — charakterystycznie — rozdział pt. „Wychowanie katolickie”.

„Moimi ulubieńcami — pisze tam Miłosz — byli gnostycy, manichejczycy i Albigeni. Nie zasłaniali się przynajmniej ogólnikową wolą Boga, żeby usprawiedliwić okrucieństwo. Konieczność rządząca wszystkim co jest w czasie nazywali dziełem złego demiurga, przeciwstawianego Bogu, który w ten sposób wyłączony poza nawias przebywał w sferze jemu tylko właściwej, wolny od odpowiedzialności, jako przedmiot pragnień... Dualistyczna gorycz, Absolut ocalony za tę cenę, upajały mnie jak chropawa powierzchnia po głodziźnie, której nie da się uchwycić. Autorzy podręcznika ostro potępiali rozpustę, uprawianą przez niektórych manichejczyków jako środek „walki z ciałem”, ale nie wydawało mi się to przekonujące. Rozumiałem nieźle ten przeskok psychiczny: jeżeli jesteśmy w mocy zła, trzeba robić niejako na złość, zanurzyć się w nim tak głęboko jak to tylko możliwe, żeby pogardzać sobą jak najbardziej... Współistnienie nędzy cielesnej i aspiracji duchowej, z pewnym spokojem traktowane przez katolicyzm, sprzeciwia się... skrajnym skłonnościom młodzieńczej duszy; Chce ona rozstrzygnąć: niech będzie albo, albo. Stąd mój pociąg do manichejczyków”.

W wierszu „Do księdza Ch.” (1934) charakterystycznie dedykowanym szkolnemu prefektowi, temu „Chomikowi” o którym pisze Miłosz w „Rodzinnej Europie” że zawdzięcza mu „wrażliwość na zapach siarki piekielnej, zasadniczy dualizm, trudności w nawiązaniu przyjaźni z tym drugim w nas, nad którym nie panujemy, a musimy przełykać wstyd za niego” pojawia się już ta nuta manichejskiej odmowy świata i trudności życia.

*Twoje usta śnię często. Ich grymas niesławny
długo uczył pogardy wszystkiego prócz zgonu.
Dziś ja, uczeń, poznałem nicość form powabnych,
i otośmy już obaj z jednego zakonu...*

*Pogodzeni jesteśmy po długim skłóceniu,
wiedząc, że z szczęścia ludzi kamień na kamieniu
nie zostanie...*

Nic dziwnego, że motyw ten, nieco retoryczny u dwudziestoletniego poety, powtarza się bardziej przejmująco w trzydzieści lat później:

*Panie doktorze, boli mnie.
Nie tu. Nie, nie tu. Sam już nie wiem.*

Może to nadmiar...

*... picia do lustra, bez wody,
choć miało się być czymś w rodzaju archaniota
albo świętego Jerzego na świętojerskim prospekcie.*

Zresztą — na co tu doktor, co tu może zachodnia, „chrześcijańska”, materialistyczna cywilizacja?

Panie znachorze, boli mnie.

Zawsze wierzyłem w gusa i zabobony.

*Naturalnie, że kobiety mają tylko jedną,
katolicką duszę.*

Ale my mamy dwie. Kiedy zatańczysz

We śnie odwiedzasz odległe pueblós

I nawet ziemi nigdy nie widziane.

Wtóż proszę Ciebie, amulety z piór...

Powiedz, będę czekać, co widziałeś”.

(„Dużo śpię” 1962)

W tymże wierszu Miłosz poprzedza te wezwania skargą, że

*Byłem odważny. Pracowity. Prawie wzór cnoty
Ale to nie przydaje się na nic.*

Mimo woli przychodzi na myśl część twórczości eseistycznej Miłosza, w której jest on moralistą, powołuje się na Simone Weil i na Ignazia Silone i uważa, że kluczowym dla współczesnego człowieka jest wymiar historyczny. W prozie Miłosza wypowiada się jedna tylko jego dusza. Ten Miłosz dzienny, konstruktywny, niemal Miłosz-humanista, jest świetnym pisarzem, wnikliwym krytykiem i psychologiem, ale wystarczy odczytać zebrane „Wiersze”, dzieło wielkiego poety i naprawdę odkrywczego artysty, aby zgodzić się z Gombrowiczem, który już w r. 1953 („Dziennik”) widział w Miłoszu „rasowego konia” ale polemizował „z jego chomątem, z tym wozem wypełnionym skrupułami, które mu przeszłość jego doczepiła”.

Wie to sam Miłosz, przynajmniej w tych podziemiach świadomości z których bije źródło jego poezji. Cytowałem już z „Po Ziemi Naszej” jego wyznanie przepaści między nim samym a rzeczywistością, oraz pełne rezygnacji stwierdzenie:

„I tak już będę żyć, zaczarowany...”

Powtarza się ta metafora w samym tytule wiersza, który jest transpozycją autobiografii i subtelną auto-ironią: „Gucio zaczarowany”. Prawdziwe życie Gucia — to ta chwila kiedy „zamieniony w muchę” bada meandry kwiatowego wnętrza.

*A choć trwało to nie dłużej niż od podwieczorku do kolacji
Zawsze potem, kiedy miał prasowane spodnie i strzyżone włosy,
Myślał, trzymając szkło z alkoholem, że ich oszukuje,
Bo mucha nie powinna rozmawiać o narodzie i o wysokości
produkcji.*

Na szczęście, w swej poezji Miłosz jest najczęściej „muchą”, z rzadka zajmuje się „narodem” i „wysokością produkcji”.

Postaram się wykaazać dalej jak bardzo we wspaniałym „Traktacie Poetyckim” Miłosza „Duch Ziemi” góruje nad „Duchem Dziejów”. Istnieje jednak krótsza, mniej „sprzeczna” Ars Poetica Miłosza — jest nim wiersz „Do Tadeusza Różewicza poety” (1948):

Poeta

*... ma dom w igle sosny, w krzyku sarny.
W eksplozji gwiazd i wnętrzu ludzkiej dłoni,
Zegar nie mierzy jego pieśni. Echo
Jak w środku muszli starożytność morza
Nigdy nie umilknie...*

Innymi słowy — w poezji Miłosza wypowiadają się obie jego dusze: umie on być swoim własnym znachorem.

Jedno z uporczywych marzeń na jawie poety, to nietrwałość piękna i uroku, które łączy on z atlasami „dam minionego czasu” — z mitem zmarłej księżniczki. Utożsamienie jest tu silniejsze niż u Villona. We wzorowanej na jego balladzie „Skardze dam minionego czasu” (1944) oddaje Miłosz głos samym damom, kolejno odzieranym z sukien fałdzistych, pereł, płatków spalonych wstążek, pierścieni, aż

*... gdy jutrzienka z morza wstała przeźroczysta
Nago szłyśmy w nowego Babilonu murach
Coś przypomnieć próbując ze zmarszczonym czołem.*

W dwadzieścia lat później powraca ten motyw w „Traktacie Poetyckim”:

*Belinda z wielką stopą, Julia, Thais
Włochatość seksu zakrywają wstążką,*

*Pokój księżniczkom pod tamaryszkami.
O farbę powiek bił im wiatr z pustyni
Zanim pszenica w grobowcu zasnęła,
Zanim umilknęła kamień i jest litość.*

W pięknym wierszu „Nic Więcej” (1957), Miłosz pisze, że „nie wątpiłby” o swej sztuce, gdyby

*... mógł weneckie kurtyzany
Opisać jak w podwórzu wiską drażnią pawia,
I z tkaniny jedwabnej, z pertowej przepaski
Wyłuskać ociężałe piersi, czerwonałą*

*Pręgę na brzuchu od zapięcia sukni...
I gdybym jednocześnie mógł ich biedne kości
Na cmentarzu, gdzie bramę liże tłuste morze,
Zamknąć w słowie mocniejszym niż ostatni grzebień,
Który w próchnie pod płytą, sam czeka na światło.*

Możemy już powiedzieć, że nie powinien nigdy wątpić. W tym wierszu dwie kurtyzany Carpaccia (na weneckiej „altanie” drażniące pawia) żyją silniej bodaj niż na obrazie — żyją bowiem ubrane i rozebrane, trwają żywe — i martwe.

Nic dziwnego, że wracając po latach do Paryża („I świeciło to miasto”, 1963) Miłosz powraca do Luwru

*Do mego domu w gablotce granitowego muzeum
Koło czernidła do rzęs, alabastrowych stoików,
Menstruacyjnych przepasek egipskiej księżniczki.*

Wreszcie — w obu wierszach Miłosza które uważam za jego arcydzieła, motyw ten jest ujęty w obsesyjnej formie.

W „Po Ziemi Naszej” zdegradowany, przywrócony do barbarzyńskiego pra-bytu Miłosz-Cabeza pyta:

*Kim jesteś, koronki mankietów
Nie moje, stół z lwami nie mój, wachlarz dony Klary,
Jej atlasowy trzewiczek spod sukni — no nie.*

W „Guciu zaczarowanym” zaś,

*Dużo, jak na jedno życie, tych poranków.
Z zamkniętymi oczami byłem wielki i mały,
Nosilem pióra, jedwab, żaboty i zbroje,
Suknie kobiece, zlizywałem róż.*

„Druga dusza” Miłosza wyraża również w jego poezji zawartość tych „piwnic, które są w każdym i które lepiej zostawić w spokoju”. Na próżno stara się on je zaryglować:

*Może to tylko moja miłość
Za siódmą rzeką. Tam brud subiektywny,
Obsesja, chronią na zawsze dostępu.*

(„Traktat Poetycki”)

W „Guciu zaczarowanym” wspomnienie z dzieciństwa (poeta bawi się w Indianina, w „barbarzyńcę”) przechodzi zaraz w ewokację pierwszego wstrząsu erotycznego:

*.... gra i równocześnie mała siada na nocniczek
Złaząc z huśtawki podnosi sukienkę
I ze mną, albo ze swoim kuzynem robi rzeczy nieprzyzwoite.*

W charakterystycznym dla poezji Miłosza odbiciu lustrzanym, ten sam motyw powtarza się odwrotnie w „Po Ziemi Naszej”:

*Leci w chmurę huśtawka i patrzącym z dołu
Oddech zapiera ciemność pod spódnicą.
Któż nie marzył o zamkach markiza de Sade?
Kiedy... zaciera się ręce
I do roboty: rozdzierać ostrogą
Panienki do wyścigu ustawione w rzędzie
Czy gołym zakonnikom w siatkowych pończochach
kazać smagać się batem gryząc prześcieradło.*

Następuje motyw, który poprzedzał „Huśtawkę” z Gucia. Poeta już „nie bawi się” w Indianina, ale identyfikuje się z Cabezą, który przez siedem lat był niewolnikiem Indian, był ich przepowiedzianym bogiem, brodaty, białoskóry, bity jeżeli nie udał się cud:

*Na czworaki! Na czworaki!
Farbą wojenną pomalować uda,
Ziemie lizać. Wha, wha, hu, hu.*

Cóż na tym poziomie świadomości i prawdy znaczy ów wymiar historyczny do którego Miłosz wydaje się przywiązywać w swej prozie tak moralizujące znaczenie? Odpowiedź w jego poezji jest niemal zawsze jednoznaczna: historia jest złudzeniem, zaś „sens historyczny” co najwyżej eliksirem młodości.

Pierwszy z zebranych „Wierszy” („Bramy Arsenалу”, 1934) otwiera obraz żywej natury, której przeciwstawiona jest skamieniała, martwa historia i kultura:

*Czułe zwierzęta, wierne, milcząc ze spokojem
obszar parków śledziły, mrużąc lekko szpary
swoich oliwnych oczu. Posągi zbierały
liść kasztanów na głowy i z kamiennym zwojem
praw dawno przeminionych albo śladem miecza
sży oblepione nowych jesieni wawrzynem
nad wodę, gdzie okręcik papierowy płynął.*

To co rzekomo trwa (posąg) nie jest bynajmniej ważniejsze od tego co przemija, co należy do jedynie poważnej, niepowtarzalnej sfery życia: do „gry” i dzieciństwa (okręcik papierowy). Warto ten wiersz zestawić z innym, napisanym w dwadzieścia pięć lat później, którego oczywistym tematem jest koniec siły magnetycznej komunizmu, desakralizacja historii po mowie Chruszczowa i polskim październiku („Co było Wielkie”, 1959 — charakterystycznie poświęcony Aleksandrowi i Oli Watom):

*Co było wielkie, małem się wydało
Królestwa bładły jak miedź zaśnieszona.*

*Co poraziło, więcej nie poraża.
Niebiańskie ziemie toczą się i świecą.
Na brzegu rzeki, rozciągnięty w trawie
Jak dawno, dawno, puszczam łódki z kory.*

„Królestwo”, które jak głowa meduzy fascynowało poetę w „Zniewolonym umyśle” okazało się jeszcze jednym z „posągów” („miedź zaśniewzona”). Można więc ze spokojnym sumieniem powrócić do rzeczy poważnych: okręciaków z papieru, łódek z kory. „Pomnik” — to również to w co nas przemieni śmierć, łącznie z tym co w nas najbardziej żywe:

*Złączeni jednym węzłem dziedziczenia
Sptyniemy z świata skamieniałych ust.
Aż pianę kruchą na udach z kamienia,
W pomnika część zamieni bystry wzór.*

(„Przesłanie”, 1933/34)

W innym wierszu („Podróż”, 1942) poeta jeszcze silniej przeciwstawia próżność historii (najbardziej „bohaterskiej”) jedyne-
mu życiu którym jest natura nawet w swych najbardziej nietrwałych przejawach:

*Poprzez kratę widziałem w obłoku zieleni
Tłum posągów — biel ostrą jak biel górskich śniegów
Padający, wstający, zerwani do biegu
Stali, wrzosami natchnień w kamień zamienieni.*

*Na otwarte do krzyku policzki tytana
Siadał motyl i skrzydła rozkładał. Widocznie
Zebrała się w kamiennych ustach rosa ranna
I motyl jej dotykał, zanim lot rozpocznie.*

Natura jest bowiem „Krainą Poezji” (1942). Znajdziemy w tym wierszu po raz pierwszy obraz, który się często będzie odtąd u Miłosza powtarzał — owada w kielichu kwiatu:

*Tam śnieżna góra jest pienistą falą,
Co trwa sekundę na równinie móż.
Nim w głąb upadnie, gdzie się perły palą,
Trzmiel z tulipana strząśnie żółty kurz.
Nim nowa fala, księżycem zwabiona,
Kłęknie i czoło powoli podźwignie,
Tysiącolecie ludzkie jedno skona,
A Trzmiel w kielichu tulipana zniknie.*

Dodajmy, że w tymże wierszu powraca raz jeszcze motyw posągu w bardzo ciekawym kontekście. Poeta — pamiętajmy, że jest to wiersz pisany w Warszawie, w trzecim roku okupacji —

wyznaje, że zaznał klęski, „dosięgł lat dojrzałych patrząc na gruzy i zgłiszczą”. Czy historia może w tych okolicznościach zabić poezję?

*Jeżeliś nie chciał mówić odtąd nic,
Bo zapytałeś — po co, czy to warto
Strasliwy posąg, skamieniały krzyż
Ubierać farbą
To wiedz, że ona blisko, żeś jest tuż.*

Poezja bowiem —

*Jest jak świtania dalekiego wstążka,
Rosa o brzasku, czeremchy gałązka,
A gdyś opłakał ją — ona przed tobą.*

Niezwykła wrażliwość Miłosza na naturę i, co ważniejsze, pierwsze w polskiej literaturze odważne przedsięwzięcie przekazania w słowie nie tylko jej zewnętrznego „piękna”, ale części jej biologicznej tajemnicy, przepaści pomiędzy człowiekiem i przyrodą i jedności człowieka z przyrodą, wyrażać się będzie zawsze równolegle w wizji kosmicznej (makrokosmosu) i w wizji szczegółowej, drobiazgowej (mikrokosmosu).

Tematyka istotna jego poezji wyrażona jest we wczesnym wierszu „W Malignie” (1940):

*Co mam pisać na początku? Powązek aleje?
Czy też sięgnąć od razu aż do rzeczy dna,
I to gorące popołudnie, w wiosenną niedzielę,
Kiedy dziecinne usta szepczą: ziemia — kwiat — i ja —
Czymże to jest?*

Poprzez dojrzałego poetę szeptać będą zawsze dziecinne usta — i zawsze będą szeptać to samo: ziemia — kwiat — i ja.

We wczesnych wierszach będzie przeważać wizja ziemi o globalnym niemal widnokręgu, jak na niektórych okazach Breughla czy Altdorfera: lądy, kontynenty, wyspy, okręty, obłoki i wiatry. „Pieśń” (1934), jeden z najpiękniejszych wierszy w poezji polskiej, zaczyna się od słów: „Ziemia odpływa od brzegu na którym stoję” i zawiera ten magiczny dwuwiersz:

*Chylą się ciężkie okręty, jadą miedziani bratowie,
Kołyszą karkami zwierzęta, motyle spadają do mórz...*

„Władcy” (1938) „z góry widzą okręty i ładowne łodzie”. „Obrazki” z cyklu „Świat” (1943) naprowadzają nas na płótno, którym jest zapewne „Upadek Ikara” starego Breughla (o którym będzie mowa wprost w „Guciu Zaczarowanym”):

*Tymczasem niebo chmurzy się, grom bije,
Nawy od skały uciekają w morze.
A obok woły gną pod jarzmem szyje
I nagi rolnik grunt na brzegu orze.*

„Ziemio nie opuszczaj mnie!” wzywał Miłosz w cytowanej już „Pieśni”. Te wspaniałe wielkie krajobrazy, obejmujące całość stworzenia są mimo wszystko kruche, stale zagrożone pokusą nihilizmu. Już we wspomnianym wierszu „Do księdza Ch.” zdaje sobie poeta z tego sprawę:

*I jest szum, przyptyw morza dotychczas nieznanego,
Morza nicości. Pod białą pianą jego
utonęły zwierzęta i lądy.*

Cytowałem już w „Guciu zaczarowanym” kluczowe wyznanie, że „między mną i gruszką, ekwipażę, kraje...” W innym, bezpośrednio autobiograficznym wierszu („Dużo śpię”, 1962), „ból” pięćdziesięcioletniego poety to „może nadmiar wysp i kontynentów”.

Ziemia, wyspy, lądy, kontynenty, wszystko co stanowi pokusę krajobrazu pokazanego z góry (do portu wpływają jak u Claude Lorraina, ładowne nawy i okręty) jest nieosiągalne. Prospero zawsze powie (jak w „Guciu zaczarowanym”):

Zniknij wyspo, Albo silniej: wyspo zniknij się

Silniejszym mediatorem pomiędzy poetą i rzeczywistością będą zwierzęta. Zwłaszcza ptaki. Ten „szczęśliwy” w cytowanym wierszu „Co znaczy”, który „nie wie że jest tym a nie innym” — to oczywiście ptak. W „Rodzinnej Europie” wspomina Miłosz, z dzieciństwa „świty i zmierzchy spędzone na tropieniu ptaków”. Ptaki, ich lot, nie tylko często nawiedzają jego wiersze — ptak jest dla poety pośrednikiem w jego sporze o tożsamość, o przedział między słowem i rzeczą, sobą i światem:

*O niczemu niepodobny, obojętny
Na dźwięk pta, pteron, fogls, brd,
Poza nazwą, bez nazwy
Ruch nienaganny w ogromnym bursztynie.
Abym pojął w biciu serca co mnie dzieli
Od rzeczy którym codzień nadaję imiona
I od mojej postaci pionowej
Choć przedłuża siebie do zenitu*

(„Oda do ptaka”)

Lub w innym wierszu, z równym, jemu tylko podobnym błyskawicznym połączeniem konkretności i abstrakcji:

*Skrzeczająca sroka i mówiłem: sroczość,
Czymże jest sroczość? Do sroczego serca,*

*Do włochatego nozdrza nad dziobem i lotu
który odnawia się kiedy obniża
Nigdy nie sięgnę, a więc jej nie poznam.
Jeżeli jednak sroczność nie istnieje
To nie istnieje i moja natura.
Kto by pomyślał, że tak, po stuleciach,
Wynajdę spór o uniwersaliach.*

Gombrowicz, po pamiętnym spotkaniu z krową „oko w oko” („jej krowiość zaskoczyła do tego stopnia moją ludzkość”...) notuje w „Dzienniku” że „ku tym dołom, ku konfrontacji z koniem, żukiem, rośliną” pcha go jego dążenie do „nawiązania z niższością”. Ale zaraz wyznaje: „Rozumieć naturę, oglądać ją, badać — to jedna sprawa. Ale gdy usiłuję podejść do niej, jak do czegoś zrównanego ze mną wspólnością życia, które nas obejmuje gdy chcę być ze zwierzętami, z roślinami „na ty” — ogarnia mnie niechętna ospałość, tracę animusz, co prędzej wracam do mego ludzkiego domu i zamykam drzwi na klucz”. Miłosz jest „na ty” z wilgą, bobrem, lisem. Nie tylko dlatego, że ta natura zachwyca:

*Wąsy króliczków i szyje puchate
Żółto-czarnych kaczuszek, ogień płynny
lisa w zieleni, wruszają tak samo
Pana i niewolnika...*

(„Po Ziemi Naszej”)

Jest głębsza przyczyna:

*Gdybym miał przedstawić czym jest dla mnie świat
Wziąłbym chomika albo jeża albo kreta
posadziłbym go na fotelu wieczorem w teatrze
i przytykając ucho do mokrego pyszczka
słuchałbym co mówi o świetle reflektorów,
o dźwiękach muzyki i ruchach baletu.*

Nikt pięknie nie wyraził jedynej rewolucji filozoficznej naszych czasów (wobec której neo-marksizmy, egzystencjalizmy, strukturalizmy są odpowiednikami krótszych czy dłuższych spódnic w modzie kobiecej) — wynikającej z przeświadczenia, że człowiek nie jest ani „królem stworzenia” ani ośrodkiem wszechświata, że wobec tego wszelki „humanizm” jest dziś niemożliwy. Miłosz, prozaik-humanista, jest największym współczesnym poetą ahumanizmu (który nie jest bynajmniej antyhumanizmem).

Starałem się naszkicować motywy przyrody dominujące w poezji Miłosza, od wielkich kosmicznych wizji poprzez obłoki, wichry i światła, do zwierząt i totemicznego ptaka. Pozostaje motyw może najważniejszy — eksploracja mikrokosmosu natury poprzez uotożsamienie z owadem w kwiecie. Być może motyw ten tak fascynuje poetę, gdyż wyraża wieczne życie przyrody, „Ducha Ziemi” w formie najbardziej błyskawicznej, kruchej, migawkowej:

*W dzień końca świata
Pszczółka krąży nad kwiatem nasturcji...
Dopóki trzmiel nawiedza różę...
Nikt nie wierzy, że staje się już*

(„Piosenka o końcu świata”, 1943/44)

W krótkiej liście „ekstaz o wschodzie słońca”, w kolejnym wyliczeniu tych przeżyć, które obalają granice pomiędzy sobą i światem (pozwalają „dosięgnąć” życia) w uwerturze zapowiadającej główne motywy „Gucia zaczarowanego” jest i ten właśnie: „Wchodziłem we wnętrze lilii mostem złotogłowiu”. W obu wierszach, które uważam za kluczowe w twórczości Miłosza (być może dlatego że oba są transponowaną autobiografią) poeta wcieła się w owada. W „Po Ziemi Naszej” krąży on dokoła słowa „gruszka” wyjawionego z ciemności „podskakując to próbując skrzydełek”. W „Guciu zaczarowanym” przemieniony w muchę:

*Leciał przez okno w jarzący się ogród.
I tam, nieposkromione promy liści
Wiozły kroplę napiętą od nadmiaru tęczy.
Mszyste parki z krynicami światła rosty w górach kory,
Sypał się cięrpki pył z giętkich kolumn w środku
cynobrowych kwiatów.*

Antynomia pokusy historycznej i wierności prawdziwemu powołaniu którym jest dla Miłosza odkrycie miejsca człowieka w naturze jest zasadniczym zagadnieniem „Traktatu Poetyckiego” (1956).

Intencją Miłosza było tu pogodzenie obu strumieni własnej twórczości:

„Gdyby wycisnąć z tego poematu najżywotniejszą treść — pisze on w „Rodzinnej Europie” — wywód (choć poezja nigdy nie da zredukować się do prozy) przedstawiałby się następująco. Nieruchomość, opieranie się przemianom historycznym jakie niesie ze sobą czas, w imię niezmiennych przykazań moralnych i stałych struktur wszechświata zastępuje na szacunek. Jednakże tak obwarowanych spotkać może kara: ukazuje im się wcześniej czy później Duch Dziejów, „twarz jego wielka jak dziesięć księżyców, na szyi łańcuch z nieobeschłych głów”. Wtedy padają przed nim na kolana, zostaje on przez nich utożsamiony z Duchem Ziemi, „który gromadzi nogi martwych żuków na pulchną ściółkę co wyda hiacynt”, czyli z matematyczną koniecznością której poddana jest cała Natura. A przecie królestwo Natury nie jest naszym domem, należymy do niego, równocześnie do niego nie należąc. W tym królestwie konieczność jest jedynym dobrem, inaczej niż dla nas. Stawanie się w naszym królestwie, Historii, podlega zupełnie innym prawom, wyrasta z nas, z naszych najdrobniejszych nawet czynów. Niestety, w przyswajaniu sobie historyczności nie wykroczyliśmy dotychczas poza nieudolne początki, ale oswobodzimy się spod jej magnetyzmu tylko potęgując ją, nie odwracając się od niej.

Biada tym, co czas historyczny odkryli nagle, nieprzygotowani, jak analfabeta chemii. Ale biada tym, co łudzą się, że posłuszni są niezmiennym

nemu wezwaniu ponieważ czas historyczny, wymagający ciągłej odnowy, jest dla nich tylko mgłą i ułudą. Nawet ich sztuka będzie bezwładna, bo niezahartowana w ogniu czyścowym — właśnie nasza nieunikniona sprzeczność jest dla nas czyściem”.

Czy tak jest rzeczywiście — można mieć wątpliwości. W całym tomie zebranych „Wierszy” tylko dwa nie brzmią dla mnie przekonująco — a są to jedyne dwa wiersze w których Miłosz jest deklaratywnie „społeczny”. Jednym z nich jest „Siena” (1937) w którym poeta chce się bronić od tak silnie przeżywanej włoskiej słodyczy wizją losu śląskich robotników: „słodyczy dosyć”, gdyż „ta słodycz od ziemi odpycha”, podczas gdy chodzi naprawdę o

*Trawę zetlałą u fabrycznych płotów,
Smutek i pary smugę co wytryska
Z blaszanych daszków na niebo zmienione.
O gorycz, niski los, trudną obronę...*

W „niebie błękitnym nad murami Sieny” poeta wywołuje „gwiazdę huty”, kończąc wiersz wezwaniem: „Gwiazdo chroń nas — od szczęścia i spokoju”.

Jest to jedyny bodaj retoryczny wiersz Miłosza, a Miłosz napisał go później:

*Tylko retorzy nie lubią poety.
Siedząc na szklanych krzesłach rozwijają
Długie zielone metry szlachetności.
A naokoło huczy śmiech poety
I jego życie nie mające kresu.*

(„Do Tadeusza Różewicza, poety”, 1948)

Dlaczego „troska społeczna” brzmi w poezji Miłosza fałszywym tonem? Nie dlatego, rzecz prosta, aby była ona niemożliwa do wyrażenia w poezji — *vide* Majakowski, czy choćby Broniewski. Odpowiedź daje może ten drugi wiersz „społeczny” którego nie lubię: „W Mediolanie” (1954) w którym Miłosz odpowiada na zarzut przyjaciela „że jest za nadto upolityczniony”:

*Jeżeli w bucie mamy gwóźdź, to co?
Czy kochamy ten gwóźdź? Tak samo ze mną...
Czterdzieści lat pochłaniam ten świat nadaremnie
A wystarczyłoby tego na tysiąc.
Tak, być poetą pięciu zmysłów chciałbym
Dlatego sobie zabraniam nim zostać,
Tak, myśl mniej waży niż słowo cytryna,
Dlatego nie sięgam w słowach po owoce...*

Widzieliśmy jak obsesja gruszką, słowem gruszka („Gucio zaczarowany”) została w kilka lat później ujawniona.

W czasie owego pobytu w Mediolanie Miłosz zwiedza wzorową fabrykę Olivetti:

*Zwiedzanie fabryki jest jak zwiedzanie więzienia.
Przewodnicy są dumni z łagodności kary...*

I dalej, wyznanie o co mu w jego „upolitycznieniu” nie chodzi:

*Nie o to ile mają lirów dziennie,
Ile kosztuje chleb, mięso i wino.
Nie o to czy dzieci jadą na kolonie.
Nie jestem socjaldemokratą.*

Istotnie — fascynacja Miłosza komunizmem a również jego późniejsze „upolitycznienie” polegające na przypisywaniu rzekomej wyższości „uhistorycznionemu” Wschodowi nad „zmaterializowanym” Zachodem nic nie mają wspólnego z dbałością o los robotników, o poziom życia, z socjologią, czy z ekonomią. Przyznaje się on do tego otwarcie w zakończeniu „Rodzinnej Europy”:

„Porównując nas... z mieszkańcami państw spokojnych i uładowanych, skłonny byłbym, pomimo wszystkich naszych nieszczęść i cierpień, uznać nas za szczęśliwszych pod jednym względem. Ani nowe modele samochodów, ani podróże, ani przygody miłosne nie dadzą eliksiru młodości. Wydzierając swoją porcję rozrywek i rozkoszy, narażamy się na zemstę czasu, który stępią naszą zmysłową chłoność. My jednak odkryliśmy że eliksir młodości nie jest urojeniem, właśnie dlatego, że zagłębiliśmy w głąb piekieł naszego stulecia... Poprzez klęski i katastrofy ludzkość szuka eliksiru młodości czyli u-filozoficznienia, żaru jaki podtrzymuje wiara w powszechną użyteczność naszego wysiłku, choćby z pozoru nie zmieniał nic w żelaznych trybach świata”.

W „historyczno-politycznym” wymiarze, Miłosz jest właściwie bardziej wrażliwy na „ducha czasu” niż na „Ducha Dziejów”. Jak każdy z tych (sam się do nich zaliczam) którzy z każdej kolejnej „chwili” historycznej chcą wysuwać wnioski „filozoficzne”, Miłosz ulega często złudzeniom, mimo że sam wie iż „Duch Dziejów” to tylko jedna z inkarnacji „Ducha Ziemi”, mimo iż sam pytał w „Traktacie Poetyckim”:

*Czy ty, conosisz rozsądny frak Hegla
I lubisz dzikie, wiatrom dane, strony,
Przybrałeś sobie tylko nowe imię?*

Cóż pozostaje z całej teorii Miłosza, przeciwstawiającej uduchowiony, głodny absolutu, odważny, młody, katastroficzny, historyczny „Wschód” zmaturalizowanemu, staremu, znudzonemu „Zachodowi”, po paryskich wypadkach majowych, po rozruchach studenckich w Niemczech, we Włoszech, po walkach i zabójstwach w Ameryce?

Nie chciałbym być źle rozumiany. Uważam „Zniewolony umysł” za świetną książkę, która, mimo iż zasadnicza jej teza

okazała się po desakralizacji komunizmu fałszywa, rzuciła nowe światło na procesy racjonalizacji postaw inteligencji w dyktaturach opartych na mesjanizmie i milenaryzmie. „Rodziną Europę” cenię wyżej jeszcze. Ale poezja Miłosza — to chciałem w tym krótkim szkicu podkreślić — jest bardziej odkrywczą, gdyż odkrywa tereny zarazem nieznanne i wieczne. Mimo chęci rehabilitacji czasu historycznego, mimo twierdzenia, że

*Dwa są wymiary. Tu niedosięgalna
Prawda istoty, tutaj na krawędzi
Trwania, nie-trwania. Dwie linie przecięte.
Czas wyniesiony ponad czas przed czas.*

— mimo to Miłosz zdaje sobie sprawę, że jedyną prawdą jest ahumanizm, jedyną zagadką fakt, że człowiek wie o swojej śmierci — czas człowieka i czas bobra:

*Ale ja zostałem,
W wysokiej, miękkiej skrzyni aksamitu,
Władając nad tym co trafiło we mnie,
Jak tam pracują czwórpalczaste łapy,
Jak się otrząsa włos w mokrym tunelu,
On nie zna czasu i nie wie o śmierci.
Mnie jest poddany, bo ja wiem, że umrę.*

Terenem poezji Miłosza jest Natura. Historia — co najwyżej eliksirem młodości, środkiem podniecającym. Nie zrozumiałem tego, gdy pisać w „Kulturze” o „Świetle Dziennym” przed kilku laty zatytułowałem moją krytykę „Poeta i Historia”.

Istnieje jednak w tej poezji również inny wymiar — religijny. Nikomu by nie przyszło na myśl nazwać Miłosza „poetą katolickim”, a przecież są w jego wierszach okresy, których nie przeżył żaden poeta religijny:

*A jeżeli Pascal nie został zbawiony
i te wąskie ręce w które włożono krzyż
to on, cały, jak nieżywa jaskółka
w pyle, pod brzękiem jadowitobłękitnych much?
A jeżeli oni wszyscy, klęczący ze złożonymi dłońmi,
miliony ich, miliardy, tam kończyli się gdzie ich złudzenie?
Nie zgodzę się nigdy. Ja dam im koronę.
Umysł ludzki jest wspaniały, usta potężne,
i wezwanie tak wielkie, że musi otworzyć się raj.*

W „Rodzinnej Europie” Miłosz wyjaśnia swój stosunek do katolicyzmu:

„Nie można przestać być członkiem Kościoła katolickiego — tak uczy doktryna. I potwierdzają to dwie postawy, zarówno akceptacji jak sprzeciwu.

Przesłonięty albo ostry, trwa problem centralny i sędzę, że dla wszystkich wychowanych w katolicyzmie, chcą tego czy nie chcą, filozofia jest zawsze „ancilla theologiae”.

Czy można go zatem uważać za katolika? Głęboki pesymizm jego poezji, jej zasadniczy nihilizm pozwalają o tym wątpić. Lepiej chyba naświetla tę sprawę inne wyznanie z „Rodzinnej Europy”:

„Nie ufając idei wszechświata jako mechanizmu — bardzo ładne osiągnięcia ale nic z nich nie wynika — dawałem sobie pozwolenie na przesady i składając ofiary drobnym bóstwom leśnym byłym zgodny z sobą, wiedząc, że postępuję absurdalnie, ale jeszcze mocniej wiedząc, że robię dobrze, bo łączność z siłami, które są, choć nie da się ich nazwać, wymaga gestów symbolicznych. ... Stale zanurzony w wielkiej całości byłem, jak to się mówi, naturą do głębi religijną”.

Wspomniałem kilka razy w tym szkicu o nihilizmie poezji Miłosza. Jak to pogodzić z jego żywiołowym oporem przeciw wszystkiemu co w nowoczesnej poezji i nowoczesnej sztuce wywodzi się z nihilizmu? Dlaczego, jeśli szczytowym przedstawicielem nihilistycznej literatury współczesnej jest Samuel Becket, Miłosz jest „anty-Becketem”, nie tylko w teorii, ale w swym dziele poetyckim? Przecież jeśli się porówna treść ich dzieł — i tu i tam zasadniczym tematem jest przeświadczenie, że jedyną prawdą jest śmierć, wszystko inne złudzeniem. Pozorna ta sprzeczność wynika, wydaje mi się, z tego, że współcześni nihilści naprawdę kochają śmierć, naprawdę nienawidzą życia. Jeśli zaś stałą skargą Miłosza jest że „życie jest niedosiężne”, to dlatego, że potrafił on osiągnąć tego życia tak intensywnie, tak głęboko, jak jest to w ogóle dla człowieka możliwe. Że rozpacz jego jest egzystencjalna a nie „subiektywna”. Miłosz tak kocha życie, że chciałby aby każdy obraz tego filmu, którym jest życie indywidualne trwał zawsze. Wyraził to we wczesnym wierszu „Spotkanie” (1937):

*Jechaliśmy przed świtem po zamarzłych polach
Czerwone skrzydło wstawiało, jeszcze noc.*

*I zając przebiegł nagle tuż przed nami,
A jeden z nas pokazał go ręką.*

*To było dawno. Dzisiaj już nie żyją
Ni zając, ani ten co go wskazywał.*

*Miłości moja, gdzież są, dokąd idą
Błysk ręki, linia biegu, szelest grud —
Nie z żalu pytam, ale z zamyślenia.*

1937, Wilno.

Dziwnym zrządzeniem losu dwaj czołowi pisarze polscy — Miłosz i Gombrowicz — żyją na emigracji. Mimo że nie wolno wydawać ich dzieł w Polsce, wpływ ich na młodych pisarzy krajowych jest duży. Zastanawia mnie jednak fakt, że zarówno u Miłosza jak u Gombrowicza, młode pokolenie wydaje mi się najbardziej czułe na cechy, które uważam za pochodne, drugorzędne. I tak, Gombrowicz jest w Polsce „mistrzem” jako satyryk, humorysta, widzi się w jego dziele element absurdu, a nie uporczywą eksplorację sytuacji człowieka wśród innych ludzi. Poeci, na których znać wpływ Miłosza — to filozoficzni moralisci, waloryzujący czas historyczny. Nikt natomiast nie kontynuuje jego uporczywej eksploracji sytuacji człowieka w naturze. Może jest to los naprawdę wielkich twórców — wielkich dlatego że ich odkrycia są niepowtarzalne?

K. A. JELEŃSKI



Polska Fundacja Kulturalna

9, CHARLEVILLE ROAD, LONDON, W.14.

Tadeusz Nowakowski
NIESTWORZONE RZECZY

Zbiór Opowiadań

Wydanie ozdobne — w płóciennnej oprawie

Stron 540

Cena: 36 szylingów, 5 \$., 27 N.F., 4,50 A.\$.

SONETY SZEKSPIRA

w przekładzie Mariana Hemara

Wydanie ozdobne w oprawie

Z licznymi ilustracjami

Danuty Laskowskiej

Cena: 42 szylingi, 6 \$., 32 N.F., 5,50 A.\$.

*Do nabycia: w Polskiej Fundacji Kulturalnej
w przedstawicielstwach „Dziennika Polskiego”
we wszystkich księgarniach polskich w wolnym świecie.*

Fragment z dziennika

ROZMOWY Z DOMINIKIEM DE ROUX

X. *K o s m o s*

G.: — Chyba już za długo trwają te zwierzenia. Pomówmy jeszcze o *Kosmosie* i *Operetce*.

Grypa azjatycka w 1957-ym położyła koniec mojej euforii pobankowej. Odtąd astma zaczęła mnie przyduszać, choć póki co delikatnie, a i wiek dawał się we znaki. Moje utwory torowały sobie powoli drogę w Europie. Jak długo jeszcze Argentyny?

Sześć lat. Sześć latek jeszcze, zanim porośłem w pierze o tyle, że mogłem wyfrunąć. Kwiecień 1963. Fundacja Forda zaprasza mnie na roczny pobyt w Berlinie, wraz z kilkoma innymi pisarzami z rozmaitych krajów. Tysiąc pięćset dolarów miesięcznie, żadnych zobowiązań. To mi rozwiązywało problem finansowy. Jadę! Żegnaj, Argentyno!

Kiedy wstępowałem na pokład Federico w Buenos Aires, miałem za sobą 23 lata 226 dni Argentyny (obliczyłem), a ze sobą, w walizce, skrypt nieukończonej powieści, *Kosmosu*. Czwarta po *Ferdydurce*, *Trans-Atlantyku* i *Pornografii*.

R.: — To ona przyniesie panu Międzynarodową Nagrodę Literacką, największą po Noblu.

G.: — O czym pojęcia nie miałem tańcząc z nią razem na wodach Atlantyku. Nagrody dotąd omijały mnie starannie, dobijałem sześćdziesiątki, a nie zaznałem nigdy ich smaku, przyzwyczaiłem się do myśli, że nie nadaje się do nagród.

Kosmos? Już mnie zaczyna trochę nudzić to wałkowanie moich utworów, a chyba i pan ma dosyć. Kończmy. *Kosmos* dla mnie jest czarny, przede wszystkim czarny, coś jak czarny rozbełtany nurt pełen wirów, zahamowań, rozlewisk, czarna woda

unosząca tysiące odpadków, a w nią zapatrzony człowiek — zapatrzony w nią i nią porwany — usiłujący odczytać, zrozumieć, powiązać w jakąś całość... Czerń, groza i noc. Noc przeszyta gwałtowną namiętnością, skażoną miłością. Bóg raczy wiedzieć... mnie się zdaje, że groza *Kosmosu* zostanie odczytana ale nie tak prędko.

R.: — *Kosmos* jest surowy, oszczędny, o wiele mniej tu zabawy niż w innych pana rzeczach.

G.: — Nie tylko dlatego. Dawniej, wie pan, Tołstoj, czy Balzak, mogli pisać mniej więcej dla wszystkich, ale dla dzisiejszego literata to prawie niemożliwe, ponieważ nie mamy już wspólnego świata, jest z dziesięć osobnych światów, które sobie naszych czytelników wydzierają. Jak znaleźć język, który by przemówił jednocześnie do konserwatysty-katolika, do niewierzącego egzystencjalisty, do normalnego „realisty”, do kogoś, czyja świadomość przeorana jest Husserlem, lub Freudem, do kogoś, kto swoją wrażliwość wykształcił na surrealizmie? Różne rzeczywistości, inne widzenie, inne odczuwanie. I w tych przeróżnych panoramach żywy się cała rozmaitość naszych temperamentów. Minął czas czytania zwykłego.

Mnie *Kosmos* zdolny jest zaniepokoić i nawet przerazić — dlaczego? Gdyż w ciągu mojego życia wyrobiłem sobie szczególną wrażliwość na Formę i ja naprawdę lękam się tego, że mam pięć palców u ręki. Dlaczego pięć? Dlaczego nie 328584598208854? A dlaczego nie wszystkie ilości naraz? I dlaczego w ogóle palec? Nic dla mnie bardziej fantastycznego, jak że tu i teraz *jestem taki jestem*, określony, konkretny, taki akurat, a nie inny. I boję się jej, Formy, jak dzikiego zwierza! Czy inni dzielają moje niepokoje? O ile? Jeśli ktoś nie czuje Formy, jak ja, jej autonomii, jej dowolności, jej furii stwarzającej, kaprysów, perwersji, spiętrzeń i rozpadów, niepohamowania i bezgraniczności, nieustannego splatania się i rozplatania, cóż *Kosmos* mu może powiedzieć? W przyszłości, jeśli takie odczucie formy stało się bardziej rozpowszechnione, może zdoła przyprawić o dreszczyk.

W ogóle trzeba powiedzieć, że powodzenie mojej literatury uzależnione jest od pewnej ewolucji odczuwania... która nastąpi, albo nie.

R.: — Już ostatniej wojnie zawdzięcza pan niemało, po niej zaczęto pana czytać zupełnie inaczej. Ale tej nowej ewolucji, która *Kosmos* uczyni bliższym czytelnikowi, nie jest pan taki pewny?

G.: — Pewny? Prawie. Wszystkie znaki na niebie i ziemi o tym świadczą, kryzys ideologii, wzrastające zainteresowanie formą, tendencje najnowsze sztuki. Tylko, że mnie to nie wystarcza.

Jeśli ten wzrastający formalizm nie zostanie zrównoważony humanizmem, to jest człowiekiem, to jest ludzkim bólem, poezją, pasją, na tej nowej Saharze zginę, ja i moje utwory. Nie ja jeden, zresztą.

R.: — Obawia się pan...

G.: — Dopuszczam tę możliwość ze względu na wzrastającą mechanizację kultury... taka na przykład fabrykacja w ogromnych ilościach przez uniwersytety profesorów, doktorów, specjalistów od sztuki... ale nie przypuszczam żeby to mogło trwać długo.

R.: — Atakuje pan malarzy. Ale niech pan przyzna, że pańskie traktowanie formy jest zbliżone do tego, co dziś robi malarstwo.

G.: — Malarz dzisiejszy nauczył się rozkładać świat widziany na elementy barwy i kształtu i z nich zestawia nową, arbitralną, kompozycję. Ja robię mniej więcej to samo, choć u mnie świat nie rozpada się nigdy całkowicie. I, dodajmy, pędzel malarza tu się zatrzymuje, malarz nie może przywrócić tak rozbitego świata człowiekowi, każe mu się raczyć grą „czystą” owej formy i koniec na tym. Natomiast słowo jest narzędziem bez porównania bogatszym, potężniejszym, niż pędzel, o kilku odmiennych sposobach działania, i pełne zażycie słowa czyni możliwym ponowne uczłowieczenie formy. Powiedziano, że malarstwo wyprzedziło literaturę o sto lat. Biada literaturze, gdyby wstąpiła na drogę malarstwa. Zubożenie najnowszej literatury francuskiej trzeba przypisać właśnie temu, malarstwo jest złym nauczycielem dla pisarza.

W literaturze, która na szczęście nie jest czystą sztuką, która na szczęście jest czymś więcej, niż sztuką, można zdobyć się na to co robi malarstwo i na coś ważniejszego jeszcze, na coś akurat przeciwnego. Można być tym bardziej ludzkim, im bardziej jest się nieludzkim, tym bardziej konkretnym, im bardziej abstrakcyjnym. Sprzeczność, wie pan, przekora, to nieodzowne dla ducha! Życie jeszcze raz musi być przeciwstawione sztuce. I formie.

W *Kosmosie* nie tylko mogę — za pomocą słowa — dać rozpad świata na elementy formy. Mogę również odtworzyć reakcję człowieka, najzwyczajszego, na taki proces rozkładowy, jego lęk, rozpacz, przypuśćmy, i w ten sposób znowu człowiek, a nie forma, stają się moim centrum. U mnie forma może jeszcze być piekłem, lub rajem, u malarza musi być „forma jako taka”. Gdyby obraz mógł dać zarazem „formę jako taką” tudzież nudę człowieka, który się w nią wpatruje, nie miałbym powodu do zastrzeżeń.

Od tego ponownego uczłowieczenia nieludzkości zależy, moim zdaniem, czy literatura przyszłości będzie dyndać w próżni, wyznaczając przeróżne esy floresy, czy też stanie na nogach. Jeśli

mam rację, wygram, a jeśli nie... może też wygram, tylko że będę inaczej czytały.

Wyzwoliliśmy bestię Formy, teraz trzeba ją wziąć za rogi.

R.: — Czy nie z tego podwójnego u pana stosunku do formy — którą pan jednocześnie wyzwała i poddaje człowiekowi — wywodzą się sprzeczne opinie o *Kosmosie*? Są tacy, dla których bieg zdarzeń w *Kosmosie* jest nienaturalny, chropowaty, sztuczny. A znów inni skarżą się, na odwrót, że powieść utrzymana jest w tonie zanadto realistycznym i przypominającym klasyczne utwory.

G.: — Chropowatość? Sztuczność? To mówią ci, co nie zauważyli, że *Kosmos* nie jest zwykłą powieścią, która opowiada jakąś historię — dajmy na to — tragicznej miłości. Ta powieść jest o samym stwarzaniu się tej historii, o stwarzaniu się rzeczywistości, o tym jak ona niezdarnie, kulawo, rodzi się ze skojarzeń naszych... jakżeby takie formowanie nie miało wywołać zgrzytów, oporów, fałszów, co chwila niezdarna konstrukcja zapada się w chaos. *Kosmos* jest powieścią, która sama się stwarza, podczas pisania.

Realizm? Klasycyzm? To zarzut tych, co nie spostrzegli, że *Kosmos* jest najzwyklejszą relacją zwykłego studenta, który swoje przygody opowiada. Student zamieszkał w pensjonacie, poznał dwie kobiety, jedną o ustach spotworniałych wskutek wypadku samochodowego, drugą o ustach powabnych, te usta mu się kojarzą, stają się obsesją, poza tym zobaczył wróbla powieszzonego na drucie i patyk wiszący na nitce... i to wszystko, trochę z nudów, trochę z ciekawości, trochę z miłości, z gwałtownej namiętności, zaczyna go wciągać w pewną akcję... której oddaje się nie bez sceptycyzmu. Cóż w tym takiego nadzwyczajnego? Każdemu może się zdarzyć. Dlaczegoż aby to opowiedzieć miałbym uciekać się do czegoś więcej, niż zwykłe opowiadanie?

Kosmos wprowadza w sposób zwykły w świat niezwykle, niejako za kulisy świata.

R.: — Tu jeszcze raz się pokazuje, że pan jest konserwatywnym awangardzistą i awangardowym konserwatystą. Znów przekora, znów sprzeczność. Trzeba przyznać, że pan zawsze tak się urządzi, żeby być „pomiędzy”.

G.: — Moja literatura oparta jest na wzorach klasycznych. *Ferdynand* jest poniekąd parodią opowiadania filozoficznego w stylu wolterowskim. *Trans-Atlantyk* parodią staroświeckiej gawędy. *Pornografia* nawiązuje do dobroduszej polskiej „powieści wiejskiej”. *Kosmos* jest po trosze kryminalnym romansem. Mój teatr parodiuje Szekspira, a ostatnia moja sztuka jest utrzymana w formie operetki.

Posługuję się formami klasycznymi, bo są najdoskonalsze i do

nich czytelnik się przyzwyczaił. Ale proszę nie zapominać — ważne — że u mnie forma jest zawsze parodią formy. Posługuję się nią, ale umieszczam się poza nią.

Tak, coraz bardziej szukam powiązania pomiędzy tymi dawnymi, czytelnymi, gatunkami literackimi a możliwie najświeższym, najnowszym, przeżyciem świata. Przewozić najaktualniejszą kontrabandę takimi landarami, jak *Trans-Atlantyk*, lub *Pornografia*, to mi odpowiada!

R.: — Nie jest pan zdania, że treść i forma to jedno i to samo?

G.: — Och, nie. Wcale. W sensie bardziej ograniczonym, może tak, ale nie w sensie najgłębszym, nie tam, gdzie człowiek przeciwstawia się formie.

R.: — Co pan myśli o nowoczesnej powieści, nie, nie jedynie o *nouveau roman français*, o wszystkich tych próbach wypracowania nowej formy powieściowej? Chciałbym żeby pan dał, jeśli to możliwe, małą analizę krytyczną.

G.: — Niemożliwe. Nie jestem krytykiem i za nic nie chciałbym nim zostać. Moje „krytyczne” podejście do nowych powieści wyraża się w fakcie, decydującym i definitywnym, jak każdy fakt, że nie mogę tego czytać. Dlaczego? Bo mnie nudzi. Zanadto mnie nudzi. Oto stan faktyczny, na który nic nie mogę poradzić. Nudzi mnie i koniec. Mógłbym co najwyżej zastanowić się, skąd mi się bierze ta nuda i czy ma jakieś bardziej obiektywne uzasadnienie. Ale taka analiza, zgodzi się pan, Dominiku, nie może być bardzo gruntowna, ponieważ trudno osądzić coś czego się nie przeczytało.

Dopuszczam możliwość, że w tym kryje się sekret odporności tych dzieł na krytykę. Tak są nudne, że są nieczytelne, więc nie można ich skrytykować.

R.: — Złośliwość.

G.: — Broń Boże! Takie proste stwierdzenia, jak moje, mogą przydać się na coś tylko, gdy są szczerze i poważne. Jako złośliwostki, nic nie są warte. I mnie naprawdę dość jest nieprzyjemnie, że muszę w sposób tak bezceremonialny potraktować autorów bezinteresownych, o wielu świetnych przymiotach... Ale fakt jest faktem, trudno i darmo, ja mam wielki szacunek dla faktów.

R.: — Przyjmuję do wiadomości, że pan własnym sądom nie ufa, bo pan tych książek nie przeczytał. Ale proszę mimo to powiedzieć co panu się w nich nie podoba.

G.: — Bardzo proszę. To uzasadnia moją nudę. Nie wiem, czy nada się do uzasadnienia pańskiej.

Primo. Teoretyczne. Intelktualne. Wykoncypowane. Z naukowej inspiracji. Abstrakcyjne. Sztuka na kolanach przed nauką i dająca się przez nią wodzić za nos.

Secundo. Ciasne. Jeden dla drugiego pisze, jeden drugiego chwali.

Tertio: Ubogie. Ich dążeniem będzie zawsze oszczędność, czystość, esencja, „sztuka dla sztuki”, „literatura dla literatury”, „słowo dla słowa”.

Quarto. Naiwne. Wiara w „sztukę”. Wiara w mit „jestem twórcą”, „jestem artystą”.

Quinto. Monotonne. Wszyscy robią mniej więcej to samo.

Sexto. Księżyc. Oderwanie od ziemi. Upór. Solipsyzm. Onanizm. Nielojalność wobec rzeczywistości.

To mi się nasuwa, tak *grosso modo*... Niech pan sobie wyobrazi inteligentnego studenta z wielkim respektem dla nauki, z głową pełną koncepcji, teorii, pojęć oderwanych, obcującego z takimi, jak on, myślicielami, skoncentrowanego, pilnego, uczciwego, cnotliwego, o, właśnie, cnotliwego... który poczuł wolę bożą do tworzenia artystycznego. Przystąpi on do fabrykacji nowych modeli sztuki, jak inżynier do fabrykacji samochodu. Zakorkowany w swoim laboratorium, czegoż będzie się lękał? Życia. Wyżycia się. Zabawy. Rozkoszy. Swobody. Jego dzieło będzie go nudzić śmiertelnie, nic, piszmy, teoria lepiej wie niż praktyka co dobre! Jego dzieło będzie nudzić śmiertelnie innych, nic to, piszmy, w myśl teorii to czytelnik musi się przystosować do dzieła, a nie dzieło do czytelnika. I czyż nie tak zawsze było, że sztuka, dziś nieczytelna, stawała się czytelna jutro? Tak było i będzie! Piszmy! Z tej to ascezy, niezdolnej się wyżyć, nie umiejącej się bawić, nie szukającej rozkoszy własnej, ani cudzej, nie dbającej o korzyść osobistą, z tej cnotliwej sumienności zawsze gotowej się poświęcić powstają owe książki męczeńskie i męczące.

Macie to, na co zasłużyliście. Póty gnębiliście owo nieszczęśliwe „ja”, aż doczekaliście się literatury nieosobistej, więc niekonkretnej, więc nierzeczywistej, więc niepraktycznej, więc nieżyciowej, więc tchórzliwej, więc przemądrzałej, więc wymęczonej, wysuszonej, pozbawionej siły, rozmachu, świeżości, oryginalności i zaciętrzewionej w nudzeniu. Ach, dawne, dobre czasy, kiedy to Rabelais pisał jak dziecko załatwia się pod krzakiem, żeby sobie ulżyć! Czasy dawne, kiedy to Literatura oddychała pełną piersią, tworząc się na swobodzie, między ludźmi, dla ludzi!

R.: — Zaraz! Przepraszam. Ostro pan sobie poczyną! A ich książki większe mają nakłady od pańskich.

G.: — Nakłady? Nakłady dowodzą tylko, że sztucznemu twórcy odpowiada sztuczny odbiorca. To się kupuje, ale tego się nie czyta.

R.: — Więcej podobieństwa między panem, a nimi, niż różnic. Czy pan nie jest trudny? Piszący dla przyszłości? Z teoriami? Z koncepcjami? Czyż to też nie jest literatura eksperymentalna?

G.: — Jestem humorysta, pajac, linoškoczek, prowokator, moje utwory na głowie stają żeby się spodobać, jestem cyrk, liryzm, poezja, groza, walka, zabawa — czegoż pan chce więcej? Jestem trudny, to prawda, tam gdzie nie można inaczej, ale jeśli kto pisze w śmiertelnym strachu, że znudzi, to ja! Zdumiewają mnie owe sesje, na których literaci odczytują na głos swoje płody. Jabym nie był wstanie przeczytać jednej strony mego maszynopisu, tak się boję ziewania! Dziś, w biurokratycznej atmosferze, aforyzm francuski *tous les genres sont bons, sauf les genres ennuyeux* przestał straszyć. Szkoda!

Ba, lepiej siedziałbym cicho! Po cóż z nimi wojuję? Jestem z nimi blisko spokrewniony, wśród nich znajduję najlepszych przyjaciół i odbiorców... i, na pewno, to mi zaszkodzi, w Paryżu przede wszystkim, wszak opanowali krytykę paryską... i tak przyjemnie byłoby powiedzieć sobie, no cóż, wielkie rzeczy, jest miejsce dla każdego, różnaitość jest pożądana i w ogóle „czyń każdy w swoim kółku, co każe duch boży, a całość sama się złoży”... takie ewangeliczne maksymy są jednak dobre na trawienie, co?

Ale. W Kawiarni Rex, do której chodziłem na szachy, w Buenos Aires, widywałem pewnego młodego Brazylijczyka, bardzo chudego, chorobliwie nieśmiałego, który mówił tak cicho, że nikt dobrze nie wiedział, co mówi. Przez delikatność odpowiadano mu byle co i tak jakoś toczył się ten dialog. Przystąpiłem do niego i powiedziałem: — Czy pan wie, że z nikim nigdy pan w życiu swoim nie rozmawiał? Że wszyscy pana nabierają? Zdziwił się... i zamamrotał coś, czego nie dosłyszałem.

Otóż artysta, wie pan, jest istotą systematycznie okłamywaną od pierwszego słowa, jakie napisał. Nawet, ja nie zdobyłbym się na okrucieństwo, żeby powiedzieć osobie, która wręczyła mi utwór krwawym potem długotrwałego wysiłku oblany i zawierający najdroższe nadzieje, że nie przeczytałem, nie mogłem przeczytać. Więc zawsze coś w rodzaju „tak, tak, miejscami niezwykle ciekawe, pod pewnymi względami nawet może do pewnego stopnia bardzo... choć może”... itd. Cóż robić? Człowiek wie, że kłamie, i wie, że inni też kłamią, i że ten biedak życie zmarnuje karmiąc się kłamstewkami, które z biegiem czasu coraz bardziej będą go spowijać, i że one nawet doprowadzą go w końcu do jakiejś pozornej realizacji w świecie artystycznym, która znów nowe wywoła kłamstwa etc. etc. etc.

Nawet najlepsi z nas bez przerwy są okłamywani. Kłamstwo nieprzerwane nas draży. Krytyk, przyjaciel, obcy, wydawca, znawca, wielbiciel... kłamią, kłamią, kłamią... *Odkłamać* choćby odrobinię, taki jest dziś najwyższy postulat sztuki.

Zapowiedzi wydawnicze

W NIEDŁUGIM CZASIE UKAZĄ SIĘ
W BIBLIOTECIE « KULTURY »

RAPORTY AMBASADORA REALE

*Eugenio Reale był ambasadorem włoskim w Warszawie
w latach 1945-1946*



UKRAINA 1966-1968

Rosnący ruch oporu na Ukrainie



STANISŁAWA WYGODZKIEGO

ZATRZYMANY DO WYJAŚNIENIA

O ptaku, który kala...

I

Jest to, jak wiadomo, ptak bardzo brzydki. Tak przynajmniej osądziła go mądrość ludowa. Ale czy mądrości tej zawsze można ufać? Czy wiele z tego, co ona głosi, nigdy nie nasuwa nam jakichś wątpliwości? Bez chęci dotknięcia niczyich uczuć wypadnie nam stwierdzić, że owa mądrość ludowa nie zawsze bywa mądrością.

Przynajmniej w świecie innym niż ten, który ją zrodził. Albowiem jest to mądrość społeczności wiejskiej i odzwierciedla ona wiekowe doświadczenia stosunków rodzinno-sąsiedzkich. Nie mówmy lekceważąco o tych doświadczeniach. Zawarła się w nich bogata treść kulturalna, wyznaczyła ona sens i drogi wielkiej cywilizacji. Obowiązywała w niej absolutna solidarność jednostki wobec rodziny. Rodzina ta i jej członkowie byli pod stałym nadzorem opinii szerszej społeczności wsiowej. „Wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi” — powiadało inne sformułowanie mądrości ludowej. Stąd brudy domowe prało się w domu, nie wynosiło się ich na zewnątrz.

Członek rodziny, który brudy domowe wynosił na zewnątrz, był zaiste złym ptakiem kalającym swe gniazdo. Łamał regułę solidarności rodzinnej, kompromitował swoich, stawiał ich pod pręgierz opinii wioskowej. „Jak się tylko dowiedzą, to zaraz narobią plotków” — tłumaczyła mi przed wielu, wielu laty jedna z mych wiejskich rozmówczyń. Było to powiedziane w Polsce, ale mogło być powtórzone w każdej innej społeczności wiejskiej całego świata.

Ta moralność cywilizacji sąsiedzko-rodzinnej weszła do moralności grup o rozwiniętym *esprit de corps*. Kala swe gniazdo lekarz, który źle mówi o innych lekarzach (ilu pacjentów byłoby

uratowanych, gdyby więcej lekarzy kalało gniazdo!), kala je prawnik, który jawnie mówi o niezbyt szlachetnych czynach swych kolegów. Oczywiście najdalej to sięga w zespołach o tak silnie rozwiniętym *esprit de corps* jak oficerowie. Do jakich konsekwencji to prowadziło, o tym mówią z jednej strony doświadczenia dawnego pruskiego korpusu oficerskiego, a z drugiej — sprawa Dreyfusa. O sprawie tej wypadnie nam zresztą pomówić nieco obszerniej.

I oczywiście moralność niekalania gniazda stała się jedną z zasadniczych reguł patriotyzmu. Kala swe gniazdo ten, kto źle mówi o własnym kraju, szczególnie jeżeli to co mówi przedostaje się do obcych. Niech tylko obcy dowiedzą się o naszych domowych brudach, to co najmniej przestaną nas należycie szanować czy podziwiać. A jeżeli są nam niechętni — takich jest zawsze pełno — to zaraz zdobędą materiał dla szkalowania nas i szkodzenia nam. Kto źle mówi o swym kraju, jest oszczercą, szkodnikiem, służy wrogim interesom. Nie brak jest krajów, których ustawodawstwo przewiduje surowe kary za szkalowanie wobec obcych (zresztą także i wobec swoich!). O tym mogli się byli na własnej skórze przekonać pisarze tacy jak Siniawskij i Daniel.

Reguły, które miały głęboki sens w izolowanej społeczności wsiowej, stają się czymś zarówno śmiesznym jak i groźnym we współczesnej cywilizacji industrialnej. Przy dzisiejszych środkach komunikacyjnych ukrywanie tajemnic rodzinnych jest rzeczą arcytrudną i na nieco dłuższą metę, niemożliwą. Żadna żelazna kurtyna nie ukryła przed Zachodem metod rządzenia wielkiego Stalina czy małego Bieruta. Przy całej izolacji Chin Mao Tse-tunga jesteśmy nie najgorzej poinformowani o wypadkach, które tam zachodzą. W New Yorku telewizja pokazała mi wstrząsające sceny tego co zachodziło w Czechosłowacji. Przy współczesnych *media of mass communication* coś zawsze przecieknie, coś zawsze dotrze tam, dokąd dotrzeć nie powinno było. Reguła kalającego ptaka staje się bzdurą. Bzdura ta jednak ma konsekwencje, które są szczególnie groźne dla tych, co za wszelką cenę usiłują utrzymać ją przy życiu.

Kalający ptak stał się dziś regułą polityczną i nawet prawną całego szeregu krajów. Cel tej reguły jest oczywisty. Chodzi o tępienie swobodnej opinii publicznej, chodzi o tworzenie zasłony dymnej kłamstwa i nonsensu. Kraje, które regułę tę usankcjonowały i które systematycznie nią się posługują, to głównie — choć nie wyłącznie — kraje komunistyczne. Jednym z takich krajów jest Polska, gdzie reguła kalającego ptaka ma swoje dawne, przedkomunistyczne tradycje i jest poważnie traktowana nie tylko przez grupę rządzącą.

W przekonaniu moim chodzi tu o sprawy bardzo poważne. I zasługują one na bardziej wszechstronne rozpatrzenie.

II

Ptak, który kala swe gniazdo, jest zawsze oszczercą i to bez względu na to, czy mówi rzeczy prawdziwe czy zmyślane. Szkodliwość jego jest szczególnie wielka, gdy słowa jego trafiają do obcych i nam nieżyczliwych. Jest jasne, że służy on interesom obcym i wrogim. Czy robi to bezinteresownie? Skądże! Jego pobudki są najniższej, najgorszej natury. Obcy dobrze mu za to płacą. Emigranci, szkalujący swój kraj, są sówicie opłacani przez obce wywiady. „Kultura” — wszyscy o tym wiedzą — jest na żołdzie C.I.A. Oszczercy Polski biorą pieniądze od Bonn i od „Syjonistów”. Wszyscy ci sprzedawczycy biorą kainowe pieniądze, by szkodzić Polsce Ludowej. Mimowoli nasuwa się przypuszczenie, że ludziom piętującym „oszczerców” obca jest myśl o posiadaniu bezinteresownych przekonań, o krytyce, która nie musi być opłacana.

Co to jest oszczerstwo? Jest nim każda wiadomość o nas, która stawia nas w złym świetle, która nas kompromituje czy ośmiesza i tym samym nam szkodzi. A skoro nam szkodzi, to tym samym jest oszczerstwem, choćby była najzupełniej zgodna z rzeczywistością.

Jednakże oszczerstwo może nagle przestać być oszczerstwem. Nie jest bowiem rzeczą rzadką, że co dziś jest niegodną potwarzą, jutro staje się bezsporną prawdą. Tak jest np. w wypadku, kiedy w wyniku walk i rozgrywek wewnętrznych jedna klika zespołu rządzącego zajmuje miejsce kliki innej. Co było ohydny oszczerstwem, gdy było stosowane pod adresem kliki poprzedniej, staje się uznaną prawdą po dojściu do głosu kliki nowej. Nie zmienia to faktu, że nowi rządzący będą uznawali za ohydne oszczerstwo prawdy dla nich niewygodne.

Jako klasyczny przykład mogą posłużyć „rewelacje” Chruszczowa z roku 1956. Przy całej izolacji stalinowskiej Rosji, świat zachodni był całkiem dobrze poinformowany o różnych właściwościach stalinowskiego systemu rządzenia. Czystki i procesy pokazowe, łagry i więzienia, masowy terror, rzezie na Ukrainie, jeżowszczyzna itd. itd. — żadna z tych rzeczy nie była tajemnicą dla świata niekomunistycznego. Wszystko to jednak były ohydne oszczerstwa bankrutów moralnych, nędzne próby szkalowania Związku Sowieckiego i jego wielkiego wodza, próby podejmowane przez kapitalistycznych pismaków przy udziale sprzedajnych zdrajców-emigrantów.

W roku 1956 Chruszczow podał do wiadomości powszechnej fakty prawdziwe, które były zdumiewająco zgodne z tym, co jeszcze tak niedawno było piętnowane jako podłe oszczerstwa

sprzedajnych wrogów komunizmu. Co wczoraj było oszczerstwem, dziś stało się prawdą. Oczywiście Chruszczow przeznornie zachował tu pewne granice. Oszczerstwem nadal byłoby np. twierdzić, że Chruszczow i ludzie mu bliscy brali wcale czynny udział w tym, co teraz oficjalnie zostało uznane za zbrodnię Stalina. Do tej pory jest ohydny oszczerstwem twierdzić, że to nie Niemcy ponoszą odpowiedzialność za zbrodnię katyńską. A przecież trudno sobie wyobrazić, by ktokolwiek — włączając Gomułkę — miał co do tego wątpliwości.

Jest rzeczą zrozumiałą, że najgwałtowniej reaguje się na oskarżenia, które oparte są na prawdzie. Przykre prawdy są najgorszymi oszczerstwami, najohydniejszymi szkalowaniem. Oskarżenia kłamliwe mogą być zbite, z prawdziwymi nie jest tak łatwo.

Ale i tu nie wszystko i nie zawsze jest proste. Kłamstwa, jakimi w stosunku do swych przeciwników czy krytyków posługuje się autokratyczny system rządzenia, są zawsze prawdami, albowiem oskarżeni nie mają środków obrony. Gomułka np. obwiniał Jasienicę o cały szereg bardzo brzydkich rzeczy. W obecnych warunkach polskich zasłużony pisarz jest zupełnie bezbronny. Racja siły jest po stronie Gomułki.

Takie metody są całkiem skutecznie stosowane i w stosunkach międzynarodowych. Prasa „Bloku Warszawskiego” obrzuca Czechosłowację i jej przywódców kubłami pomyj. Odpowiedzi Czechów, reakcja opinii światowej — wszystko to nie ma swobodnego dostępu do krajów „Bloku”, gdzie publiczność jest skazana na jednostronne oświecenie swej oficjalnej informacji rządowej. Słowem, i tu racja jest po stronie pałki. W okresie wojny koreańskiej propaganda komunistyczna oskarżała Stany Zjednoczone o stosowanie metod walki bakteriologicznej. Rząd amerykański domagał się, by oskarżenia te zostały zbadane przez organy neutralne w postaci np. Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Strona sowiecka kategorycznie temu się sprzeciwiała. Stosowanie przez Amerykanów metod wojny bakteriologicznej zostało w sposób niezbitý stwierdzone przez komisję międzynarodową, złożoną z... komunistów i ich sympatyków. Co ona stwierdziła, było prawdą, kwestionowanie tej prawdy — oczywistym oszczerstwem, rzuconym przez amerykańskich agresorów na miłujących pokój i prawdę komunistów. Sądząc z dorywczych rozmów, jakie na ten temat miałem z ludźmi z Polski, zachowała się tam jakaś doza podejrzliwości, że w Korei Amerykanie rzeczywiście się posługiwali wojną bakteriologiczną.

Przyjmijmy więc, że dla pewnych systemów politycznych i kulturalnych oszczerstwem jest przykra prawda (pomijamy tu złośliwe kłamstwa!), rozgłaszana przez wrogów przy pomocy przedajnych ptaków kalających swe gniazda. Jednakże oszczer-

stwa te mogą stać się oficjalnymi prawdami, jeżeli okażą się wygodne dla klik, będących górami w wewnętrznych rozgrywkach systemu. Zarazem oczywistymi prawdami są wszelkie zarzuty, choćby oparte na rzeczach niestwierdzonych lub wyraźnie kłamliwych, które nasza strona wysuwa pod adresem przeciwników. I oszczerstwem znowu jest kwestionowanie przez nich prawdziwości tego co my mówimy. System uniemożliwia tu prowadzenie dialogu, odpieranie zarzutów, prowadzenie jakiejś dyskusji. Słuszność jest stale po stronie tych, którzy rozporządzają aparatem władzy.

III

Kalający ptak i „oszczerca kampania” przenoszą nas na teren spraw bardzo polskich. W roku 1968 opinia amerykańska bardzo silnie zareagowała na pewne objawy życia w Polsce, widząc w nich dowody antysemityzmu, uprawianego przez partię rządzącą, nie bez poparcia ze strony samego społeczeństwa czy przynajmniej pewnych jego środowisk. Naganka, jaką oficjalna propaganda w Polsce stosowała wobec „Syjonistów” w Czechosłowacji, nadała temu specjalną wymowę. Ta reakcja opinii amerykańskiej spotkała się z ostrym protestem ze strony rządu Polski, do czego przyłączyły się pewne koła emigracyjne. Mówienie o antysemityzmie w Polsce — twierdzono — jest zwyczajnie kampanią oszczerczą, prowadzoną przez wrogów Polski. O ile można zrozumieć oficjalne wypowiedzi polskie (nie zawsze są one bardzo jasne), kampanię oszczerczą prowadzi sojusz syjonistyczno-niemiecki. A jeżeli uczestniczą w tym Amerykanie, to przecież w Stanach Zjednoczonych właśnie Polacy są ofiarami dyskryminacji. Ilu np. Polaków zajmuje odpowiedzialne stanowiska na Wall Street? Wysłunięcie przez Demokratów kandydatury Senatora Muskie na wiceprezydenta mogłoby być czymś ambarasującym dla takich argumentów.

Obserwując wypadki polskie z bardzo dalekiego dystansu, mam wrażenie, że przedstawianie ich przez prasę amerykańską jest bardzo znacznym uproszczeniem i nieraz nieporozumieniem. O ile potrafię sprawy te właściwie ocenić, chodzi tam o rzeczy znacznie rozleglejsze niż stosunek do garści Żydów, pozostających w Polsce.

Polska nie uniknęła powszechnej rewolty intelektualistów czy — ściślej — ludzi z kwalifikacjami nabytymi w wyższych zakładach naukowych lub je nabywających. Rewolta ta ogarnia dziś wszelkie kraje, bez względu na ich systemy rządzenia i obowiązujące ideologie. Nie wdajemy się tu w rozważanie źródeł i kie-

runków tej rewolty, uważając ją jednak za jeden z najbardziej zasadniczych faktów naszych czasów. Ograniczymy się na tym miejscu do podkreślenia paru jej momentów. Jest ona kolizją między tradycyjnym *Establishment*, złożonym z zawodowych polityków czy politykierów, a ludźmi o wysokich kwalifikacjach zawodowych czy intelektualnych, którzy z wielką dozą słuszności kwestionują pozycję *Establishment* w rodzącej się dziś nowej cywilizacji. Gomułki, Kliszki, Ochaby czy Moczary — bez względu na to jakiej są narodowości i jakiej konfesji ideologicznej — coraz wyraźniej zawodzą w kierowaniu skomplikowaną machiną dzisiejszej cywilizacji. Są ludźmi przeszłości, niezdolnymi do rozumienia arcyzłożonych problemów współczesnej rzeczywistości. W krajach komunistycznych, gdzie *Establishment* jest szczególnie skostniałe, danych dla rewolty jest bardzo dużo. Jak dużo — o tym najwięcej powiedziały wypadki w Czechosłowacji.

Ale właśnie w krajach komunistycznych partyjne *Establishment* jest najmocniej nastawione na opór wobec rewolty. Ma poczucie swej charyzmy, ma środki nacisku, jest uzbrojone w ideologię, która — choć obiektywnie coraz wyraźniej staje się anachronizmem — jest dla *Establishment* racją istnienia i sprawowania władzy. Wypadki czechosłowackie sprawy te zilustrowały w sposób wysoce dramatyczny.

W Polsce rewolta ta przejawiała się na skalę niewielką i jak dotąd wyniki jej są arcymineralne. Burzyła się młodzież, protestowały elementy nonkonformistyczne wśród pisarzy, artystów i uczonych. Wszystko to było bardzo dalekie od dynamiki i rozmiarów wydarzeń czechosłowackich.

Ale było wystarczająco silne, by wzbudzić głęboki niepokój w *Establishment*. Tym bardziej że jest ono targane przez wewnętrzne walki międzyklikowe. Trzeba też pamiętać, że w Polsce — podobnie jak i w innych krajach komunistycznych — nonkonformizm występuje przede wszystkim wśród intelektualistów partyjnych. Ubocznie dodam, że w przekonaniu moim najważniejszym czynnikiem przemian w krajach komunistycznych będzie nonkonformizm wewnątrzpartyjny. O tym najlepiej zdają się świadczyć wypadki w Czechosłowacji.

W Polsce doszło do zapobiegawczej rozprawy *Establishment* z intelektualistycznym nonkonformizmem, zarówno pozapartyjnym jak i wewnątrzpartyjnym. Wśród tych nonkonformistów znalazło się sporo Żydów czy — ściślej — ludzi żydowskiego pochodzenia.

Nonkonformizm jest wielką funkcją historyczną Żydów i najważniejszą ich zasługą wobec kultury ludzkości. Ostatecznie największy wkład Żydów — chrześcijaństwo — powstał jako wyraz nonkonformizmu. Za swój nonkonformizm wypadało też Żydom

płacić cenę straszliwą. Czy zniknie on w Izraelu, gdzie Żydzi stają się narodem takim jak inne? Dla ludzkości byłoby olbrzymią stratą, gdyby tak stać się miało.

W Polsce zachowała się garść Żydów. Z przyczyn nie wymagających wyjaśnienia ogromną ich część stanowią ludzie wykształceni. Nie jest rzeczą przypadkową, że znaleźli się oni wśród nonkonformistów, z którymi rozprawił się *Establishment*.

W Polsce przedwojennej ilość Żydów w przywództwie partii komunistycznej była poważna. Nie była ona tak poważna, jak to przedstawiała propaganda antysemicka, i była stosunkowo niewielka w odniesieniu do ogółu inteligencji polsko-żydowskiej. Ale nie była mała. W Polsce przedwojennej komunizm był formą protestu, był wybitnie nonkonformistyczny, i to pociągało Żydów. W Polsce dzisiejszej komunizm jest arcykonformistyczny, jego kierownictwo stanowi *Establishment*. Powiedział złośliwie mądry Słonimski, że przed wojną była żydokomuna, obecnie jest żydoantykomuna. Stąd obok nonkonformistów pochodzenia nieżydowskiego znaleźli się nonkonformiści pochodzenia żydowskiego. Kołakowscy znajdują wspólne miejsce z Baczkami i Baumanami.

Jeżeli jednak sprowadzanie wypadków w Polsce do antysemityzmu jest uproszczaniem i zniekształcaniem rzeczywistości, to wcale stąd nie wynika, by w Polsce antysemityzmu nie było i by nie był on używany jako narzędzie zarówno w walce z nonkonformistyczną inteligencją jak i w rozgrywkach międzykilkowych. I wcale nie wynika, by się on sprowadzał wyłącznie do środowisk partyjnych. Przeczyć temu jest kłamstwem, mówić o szkalowaniu, o oszczerstwach — jest nieuczciwą demagogią. Antagonizm do Żydów jest w partii i jest poza partią. Klika Mocza-ra posługuje się nim bardzo świadomie, od „endokomuny” przechodząc do „onerokomuny”. Eufemizm „syjonista” zamiast Żyd tylko bardzo naiwnych może przekonać.

Ilość Żydów w Polsce jest znikoma. Większość z nich zatraciła związki religijne czy kulturalne z żydostwem. Niemniej jednak są odczuwani czy traktowani jako coś obcego i wrogiego. Są przedmiotem antagonistycznego ustosunkowania się ze strony innych. Wszelkie próby zaprzeczenia temu brzmiały wysoce nieprzekonywująco i tylko wzmacniają podejrzenia.

Piszący te słowa był zawsze przekonany, że w antagonizmie do jakiejś grupy jej liczebność nie ma istotnego znaczenia. Decydują tu zupełnie inne czynniki, w o wiele większym stopniu odnoszące się do tych, którzy ustosunkowują się wrogo, niż do tych, którzy są przedmiotem wrogości. Antysemityzm, podobnie jak pokrewne mu wszelkie inne „anty” (jest ich na świecie bardzo dużo) mówi przede wszystkim o schorzeniu antysemitów, czy

antychińczyków w Indonezji, czy antyhindusów w niektórych krajach afrykańskich, czy antyczarnych w Stanach Zjednoczonych, itd., itd. W Polsce antysemityzm istniał, gdy Żydów było bardzo dużo, i istnieje nadal, gdy jest ich ilość znikoma. Przyczyn tego trzeba szukać w schorzeniach wśród Polaków.

Zaprzeczanie temu, mówienie o szkalowaniu i oszczerstwach szkodzi samej Polsce. Szkodzi jej znacznie bardziej niż Żydom, których resztki z Polski częściowo się wynoszą. Czy ostateczny ich exodus byłby dla Polski z korzyścią, to wydaje się bardzo wątpliwe.

W Polsce i na emigracji istnieje rozgoryczenie, że Żydzi, szczególnie amerykańscy, oskarżają Polaków o wrogość do Żydów w czasie okupacji, że obwiniają ich o współudział w zbrodniach hitlerowskich. Że są nawet takie wypowiedzi żydowskie, z których wynikałoby, iż to Polacy a nie Niemcy są właściwymi twórcami Majdanka i Treblinki. Niewątpliwie rozgoryczenie to ma swoje uzasadnienie. Można się spotkać z oskarżeniami Polaków, które są krzywdzące i fałszywe, powiedzmy — oszczercze. Aby jednak te oskarżenia odeprzeć, potrzebne jest jedno — mówienie całej prawdy. Byli w czasie okupacji Polacy — i było ich niemało — którzy z największym bohaterstwem nieśli pomoc swym żydowskim braciom. I nie jeden z nich poniósł za to śmierć męczeńską. Ale byli i tacy — ich także było niemało — którzy Żydów wydawali Niemcom, którzy sami brali udział w mordowaniu Żydów. I byli tacy — a tych było najwięcej — którzy zachowywali zupełną obojętność.

Co było w Polsce, było arcyłudzkie. Nie lepiej było w bardzo wielu innych krajach, by tylko wymienić Francję. W Polsce raczej godne jest podziwu, że przedwojenny masowy antysemityzm nie przeszkodził pojawieniu się tylu ludzi szlachetnych i męźnych, którzy byli „stróżami swych braci”.

Ale kłamstwem jest twierdzić, że ci szlachetni reprezentowali całe społeczeństwo. Kłamstwem jest twierdzić, że nie było podłych i że nie było obojętnych. Polacy byli ludźmi, a wśród ludzi najwięcej jest obojętnych, najmniej bohaterów i nie mało podłych. Załgiwaniem rzeczywistości, wrzeszczeniem o oszczerstwach — daleko się nie zajędzie.

„The Painted Bird” Jerzego Kosińskiego może być, jak każde dzieło literackie, przedmiotem dyskusji. Może się podobać albo bardzo nie podobać. Może budzić takie czy inne uwagi krytyczne. Ale to, co w Polsce na temat tej książki napisano, budzi uczucia głębokiego zawstydzenia i obrzydzenia. Zwłaszcza że autor nie może tam zabrać głosu w obronie własnej i tego co napisał. Jakkolwiek akcji swej książki w Polsce *nie* umieścić, został uznany za potwarcę, za ptaka kalającego gniazdo, za sprze-

dawcę, który służy interesom wrogiej propagandy. Z niepokojem myśli się o bezbrzeżnej głupocie ludzi, którzy tak piszą. Czasami mniej groźny wydaje mi się ordynarny cynizm od takiej głupoty. Możliwe jest jednak — i to byłoby najgorsze — że ordynarny cynizm jest tu organicznie związany z bezbrzeżną głupotą.

IV

W Polsce przedwojennej co trzeci obywatel Rzeczypospolitej nie był narodowości polskiej. Ogół Polaków uważał to za rzecz wysoce niepożądaną i miał poważne wątpliwości odnośnie lojalności swych mniejszości narodowych. Wśród bardzo dużej ilości Polaków panowało przekonanie, że zagadnienie to da się rozwiązać przy pomocy dość prostej recepty: część mniejszości — chodziło tu głównie o Ukraińców i Białorusinów — zostanie spolonizowana, innej części — chodziło tu przede wszystkim o Żydów — tak zatruje się życie, że dobrowolnie Polskę opuszczą. Jest rzeczą godną uwagi, że nawet teraz nie brak na emigracji ludzi nie mogących zrozumieć, dlaczego taka polityka prowadziła do następstw całkowicie sprzecznych z zamierzeniami. Ukraińcy i Białorusini nie chcieli się polonizować, Żydzi — choćby nawet chcieli opuścić Polskę — nie mogli tego robić masowo. W rzeczywistości był to program, o którym najłagodniej da się powiedzieć, że był zupełnym nonsensem.

Mniejszości narodowe odczuwały go jako dyskryminację w stosunku do siebie i protestowały. Byłoby zdumiewające, gdyby było inaczej. Protesty te znajdowały odgłosy i poza granicami Polski. W Ameryce szczególnie było bardzo dużo Żydów, którzy oczywiście interesowali się losem Żydów w Polsce. W Ameryce byli też Ukraińcy, szczególnie liczni w Kanadzie. I ich żywo obchodziły losy ich braci w Polsce. Polska polityka narodowościowa była pod ostrzałem środowisk żydowskich i ukraińskich za oceanem i środowiska te były tam na tyle wpływowe, że mogły oddziaływać i na szersze otoczenie. Polska z racji swej polityki narodowościowej nie cieszyła się najlepszą opinią po drugiej stronie oceanu. I nie tylko tam.

Opinia polska reagowała ze swej strony bardzo silnie. Polska jest ofiarą złośliwej akcji wrogów, jest szkalowana, jest obrzucana oszczerstwami. Przytaczane były niezliczone dowody, które miały świadczyć, że polskie mniejszości narodowe nie są przedmiotami dyskryminacji, że — przeciwnie — są otaczane opieką, źle się za to Polsce odwdzięczając. Powoływano się na argumenty historyczne, w stosunku do Żydów sięgające do Kazimierza Wiel-

kiego, w stosunku do Ukraińców — do Orzechowskiego (gente Ruthenus, natione Polonus).

Niestety argumenty te i zaprzeczenia nikogo nie mogły przekonać, a raczej utwierdzały w przekonaniu o niesolidności polskiej kontrakcji. Orzechowski żył w wieku XVI, ale w wieku XX były „pacyfikacje”. Kazimierz Wielki był wspaniałym monarchą XIV wieku, ale w wieku XX było Getto ławkowe, był bojkot gospodarczy i inne fakty nie bardzo zgodne z polityką wielkiego króla. Zaprzeczenia i oburzenia nie mogły zasłonić faktów, które miały miejsce. To jest właściwość naszych czasów, że niewiele w nich daje się ukryć. Zwłaszcza gdy chodzi o zjawiska o takim zasięgu. Jeżeli stosunek do mniejszości narodowych bardzo Polsce szkodził (przede wszystkim ze względu na fatalne jego następstwa w samym kraju, by nie mówić tu o *image* Polski na zewnątrz), to tak samo szkodziła jej niemądra akcja wołająca o oszczerstwach i szkalowaniu.

Na szczęście dla Polski znalazła się w niej wtedy garść ptaków odważnie kalających gniazdo. Była to grupa wybitnych intelektualistów, uczonych, pisarzy, ludzi mądrych i szlachetnych. Co w Polsce się działo, uważali za rzecz złą i Polsce szkodzącą, uważali dalej, że zło należy nazywać po imieniu, że kłamstwem daleko się nie zajedzie. Kotarbiński, Czarnowski, Stanisław Nowakowski (znakomity geograf z Poznania), Ułaszyn, Ganszyniec, Kridl i wielu innych uratowali wtedy honor Polski i dobrze się jej zasłużyli. Głos ich sięgał za granice kraju i tam budził szacunek.

Komuniści dziś twierdzą, że w Polsce przedwojennej oni byli jedyni, którzy zwalczali antysemityzm i dyskryminację wobec mniejszości narodowych. Jest to oczywisty nonsens. Wśród kalających ptaków byli ludzie różnych perswazji politycznych z konserwatystami włącznie. Byli to po prostu ludzie mądrzy i uczciwi. I odważni. Wykazali oni, że są Polacy, którym można ufać.

Jeżeli zatrzymałem się przy casusie przedwojennej Polski, to bynajmniej nie w celu „piętnowania” jej i jej polityków. Po prostu ten przykład jest mi najbliższy i najlepiej znany. Polska nie była w tym lepsza ani gorsza od wielu innych krajów, w krytyce widzących oszczerstwa wrogów i potępiających kalające ptaki. Przykładów można by tu przytaczać bez liku.

Rosja carska nie cieszyła się dobrą opinią w krajach Zachodu. Od Karamzina, poprzez Katkowa, poprzez słowianofilów, aż do księcia Meszczerskiego oficjalna Rosja walczyła z oszczerstwami i intrygami wrogów Rosji. Przecież nawet Puszkina napisał „Oszczercom Rosji” (*Klewietnikam Rossii*). Nie jest to najgodszy utwór wielkiego poety. Trzeba jednak przyznać, że w porównaniu z późniejszymi szermierzami walk z oszczerstwem Puszk-

kin jest jeszcze bardzo umiarkowany i uczciwy. Od „oszczerców” wymaga, by nie wtrącali się do walki rosyjsko-polskiej i by ten wewnętrzno-słowiański spór pozostawili stronom zainteresowanym. Koncepcja Puszkina już wtedy budziła wśród przyjaciół poety duże wątpliwości, ale w każdym razie nie przeczył on, że istnieje zasadniczy spór między Polakami i Rosjanami. Dziś przecież jest ohydny oszczerstwem nazwać po imieniu napaść sowiecką na Czechosłowację.

Na szczęście dla Rosji, honor jej ratowały kalające ptaki. Ratowali go Herzen i Ogarew, wydając w Londynie „Kołokoł”, ratował go Bakunin, organizując (bardzo niezgrabnie) pomoc zbrojną dla Powstania Styczniowego, ratowali go inni emigranci, a później krajowi liberałowie i demokraci. Była to wielka tradycja rosyjskich kalających ptaków, która zaczęła się od Radiszczewa (może od Kurbskiego?) i trwa po dzień dzisiejszy, kiedy garść Rosjan z Litwinowem i panią Daniel na czele publicznie demonstrowała w Moskwie na rzecz Czechosłowacji. Rosyjskie kalające ptaki płaciły — i wciąż płacą — wysoką cenę za swoją mądrość i odwagę. Ale ratują kulturę rosyjską.

Jednakże zagadnienie kalającego ptaka może mieć jeszcze i dalsze aspekty. Od oszczerstwa i szkalowania wypada nam przejść do skandalu i od tej strony spojrzeć na brzydkiego ptaka.

V

Kalający ptak upada najniżej, gdy doprowadza do ujawnienia rzeczy tak złych i tak uderzających, że nie można ich zaprzeczyć. Słowem, mamy tu sytuację, którą się zwykło określać jako skandal.

Skandali boimy się śmiertelnie. Ujawniają one coś bardzo złego, głęboko nas kompromitującego w oczach całego świata. Im bardziej dbamy o naszą reputację, im bardziej jesteśmy dumni z naszej działalności, im mocniej podnosimy cnoty nam właściwe, tym tragiczniej odczuwamy skandal w naszym gronie. Zostaliśmy zdemaskowani, nasza brudna bielizna jest wyniesiona na zewnątrz, zaczęto nas posądzać o obłudę i fałsz.

Skandale odegrały niemałą rolę w rozwoju wypadków historycznych. Skandale na dworze papieża Aleksandra VI nie przeszły bez wpływu na początki Reformacji. Skandal z naszyjnikiem królowej był jednym z czynników — choćby niezbyt poważnych — wybuchu Rewolucji francuskiej. Skandal rasputinowski odegrał niemałą rolę w wybuchu Rewolucji rosyjskiej. Skandal sprawy Dreyfusa wstrząsnął Francją i — na mniejszą skalę — wstrząsnął nią skandal sprawy Stawiskiego.

Wiele lat temu bardzo mądry Polak — Wacław Nałkowski — napisał kapitalny szkic o skandalu i o jego znaczeniu społecznym. Nałkowski w skandalu widział zdrową reakcję społeczności ludzkiej na rzeczy złe, które w niej zachodzą. Jeżeli jest skandal, to znaczy że istnieje opinia publiczna, w której żywe są jakieś kryteria moralne, która nimi mierzy zachodzące wypadki i w ich imię na te wypadki reaguje. Inaczej, że w społeczności istnieje zdolność oburzania się i możliwość wyrażania swego oburzenia. Skandal jest zdrową reakcją opinii publicznej na rzeczy złe i godne potępienia.

Czy brak skandalu świadczy o tym, że wszystko jest piękne, że żyje się w świecie doskonałym? — Niestety, nic podobnego. Świadczy jedynie o tym, że ogół przestał odróżniać zło od dobra, że zło uznaje za coś normalnego i właściwego, że zatracił zdolność oburzania się. Albo też świadczy o tym, że ogół (czy pewne jednostki w tym ogóle) nie ma możliwości wypowiedzenia się, że ma usta zakneblowane. Słowem, świadczy o nieistnieniu swobodnej opinii publicznej.

Mądry Nałkowski nie miał złudzeń odnośnie człowieka i właściwości jego życia w zbiorowości. Wiedział dobrze o ułomnościach tego człowieka i o ułomnościach jego życia zbiorowego. Wiedział, że zło jest nieodłącznym towarzyszem życia zbiorowego. I wiedział, że jedynym na to lekarstwem jest skandal. Społeczeństwo, w którym skandalu nie ma, jest ciężko chore, jest zatrute, a unikając skandalów, jeszcze bardziej samo się zatruiwa. Bardzo niewielu czytelników Nałkowskiego umiało ocenić mądrość jego diagnozy.

Nałkowski rozważania swe pisał na tle sprawy Dreyfusa. Sprawa ta wtedy potężnie wstrząsnęła Francją. Georges Sorel, pisząc o niej, użył wyrażenia „La Révolution Dreyfusienne”. I niewątpliwie konsekwencje jej w pewnym sensie były rewolucyjne. I choć *L'Affaire* należy dziś do historii, nie zaszkodzi pewne jej aspekty teraz sobie w pamięci odświeżyć. Albowiem są w niej rzeczy, których aktualność zawsze jest żywa. Kalający ptak odegrał w niej olbrzymią rolę.

Wśród oficerów francuskiego Sztabu Głównego nie brakło takich, którzy od początku wiedzieli, że Dreyfus jest niewinny. Mieli też poważne posądzenia pod adresem rzeczywistego winowajcy. Z bardzo nielicznymi wyjątkami (właściwie wyjątek był jeden) woleli milczeć. Albowiem powiedzenie prawdy byłoby pokalaniem gniazda. Oficerowie ci milczeli dla racji patriotycznych. Dreyfus był w ich oczach *outsider'em*, był intruzem. Rzeczywisty winowajca — major Esterhazy — był częścią *Establishment*, był jednym ze swoich. Byłoby o wiele większym skandalem

powiedzieć, że swój jest zdrajcą, niż że nim jest *outsider*. Czy mogli kalać gniazdo? Czy mogli kompromitować armię?

Jest rzeczą uderzającą, że racje te były podzielane przez samego Dreyfusa. Był to człowiek przygnębiająco mały i nieciekawym. Bohater *L'Affaire* był tuzinkowym oficerkiem, który przede wszystkim drżał, że gniazdo — armia — może być pokalane. obrońcy Dreyfusa mieli z nim ciężką przeprawę. Któryś z nich powiedział, że Dreyfus był jedynym człowiekiem we Francji, który nie rozumiał o co chodzi w jego sprawie. Krępował ich na każdym kroku, ciągle bał się, że coś zaszkodzi armii. Oczywiście wiedział, że jest niewinny. Ale jednocześnie odczuwał, że gniazdo — choć nie z jego winy — zostało pokalane i bał się, że może być pokalane jeszcze bardziej.

Na szczęście dla Francji, obrońcy Dreyfusa byli ludźmi wielkiego kalibru. Nie bali się kalania gniazda, nie bali się wywołania skandalu. Rzeczywisty winowajca został wykryty, obrońcy jego byli skompromitowani. We francuskim Sztabie Głównym zaszły gruntowne przemiany. Twierdzono, że następstwa ich ujawniły się w latach 1914-1918. Twierdzono, że bez skandalu dreyfusowskiego wynik wojny dla Francji mógłby być bardzo tragiczny. *L'Affaire* doprowadziła Francję do stanu bliskiego wojnie domowej. Ale oczyściła atmosferę życia francuskiego, wykazała się francuskiej opinii publicznej, dowiodła, że w społeczeństwie francuskim działają czynniki zdrowe i twórcze. Było to uzdrowienie, przynajmniej na czas pewien.

Ucieczka przed skandalem, próby zatuszowania go w imię patriotyzmu, w imię niekalania gniazda — oto symptomy głębokiego schorzenia społecznego, oto symptomy rozkładu moralnego. Gdzie człowiek, tam zło i głupota. Lekarstwem na to — choćby tylko doraźnym — jest skandal i kalanie gniazda.

VI

Od czasu do czasu korespondenci moi w Polsce przysyłają mi wycinki z prasy krajowej. Odnoszą się one do wypadków w Ameryce i z reguły przedstawiają życie w Stanach Zjednoczonych w bardzo złym świetle. Intencje moich korespondentów są jasne: chcą mnie poinformować o sprawach, o których ja — w ich przekonaniu — nie wiem i wiedzieć nie mogę. Uderzające jednak jest to, że wycinki te stale podają źródła — prasa amerykańska, tacy czy inni amerykańscy pisarze. Najwidoczniej źródła te nie są przez moich korespondentów dostrzegane. *A priori* zakładają oni, że ja o tych rzeczach wiedzieć nie mogę, albowiem nie mogą one być w Ameryce ogłaszane.

Potwierdzając odbiór tych wycinków prasowych, zwracam

uwagę mym korespondentom, że ja o tych wypadkach chyba wiedzieć powinienem, skoro artykuły prasy polskiej czerpią swą treść ze źródeł amerykańskich i na nie się wyraźnie powołują. Mam wrażenie, że ta moja uwaga wywołuje w mych korespondentach swego rodzaju konsternację. Rzeczywiście w artykułach tych jest powoływanie się na źródła amerykańskie. Czy jednak jest możliwe, by w Ameryce tak pisano!

Korespondenci moi nie są prostaczkami. Jednakże ci, którzy przysyłają mi wycinki prasowe, od dawna albo nigdy nie wyjeżdżali poza granice Polski, wyrosli w określonej atmosferze, są nią przesiąknięci. Jest dla nich nie do pomyślenia, by mógł być kraj, w którym otwarcie i bez skrępowania pisze się takie rzeczy.

Robienie propagandy antyamerykańskiej jest czymś arcyprostem i nie wymagającym wielkiej imaginacji. Wystarczy w tym celu wykorzystywanie prasy amerykańskiej, książki amerykańskiej, radia i telewizji. Niedawno na telewizji oglądałem program poświęcony miastom amerykańskim. Zmontował go słynny Walter Cronkite, składał się z trzech części, z których każda trwała godzinę, i był wstrząsający. Było to znakomite, brutalnie szczere, nieubłagane odważne przedstawienie tych schorzeń społecznych, jakie towarzyszą rozwojowi amerykańskich metropolii miejskich.

Zrobienie z tego propagandowego widowiska antyamerykańskiego byłoby sprawą dziecinnie łatwą. Wystarczyłoby w tym celu nożyczki, wycinające pewne miejsca, szczególnie część odnoszącą się do nowych a już wprowadzanych w życie prób przebudowy i reorganizacji. To co nożyczki zachowałyby, byłoby wystarczająco bogate i sugestywne, by Amerykę pokazać w jaknajgorszym świetle.

Program, o którym mówię, zrobił na mnie bardzo silne wrażenie. Ale podobnych programów — gorszych czy lepszych — telewizja amerykańska podaje bez liku. A prasa? Wystarczy wziąć do ręki dowolny numer *The New York Times* czy innego pisma codziennego, czy jakiegoś tygodnika, by przedstawić sobie Stany Zjednoczone jako piekło. A książka amerykańska? Z literatury, poświęconej złym stronom życia amerykańskiego, możnaby zrobić całe biblioteki.

W tych warunkach fakt, że propaganda komunistyczna ogłasza o Ameryce idiotyczne kłamstwa, musi być uważany za nadmiar gorliwości. Po co kłamać, skoro prawda może być tak użytecznie wyzyskana? Prasa amerykańska od czasu do czasu przedrukowuje najbardziej bzdurne fałsze, podawane przez propagandę sowiecką. Podaje je bez komentarzy, raczej w tonie humorystycznym. Nigdy nie ma tu mowy o szkalowaniu czy oszczerstwach. Nigdy!

Ameryka jest doskonale świadoma, że na rynku opinii światowej papiery jej stoją bardzo nisko. I jest z tego powodu bardzo nieszczęśliwa. Ale w żadnym wypadku nie mówi się tu o kampanii oszczerczej, o zмовie wrogów szkalujących Amerykę. I nie mówi się o kalających ptakach. Czasami jest nuta goryczy. Ostatecznie Ameryka coś niecoś zrobiła dla innych krajów. Choćby dla Francji. Dlaczego tak szybko zostało to zapomniane? Dlaczego mówi się tylko o tym co złe? Co zrobić, aby *image* Ameryki, jej obraz w oczach świata uległ zmianie? I tu dominuje przekonanie, że dla zmiany tego obrazu niezbędne są zmiany w samej Ameryce, usunięcie z niej tego co złe i chore. I to nie tylko dlatego że psuje to opinię innych o Ameryce. To jest drugorzędne. Istotne jest to, że Ameryka musi być zdrowa. I to wysuwa się na czoło wszystkich zagadnień. I to sprawia, że w Ameryce z taką brutalną szczerością mówi się o złych stronach własnego życia.

Przez całe dzieje Stanów Zjednoczonych protest był jednym z najważniejszych nurtów ich życia. I — na szczęście — tak jest nadal. Wciąż tu się przeciwko czemuś protestuje, i to nieraz w sposób bardzo namiętny i gwałtowny. Idąc ulicami miast amerykańskich, jakże często natraficie na jakąś grupę protestującą publicznie. Celem protestu może być wojna w Wietnamie, albo kierownictwo lokalnej szkoły publicznej. Mogą być warunki życia getta murzyńskiego, albo zachowanie się policjanta na ulicy. Mogą być rzeczy bardzo doniosłe o znaczeniu ogólnonarodowym, albo wydarzenia lokalne obchodzące daną dzielnicę czy ulicę. Można by powiedzieć, że te protestujące manifestacje są częścią krajobrazu amerykańskiego miasta. Są one uważane za coś oczywistego i są pod opieką prawa. Jeżeli protest jest niepopularny, jeżeli może spotkać się z wrogią reakcją innych, obowiązkiem policji jest zapewnienie ochrony protestującym. I ochrona ta jest zapewniona. A jeżeli policja w tym egzaminu nie zda, wybucha skandal, przez cały kraj toczy się fala oburzenia i protestu.

Niedawno przeprowadzony był *poll* na temat: czy Ameryka jest chora (*Is America sick?*). Przeszło trzecia część pytanym dała na to pytanie odpowiedź twierdzącą, nie będąc zresztą zgodna w podawaniu symptomów choroby (o chorobie Ameryki najwięcej mówili ludzie o poglądach skrajnie prawicowych i skrajnie lewicowych). Ludzie, którzy mówili o chorej Ameryce, wyrażali w ten sposób swój protest, swe niezadowolenie czy oburzenie. I nikt, absolutnie nikt, nie nazywał ich kalającymi ptakami czy oszczercami.

Bardzo niedawno czytałem artykuł, którego autor pyta — skoro wciąż mówi się o tym co w Ameryce jest złego, czy nie warto byłoby zapytać, co w niej dobrego? Tu nawiasowo dodam, że rzeczywiście o rzeczach dobrych pisze się stosunkowo bardzo

mało, i nigdy w tonie chwalenia się. Rzeczy dobre są uznawane za oczywiste (*taken for granted*) — coś tak jakby zdrowie, o którym pisze się znacznie mniej niż o chorobach. Osobiście sędzę, że w Ameryce jest bardzo dużo dobrego i że jedną z najlepszych w niej rzeczy jest brutalna szczerość, jest odwaga mówienia o rzeczach złych i kompromitujących. Wielką rzeczą w Ameryce jest protest i prawo protestowania, wielką rzeczą w Ameryce jest ogromna ilość kalających ptaków, wielką rzeczą w Ameryce jest ciągle wywoływanie skandalów. Albowiem wielką rzeczą jest istnienie sumienia publicznego i zdolność jego wypowiedzania się. Jest świadectwem dojrzałości Ameryki, że wydobywa się najaw rzeczy złe, nie myśląc o tym, jakie wrażenie robi to gdzie indziej. A jeżeli wrażenie jest złe, to nie mówi się o szkalowaniu i oszczerstwie.

I dlatego sędzę, że rdzeń Ameryki jest zdrowy, choć jest w niej tyle schorzeń, tyle rzeczy bolesnych i niepokojących. Ale wierzę w przyszłość narodu, który odważnie potrafi mówić źle o sobie samym i który stale jest w poszukiwaniu środków zaradczych przeciwko temu złu. I poszukiwanie to nierzadko bywa uwieńczone powodzeniem.

W Ameryce zachodzą przemiany, których tempo, rozmiary i wszechstronność są ogromne. Możemy tu mówić o rewolucji. Jest ona bardzo różna od rewolucji wieku XIX, których szczytem była rewolucja bolszewicka. Jest to rewolucja wieku XXI. W mękach rodzi się w niej nowa rzeczywistość.

Nie twierdzę, że ta nowa rzeczywistość przyniesie nam doskonały porządek współżycia ludzkiego, Żadna rewolucja tego nie przyniosła, choć każda obiecywała. Naród amerykański, biorąc udział w swej rewolucji, w olbrzymiej większości nie jest tego nawet świadom. Ale wie, że coś jest złego, chce zło zmienić, wie, że coś się zmienia.

Jak wszystko co ludzkie, demokracja amerykańska jest pełna braków i wad. Niektóre z jej wad są bardzo wielkie. Ale jest demokracją, i to nie tylko z nazwy. Istotą demokracji jest dyskusja, jest dysydenctwo, jest protest. Istotą demokracji jest kłanie gniazda, jest obowiązek nazywania rzeczy po imieniu. Istotą demokracji jest walka z zakłamaniem i obłudą. Tam gdzie pogląd, który nam nie odpowiada, jest nazywany oszczerstwem, tam gdzie jest on tępiony, gdzie grozi zań odpowiedzialność karna, tam demokracja nie istnieje. „Demokracje ludowe” nie są demokracją, nie są nawet jej parodią. Są zwyczajnie formą faszyzmu. Pan Bolesław Piasecki mógł doskonale znaleźć dla siebie miejsce w Polsce pp. Gomułki czy Moczara. W rzeczywistej demokracji mógłby istnieć, ale tylko na marginesie życia zbiorowego.

VII

*Nie ten gniazdo kala co je kala,
Ale ten co mówić o tym nie pozwala.*

Napisał to kiedyś Norwid, który był zarówno wielkim poetą jak i człowiekiem mądrości niezwyklej. Współcześni pogardliwie do niego się odnieśli, za prawdziwych poetów uważając Lenartowiczów, Ujejskich czy Polów. Lepiej ocenił go „późny wnuk”, ale też nie zawsze i nie zupełnie. Norwidowską myśl o kalającym ptaku teraz dopiero zaczyna lepiej rozumieć.

Biada społeczeństwu, w którym nie ma kalających ptaków, albo w którym ptaki takie są tępione. Biada społeczeństwu, w którym nie ma skandalów. I biada społeczeństwu, które wobec swych oskarżycieli zna tylko jedną odpowiedź — wołanie o oszczerstwach, o szkalowaniu, o kalumnii. Jest to społeczeństwo chore czy — w najlepszym razie — niedojrzałe.

Garść pisarzy i intelektualistów polskich, garść pisarzy i intelektualistów sowieckich, którzy wbrew terrorowi zdobyli się na słowa protestu, jest jakąś iskrą nadziei, jest jakimś świadectwem, że nie wszystko tam zarosło błoną podłości. Chcę być dobrze zrozumiany. Nie chodzi o to, że jest to protest przeciw głupocie i podłości systemu komunistycznego. Tak samo iskrą nadziei był protest garści polskich pisarzy i intelektualistów, którzy w Polsce przedwojennej protestowali przeciwko Berezie, przeciwko krzywdom których ofiarami były mniejszości narodowe, przeciwko pacyfikacjom i gettu ławkowemu. Chodzi o wieczny protest przeciwko wszystkiemu co złe i głupie, bez względu na to w imię czego i w jakich warunkach ustrojowych owo złe i głupie występuje. Garść pisarzy, intelektualistów i artystów niemieckich próbowała ratować honor Niemiec w czasie nocy hitlerowskiej. Pisarze i intelektualiści francuscy ratowali honor Francji w czasie *L’Affaire* i później w epoce Vichy. Jeżeli takich kalających ptaków zabraknie, przychodzi długa noc podłości i nędzy moralnej. Cisza, jaka wtedy panuje, jest ciszą cmentarza.

W Ameryce jestem świadkiem ciągłych protestów. Niemala jest wśród nich takich, z którymi się nie godzę. Niejednokrotnie mam głębokie zastrzeżenia wobec form, jakie pewne z nich przybierają. Ale jestem szczęśliwy, że one zachodzą, i jestem szczęśliwy, że powszechnie uznawane jest prawo do ich zachodzenia. Jest tu nieraz wrzask i zgiełk, ale nie ma ciszy cmentarnej.

Ze smutkiem i niepokojem myślę o krajach, w których protesty zbiorowe są albo inscenizowane przez agentury policyjne, albo — jeżeli są naprawdę żywiołowe, jeżeli są naprawdę protestami — spotykają się z pałkami tychże agentur policyjnych.

I towarzyszy im wrzask potępieńczy innych agentur, nazywających się partią, prasą, zdrową opinią szerokich mas pracowniczych. I myślę o tych najlepszych, których protest prowadzi do więzień.

Chcę jednak być optymistą. Wierzę, że *obowiązek* kalania gniazda, *obowiązek* skandalu i protestu dojdzie do głosu nawet tam, gdzie nigdy nie miał on mocnych korzeni i gdzie obecnie uznawany jest za przestępstwo. Czołgi sowieckie, wspomagane przez czołgi pana Gomułki, zdławiły bunt i protest Czechosłowacji. Tak pan Gomułka wykazał swą wierność tradycji „Za wolność waszą i naszą”. Ale Czechosłowacja dowiodła, że rdzeń jej jest zdrowy, że wielkie dzieło wychowawcze Tomasza G. Masaryka zostało jednak głębokie ślady, które nie pozwoliły jej zarosnąć błoną podłości. I w tym jest jakaś iskra nadziei, że cisza cmentarna i tam kiedyś przeminie. Teraz możemy tylko schylić czoło przed bohaterstwem tych nielicznych ptaków, wciąż kających ptaków, które próbują ratować honor swej puścizny kulturalnej.

Aleksander HERTZ

Jackson, N.H. 1968.

ALEKSANDER WAT

CIEMNE ŚWIECIDŁO

Poezje zebrane
Okładka Jana Lebensteina
Stron 244.

CENA: We Francji Frs. 20,00
W Anglii Sh. 30/-
W USA i innych krajach \$ 4,25

**Książka do nabycia we wszystkich
polskich księgarniach lub u Wydawcy:**

LIBELLA

12, RUE SAINT-LOUIS-EN-L'ÎLE · PARIS IV

Wygnanie z Polski

Urodziłem się w największym — trzy i pół milionowym — i najstarszym kulturalnie skupisku żydowskim, które znane było na świecie jako „polski Iszuw”. Mam zaledwie trzydzieści dwa lata. Rok temu, gdy Polskę opuszczałem, mieszkało tam wciąż jeszcze dwadzieścia pięć tysięcy Żydów. Dziś, gdy piszę te słowa, połowa owych dwudziestu pięciu tysięcy opuściła lub właśnie opuszcza polski kraj. Jak szybko pędzi ta historia!

Nikt tu na Zachodzie nie jest zmartwiony faktem, że Żydzi opuszczają Polskę. Przeciwnie, tutejsi Żydzi uważają, że powinni oni opuścić Polskę i to możliwie jak najszybciej. Nawet rząd amerykański odstąpił od żelaznych zasad swej polityki imigracyjnej i chętnie udziela wiz Żydom uciekającym z Polski.

Pewne jest, że Polska może się obejść bez swoich Żydów i miejmy nadzieję, że i te kilka tysięcy polskich Żydów poradzi sobie jakoś bez Polski. Bez Polski żyje kilka milionów Polaków nie-żydowskiego pochodzenia i jakoś sobie radzą, a znam kilka milionów Polaków w Polsce, którzy dziś pragnęliby się znajdować poza jej granicami. A więc nie jest to wielki problem. Los dwudziestu czy trzydziestu tysięcy ludzi nie ma większego znaczenia dla takiego kraju jak Polska i ponad trzydziestomilionowego narodu, nawet jeśli trzeba będzie parę tysięcy uczonych, inteligentów i specjalistów zapisać na straty. Większe straty już Polska ponosiła i „nie zginęła”. Chodzi więc raczej o etyczne, moralne, literacko-sentymentalne i historyczne znaczenie sprawy.

Dla historii jest to bowiem jeszcze jedno wygnanie. Takie jak wygnanie z Hiszpanii (w 1492 roku), jak wygnanie Aryan, Braci Polskich. Rok 1968 jest rokiem wygnania Żydów z Polski, rokiem, w którym zakończyło się zjawisko znane jako żydostwo polskie i warto, żebyśmy sobie z tego zdawali sprawę.

Żydostwo polskie nie przestało istnieć w roku 1942, gdy likwidowano getta i uruchamiano komory gazowe, ani w 1943, gdy zdławiono rozpaczliwy opór w warszawskim getcie, ani w

1945, gdy stwierdzono, że sponad trzech milionów polskich Żydów pozostały popioły. Żydostwo polskie przetrwało stalinowskie represje. I s z u w pozostał nawet po masowej ucieczce w latach 1957-9.

Żydzi polscy byli uparci, tak jak wszyscy Polacy. Nie chcieli porzucić tysiącletniej tradycji, nie pogodzili się z klęską. Przejęli od Polaków hasło — byliśmy, jesteśmy, będziemy! Stąd właśnie owe zadziwiające zjawisko odrodzenia z popiołów, które miało miejsce w pierwszych latach po wojnie. Żydowskie szkoły ludowe, książki, Instytut Historyczny, teatr, żydowskie spółdzielnie pracy, ośrodki szkolenia zawodowego, kluby. Żydzi zza granicy nie żalowali na te cele pieniędzy. Byli to przede wszystkim byli polscy Żydzi. Przysyłali maszyny i surowce dla żydowskich spółdzielni, drukarni, podręczniki dla szkół, budowali budynki teatralne (Łódź, Wrocław, Legnica), utrzymywali domy sierot, bursy i domy starców, przysyłali żywność, odzież, lekarstwa.

Z początku rząd „ludowy” nie czynił trudności. Przeciwnie, rząd, który mógł liczyć na popularność wśród katolickiego, nacjonalistycznie i antysowiecko usposobionego narodu, był wyjątkowo łaskawy dla Żydów, którzy nie byli nacjonalistami, mieli stare żale do katolików, Rosjan uważali za swoich wybawicieli od niechybnej hitlerowskiej zagłady, a poza wszystkim było wśród Żydów więcej przedwojennych komunistów niż wśród pozostałych dwudziestu kilku milionów Polaków.

Wracali Żydzi, którzy przetrwali wojnę w Rosji. Osiedlano ich na Ziemiach Zachodnich. Rządowi bardzo zależało na zaludnieniu tych Ziemi. Załatwiły życiem malownicze dolnośląskie miasteczka. Dolny Śląsk stał się czymś w rodzaju żydowskiej autonomicznej republiki.

Polska się odbudowywała. Czy odbudowywała się źle? Tak, źle. Ale odbudowywała się w jedyny wówczas znany, komunistyczny sposób i nie inaczej niż pozostałe kraje komunistyczne. W 1968 roku usiłuje się zrzucić winę za to na Żydów. Byłoby iście „żydowskim zarozumiałstwem” twierdzenie, że Polskę odbudowali Żydzi. Najwyżej brali oni w tej odbudowie czynny udział, który obecnie określa się jako procentowo zbyt czynny...

Pytanie — czy gdyby po wojnie nie było w Polsce Żydów, to stalinizm polski miałby inną twarz? Miałby najwyżej trochę inny — nos. Jeden był wówczas Stalin i stalinizm też był jeden. Gomułka nie miał takich szans jak marszałek Tito, nie miał też nigdy jego talentu politycznego i rozumu. Teraz się mówi, że to żydowscy komuniści, którzy „przyszli z Rosji w polskich mundurach” przeszkodzili Gomułce w jego ówczesnych genialnych zamysłach. Byli to jednak zwyczajni ordynarni cwaniacy uprawiający od dawna znane i tradycyjne, komunistyczne łobuzerstwo polityczne. Zrobili oni w 1949 roku Gomułkę „na szaro”, tak samo jak uczynili w 1952 roku beriojscy antysemici z żydowskimi komunistami w Czechosłowacji i tak

samo jak postąpił Gomułka ze swoim Staszewskim i Zambrowskim. W Albanii chyba nikt jeszcze nigdy w życiu nie widział Żyda, a stalinizm — dotychczas trwa.

Po roku 1949 wszystkie żydowskie — za żydowskie pieniądze uruchomione — instytucje gospodarcze i kulturalne przejęte zostały przez państwo i partię. Spółdzielnie przestały być żydowskie, gazeta stała się oficjalnym organem KC, a teatr został upaństwowiony. Powołano Towarzystwo Społeczno-Kulturalne Żydów w Polsce, rodzaj żydowskiego ministerstwa. Decydowało ono o wszystkim co żydowskie. Wyrażało między innymi opinię o tym, czy dany Żyd powinien otrzymać paszport na wyjazd z Polski czy nie. Odpowiedź była najczęściej odmowna. Towarzystwu chodziło o to, żeby mieć jak najwięcej Żydów do rządzenia nimi i reprezentowania ich wobec rządu. Rządowi chodziło o to, żeby pokazać światu jak to komunistyczna Polska zapewnia swoim żydowskim obywatelom równouprawnienie i „wszechstronny rozwój”, roznicało to — i tak nie małe wśród zachodnich Żydów po wojnie — prokomunistyczne sympatie. TSKŻ był wówczas instytucją bardzo mile widzianą i bardzo wysoko cenioną w KC Partii i Urzędzie Bezpieczeństwa. Był on jednocześnie instytucją nienawidzoną przez dziesiątki tysięcy zwyczajnych Żydów, którzy nie zajmowali stanowisk ani „w rządzie ani w sądzie”. O tym już mało kto dziś pamięta. Pamięta się żydowskiego pochodzenia urzędników bezpieki, którzy byli cięci na „polski nacjonalizm”, ale nikt nie pamięta, co wyprawiali oni z żydowskimi rzemieślnikami (właścicielami własnych warsztatów i członkami spółdzielni), i sklepikarzami w Łodzi. Ja pamiętam. Nie było z czego żyć. Szewcom nie przydzielano skóry, krawcom nie dawano tkanin, nie żałowano im tylko — podatków. Żyd się nigdy nie zgodzi, żeby jego rodzina głodowała, od czego ma żydowską głowę? — więzienia były przepełnione Żydami... Specjalistami od wykrywania „żydowskich” nadużyć byli żydowscy agenci bezpieki, niektórzy w biurach UB, a niektórzy w terenowych oddziałach TSKŻ-u.

Po 56 roku TSKŻ stał się bardzo uprzejmy dla Żydów. Zaoferował się nawet z pomocą dla tych, którzy wyjeżdżali do Izraela. Na zebraniu w łódzkim klubie TSKŻ-u ludzie wołali z sali: — Wy nam nie pomagajcie! Wystarczy jeśli nie będziecie przeszkadzać! — W tym czasie najbliżsi koledzy i przyjaciele Minca i Bermiana (świeć im się powodziło pod ich rządami) spuścili po raz pierwszy po wojnie psa antysemityzmu, żeby ratować swoje posady. Kilkadziesiąt tysięcy Żydów wyjechało do Izraela. Wyludniły się dolnośląskie miasteczka, wyglądają one dziś raczej jak wsie.

Mówi się dziś (propaganda warszawska tak mówi), że Żydzi, których za czasów Bieruta nie brak było w „rządzie i sądzie”, nagle pozmieniali poglądy... To nie oni, Żydzi, zmienili poglądy. Uczynili to wszyscy, rząd, urząd bezpieczeństwa, parumilionowa partia, Józef Cyrankiewicz i Mieczysław Moczar. Gdzie był Moczar za Stalina? W łódzkiej bezpiece. A Cyrankiewicz? W rządzie.

Moczar i „moczartyzm” to tylko taka zła chwila, która minie, przypadnie, zostanie zapomniana. Ale jak symbol — jak symbol Polski Ludowej — świeci wysokie, miedziane czoło *premiera* Cyrankiewicza.

Kim są wygnani dziś z Polski Żydzi? Wygnani nawet jeśli odmawia im się wyjazdu. Charakterystyczne są dwie grupy. Pierwsza grupa, to po prostu Polacy — ludzie, którzy dawno zapomnieli, że byli Żydami, nie wyznają żydowskiej religii, nie znają żydowskiego języka, los i karierę związali z losem kraju. Są to uczeni, artyści, pisarze, dziennikarze, urzędnicy i komuniści, politycy. To ma być „mniejszość narodowa”? Czy robiący teraz w Polsce zawrotną karierę młody pisarz Brycht, który tak często podkreśla swoje niemieckie pochodzenie (niemal łaskę robi Polakom, że chociaż Niemiec woli Polskę od jakiegokolwiek innego kraju) reprezentuje w polskiej literaturze niemiecką mniejszość narodową? Do tej grupy Żydów-Polaków zaliczałem się i ja, chociaż po wstąpieniu do zespołu Teatru Żydowskiego zacząłem należeć jednocześnie do drugiej grupy, którą nazywam „Żydami zawodowymi”.

„Zawodowi Żydzi” to byli owi uparci, którzy nie chcieli się zgodzić, aby zagał ślad po polskich Żydach. Od 1956 roku znów genewski JOINT zaczął przysyłać pieniądze i maszyny. Trzydziestotysięczna „mniejszość narodowa” miała nadal swoje szkoły, teatr, wydawnictwo, letnie kolonie dla dzieci, młodzieżowe zespoły wokalne i orkiestry (big-beatowe!), z których najlepszą był kwartet osławionego Klubu Babel. Znowu zaczęły prosperować żydowskie spółdzielnie pracy. Wszystko to było możliwe dzięki przychodzącym z zagranicy pieniądzom, z których nie wszystkie przepadały w kieszeniach post-stalinowskich bonzów TSKŻ-u.

Śmieszny, żałosny klub imienia Izaaka Babla. Ze trzydzieści lub czterdzieści nastolatków, którzy co sobotę schodzili się na tańce i inne swawole. TSKŻ namawiał ich, żeby stworzyli przynajmniej kółko dramatyczne, żeby czytali książki i dyskutowali nad nimi. Nic nie pomagało. Sprowadzano im Sławę Przybylską (2000 za taki wieczór), Wiecha, a nawet Gustawa Holoubka, ażeby młodzież nie poprzestawała na zainteresowaniach taneczno-seksualnych. Na spotkania z Przybylską, Wiechem i Holoubkiem przychodzili, ale nie można ich było namówić na przyjście do Teatru Żydowskiego. Nie rozumieli ani słowa po żydowsku i nie interesowało ich ani trochę co myśmy tam grali (repertuar był rzeczywiście śmiertelnie nudny i przeznaczony chyba tylko dla ludzi w podeszłym wieku). A zatem to oni, Klub Babel, jakobini warszawcy 1968 roku, odegrali tak doniosłą rolę w politycznym życiu kraju! Jak to pozory czasem mylą...

Nie ilość decydowała o tym, czy polskie żydostwo, polski ISZUW istniał, czy nie. Trzy miliony Żydów w Związku Sowieckim nie mają żydowskiego teatru, a trzydziestotysięczna garść polskich Żydów do samego końca miała. Chodzi więc o wartości pozaliczne.

Kres polskiemu iszuwowi i kulturze żydostwa polskiego położyły represje lat 1967-8, a nie hitleryzm ani stalinizm. Być może antysemicka propaganda w Polsce ma rację, że istnienie w Polsce ośrodka żydowskiego wcale nie było Polsce potrzebne. Nie usprawiedliwia to jednak obskurantyzmu. Prasa zażądała zaprzestania nauczania w Polsce języka żydowskiego. Dziennikarz prowincjonalnej gazety (format gazety — chusteczka do nosa) zwiedził miejscowy klub żydowski, a potem napisał, że patrzyły na niego portrety obcych ludzi, a na półkach leżały pisma w zupełnie niezrozumiałym języku. Więc co, jeśli „obce” i „niezrozumiałe” to zakazać, zniszczyć, wyrzucić? Muszę zwrócić się do tego człowieka (który *nota-bene* próbował już 10 lat temu antysemickich wyczynów na łamach prasy) jak do dziecka: Czy to wina Szołema Ałejchema, Mendele, Pereca, Asza, Lewika, Bialika i Kaganowskiego, że dla dziennikarza zielonogórskiej gazety obce są ich nazwiska i twarze? Dzisiaj rozumiem, że istnienie żydowskiej kultury w Polsce po wojnie nie było potrzebne. Ale też niczym Polsce nie przeszkadzało. Natomiast jej likwidacja, niestety, przynosi wstyd.

O okupacji hitlerowskiej i zagładzie Żydów w Polsce zawsze różnie mówiono. Jedni twierdzili, że Polacy mogli udzielić Żydom więcej pomocy, inni twierdzili, że nie mogli. Wszyscy wiedzieli, że były akty szlachetności, ofiarności, odwagi i bohaterstwa w niesieniu pomocy Żydom. Rząd izraelski udekorował za to wielu Polaków. Znane były też — szantaż i szmalcownictwo. Ale nawet ludzie, którzy ujemnie oceniali zachowanie się Polaków wobec Żydów, musieli zadawać sobie pytanie, czy jakkolwiek inny naród na miejscu i w sytuacji Polaków zachowałby się inaczej? A na to pytanie nie ma odpowiedzi.

Rozpętana heca antyżydowska w Polsce otworzyła na nowo rany. Na podstawie tej hecy ludzie zaczęli wyciągać wnioski. Jeśli do takich wystąpień zdolni są polscy aparatczycy i dziennikarze teraz, po tym wszystkim co się stało, to do czego byliby oni zdolni w warunkach hitlerowskiej okupacji? Jeśli tacy właśnie są „partyzanci” Moczara, to jak postępowali oni z Żydami, których spotykali w lesie?

Nie ma żadnej antypolskiej kampanii na świecie — cóż w końcu można przez taką kampanię uzyskać? — panuje tylko nieprzychylna o Polsce opinia, która potwierdziła się jeszcze po inwazji na Czechosłowację. Ludzie na Zachodzie ciągle jeszcze uważają, że jeśli społeczeństwo się nie zgadza, to rząd nic nie może uczynić. Nieprawdą jest, że każdy naród ma taki rząd na jaki zasługuje. Naród polski wcale sobie na swój dzisiejszy rząd nie zasłużył. Ale też nie tylko reżym ponosi odpowiedzialność. Polski reżym dysponuje dwu i pół milionową partią dorosłych ludzi, których nikt do wstępowania do partii nie zmuszał. Jest to już jednak zagadnienie z dziedziny — totalitaryzm a słabości duszy ludzkiej... Z tej samej dziedziny jest zresztą i zachowanie się warszawskiego TSKŻ-u, który wprowadził wykręcał się jak mógł od podpisania haniebnej deklaracji potępiającej Izrael,

ale w końcu napluł sobie w twarz i podpisał. Czy został do tego naprawdę zmuszony? Czy groziło mu więzienie, zesłanie, kara śmierci? Tylko utrata posad, do których ci starsi panowie są bardzo przywiązani. Pod tym względem bardziej zasługują na moralne wytłumaczenie członkowie Judenratów, którym groziła śmierć.

A zatem oprócz antysemityzmu z Polską kojarzy się ostatnia wyprawa ciemnoty przeciw małemu narodowi próbującemu uzyskać trochę wolności i niepodległości. Prawdziwa ironia losu, żeby Polska miała być w takim przedsięwzięciu głównym partnerem Rosji. Nie wiem co może uczynić naród polski. Nikt dziś tego nie wie. Mówi się, że walka byłaby samobójstwem. Rezygnacja też jest samobójstwem — tyle że powolnym. Może czekać aż skończy się cierpliwość samego narodu rosyjskiego (są już pewne przejawy) i zbuntuje się on w imię własnej godności i ludzkich praw? Reżym komunistyczny jest, wbrew pozorom, jednym z najtchórzliwszych. Jest bezwzględny wobec przejawów buntu, ale straszenie się buntu boi, jest nieustępliwy wobec argumentów, ale szybko ustępuje przed siłą. Można to było zauważyć po buncie berlińskim (1953), powstaniu poznańskim i rewolucji węgierskiej 1956 roku. Po każdym — nawet najokrutniej stłumionym — buncie nie wzmacnia się terror lecz przeciwnie, następuje „odwilż”, „poprawa warunków bytu”, „samokrytyka” i owe dziwaczne zjawisko zwane demokratyzacją. Jestem pewny, że nawet po chamsku zgwałcona Czechosłowacja otrzyma za swój bunt pewne koncesje i będzie się przez najbliższe kilka lat cieszyła względną wolnością osobistą. Tylko zbuntowany naród uzyskuje od komunistycznego rządu jakieś prawa, daje to więc narodowi możliwość wyboru i wierzę, że i w Polsce dojdzie wkrótce do ponownego buntu, bardziej zasadniczego niż wypadki marcowe, niezależnie od tego jakie będzie zdanie teoretyków w tej sprawie.

Może jeszcze sytuacja się zmieni tak dalece, że Polacy wrócą sobie — zgodnie z tradycją — zaszczytniejsze miejsce wśród narodów. Jedno się tylko nie zmieni — wygnani nie wrócą. Historią rządzi bezpowrotność. Brzydka karta, na którą nie zasługuje tysiącletnia historia Polski. W swym rozmiarze wygnanie Żydów jest większą krzywdą niż wygnanie Aryan. Nie dla Żydów lecz — dla Polaków.

Henryk GRYNBERG

O domu, rozbiórce i z ruin powstaniu

List wielkopostny owcy do pasterzy
w Środę Popielcową

I

Stał
ów Potężny Dom,
który zostawił Pan
spadkobiercom przez nakładanie rąk.

Jakimże zapalem gorzeli
— jak dumni byli —
„Bramy piekielne go nie przemogą!”
— jak dumni,
— jak pewni,
jak niechlujni w dbałości o jego utrzymanie.

Zapomnieli.
Powiedział im, by czuwali,
nakazał im uważać,
aby Lew nie wkradł się między nich,
— ale zapomnieli —
będąc bardzo zajęci głoszeniem światu
tego samego ostrzeżenia.

Zapomnieli o odpowiedzi Jego
danej matce Zebedeuszów.
Nie uczynili złotego cielca,
— o, nie! —

lecz poczynili sobie trony
i miękkie szaty dobranych kolorów
i siedziby królewskie,
i Kielich Jego był im gorzki
i odwrócili swe wargi od niego,
przywiązani do tego świata
złotymi łańcuchami na szyjach,
na których, — dla drwiny —
zawiesili Znak Zbawienia;
gdyż przyjęli na raty
ozdoby i godności królestw tej ziemi,
które On odrzucił na Górze
raz jeden
w imieniu spadkobierców przez nakładanie rąk.
(I zaprawdę sami się potępiają,
zawieszając kapelusze swej chwały
aż do rozkładu,
lecz nie przedtem, zanim głowy, które je nosiły,
uległy zgniliźnie.)

Dlatego,
chowając się w chłód cieni namiotów,
pozostawili swoje owce
na żarze suchych pastwisk,
aż zaczęły się skarżyć:
„Nasz Bóg umarł!”
(A fałszywi prorocy przejęli ich miejsce
na wypalonych łąkach.)
Lecz oni dalej
głosili im znój, popioły i pokutę
i to, że „robotnicy godni są swojej zapłaty”,
— pasterze przez nakładanie rąk.

II

I rozpadł się potężnie — ów Potężny Dom
i odłam rozłamał się na odłamy
(zbyt wiele ozdobnego tynku,
za mało jaskółczych gniazd,
dozwolonych z Miłości).

Lecz oni znaku tego nie potrafili odczytać;
dla nich on ciągle był „Jeden”
„I bramy piekielne go nie przemogą!”

O ślepcy i przewodnicy ślepych,
— tak dumni —
— tak pewni —
tak niedbali w utrzymaniu
Jego Domu,
spadkobiercy przez nakładanie rąk!

Coście zachowali umiejętność czytania Jego Słowa
wargami i oczyma,
z uroczystą intonacją,
poprzedzając Je błogosławieństwem i przyklękaniem,
przy blasku świec,
wywyższając Je na rzeźbionych ambonach,
dla głodnych i spragnionych tłumów — tam — na dole,
a straciliście — sercem i duchem.

Coście Je wysuszyli,
coście zagłuszyli Je
subtelnym szumem i szelestem
gór piasku
zwanego „teologią”,
spadkobiercy przez nakładanie rąk.

III

Czas zawołać robotników do rozbiórki.
Wezwijcie więc robotników
nim będzie za późno!

Wpierw — niech zerwą dachówki
(i tak przeciekają),
potem, — potężne zmurszałe krokwie.

Niech na chwilę uleci powietrze
zatechłe od wieków swądem woskowych świec
i kadzidła,
buchającego w potrójnie gęstych kłębach
przed ludźmi,
niż przed Chlebem,
który On przełamywał,
nie, aby był oprawiany w złoto,
lecz pożywany.

Pochlebcy Boga,
coście naczynie ozdobili na zewnątrz,
a odwróciliście swą uwagę od wnętrza,
spadkobiercy przez nakładanie rąk.

Niech gwiazdy na chwilę łagodnym światłem spojrzą
na artystyczną mozaikę podłogi.
(Któż ją porówna do mozaiki
gwiazd i galaktyk?)
Niech miękki deszcz na chwilę
obmyje ślady zbyt wielu niepotrzebnych kroków,
pozostawionych przez zgromadzenia zmęczonych tłumów,
które winno się było szczeniść,
by na chodnikach codzienności pokazać przechodniom
Jego Wizerunek — w człowieku.

Boście zapomnieli wspomnieć
znużonym tłumom,
że Jego Pot
jest tak miły Ojcu
jak Jego Krew,
bo razem mieszane
ściekały Mu po policzkach
w Ogrodzie Agonii,
a odciski na Jego dłoniach
(po młocie, heblu i pile)
spotkały się z gwoźdźmi,
które je przebiły.

— Srebrny Pot, który się staczał
po szkarłatnych ranach biczowania,
okrywając Jego nagie, gorączką drżące Ciało,
królewskim płaszczem,
na Jego Drzewie Śmierci,
a naszym — Życia.

— Ciesielski Pot Jego Czoła,
co kapał na ławy i stoły
gdy je kształtował,
nad którymi aniołowie nie przestają wychodzić
z podziwu,
jak nad Wszechświatem przez Niego stworzonym
i jak nie przestaną podziwiać
rzeczy, któreśmy uczynili w naszym pocie,
w Jego Miłości służąc jeden drugiemu.

Bo Jego Potem
On również spłacił Dług
za pot Adama,
na który został skazany
u Początku.

Lecz wy uczyliście tłumy
pogardzać radością współ-tworzenia,
— żałobę nosić i jęczeć nad nią
i odwlekaliście je
od narzędzi i miejsc
ich służby jeden drugiemu,
gdzie opar ich potu
mógł swobodnie się wznosić
wraz z milczącą Modlitwą Dziękczynienia
ku Naszemu Ojcu,
— jako nowe kadzidło Jego Nowego Testamentu.

Lecz wy przymuszaliście je
do rozwlekłych czuwań,
załanych monotonną powodzią słów,
— bo inaczej któżby podziwiał
dostojne rozkładanie i składanie waszych szat,
wraz z krągłymi gestami ramion,
wasze przechodzenia i ukłony
i zdejmowanie i wkładanie infuł
(myśląc ciągle,
żeście dźwigali je
wraz z podłogą — bliżej Nieba,
gdyście pokazywali im
wasze coraz szersze — filakterie),

niepamiętni,
że gdy On wam służył,
to miał na sobie jedną suknię całodzianą
i nauczył was Modlitwy
w Kilku Zdaniach,
by odróżnić was od czcicieli bałwanów,
spadkobiercy przez nakładanie rąk.

Lecz wy postawiliście płot
między nimi
a Stołem Wieczernika,
pozwalając im karmić się okruchami,
zamiast bochnami,

niepamiętni na to,
że Zasłona Świętego Świętych
rozdarła się w Dniu Wstrząsów i Ciemności.

Nie płaczcie więc nad zerwanym dachem,
spadkobiercy przez nakładanie rąk,
lekarze, którzyście stracili siłę
uleczenia samych siebie,
— przeciwnie, — którzy pielęgnujecie swoją chorobę
i szczycicie się nią,
zbyt słabi, by utrzymać Jego Dom,
nie znając nawet własnej słabości,
spadkobiercy przez nakładanie rąk.

Wielki Stary Wieśniak
rozumiał Jego przypowieści
(będąc wieśniakiem)
i sam powiedział jedną
bez słowa:
— otworzył okno —
(byście się nie podusili),
w które, pół-uchylone,
dziobiecie — pół wystraszone ptaki,
zamiast rozewrzeć na oścież
wszystkie pozostałe,
spadkobiercy przez nakładanie rąk.

IV

Potem,
niech robotnicy zaczną wywierać kamienie
z murów i wież

— jeden po drugim —
i niech szukają na nich
Znaków przez Niego uczynionych.

Nie bójcie się!

Niech nieśmiałe zielone drzewa wejrzą na chwilę do
(Któż porówna niewinność drzew, [wnętrza
używanych i nadużywanych na drewno
na zbyt wiele krzyży
noszonych przez ściany?)

Nie bójcie się!

Niech fałszywy gips odpadnie,
wynałazcy mnogości tytułów
z doczepionymi do nich
dźwięcznymi przymiotnikami zaszczytu,
których wstydziliby się dwór cesarski,
— jakbyście nie wierzyli w godność
Jednego Tytułu bez ozdobnych dodatków:
Rybaka Słowa Wcielonego.

Troskliwi poszukiwacze szlacheckich herbów i tarcz,
zmurszałych znaków ziemskiej chwały,
nie wartych kurzu, po którym stąpacie,
— jakbyście nie wierzyli
w rzeczywistość szlachectwa Jego Znaku,
którego czas bez końca z duszy wam nie wymaże.

Pożyczkobiorcy świętości w pierścieniach,
by klękano przed nią,
zamiast przed waszą własną,
— jakbyście nie wierzyli,
że samo wasze Apostolstwo
warte jest radosnej wdzięczności rzesz.

Elegancyści opłukiwacze uprzednio umytych nóg,
uważający, że wypełniacie Jego „Mandatum”,
gdy gdzieś,
o tej samej godzinie
i o każdej godzinie przedtem i potem,
nie wiedząc o waszym wzniosłym powołaniu,
kobiety,
nie obciążone grubymi haftami w złocie,
klęczą przy Krzyżach Bólu
i ocierają ropę z gnijących ran,
nieświadome,
że ich nie myte stopy
godne są waszych pocałunków,
bo spełniają posłannictwo Jego Miłości.
On jednak umył wasze brudne nogi
wówczas, gdy jeszcze
nazywał was „solą ziemi”.

Pomniejszyciele Boga
waszym własnym przykładem,
szukający Nagrody

i tutaj i w Wieczności,
— spadkobiercy Jego Domu,
którego nie potraficie utrzymać.

Nie oplakujcie więc rozwalonych kolumn,
lub (tu i ówdzie) rozbitego posągu świętego,
gdy Kamień Węgielny jeszcze
głęboko leży
w urodzajnej ziemi Jego Ludu
gdyż każdego dnia
może wezwać z niej
świętych, chodzących w ciele,
bez zatwierdzenia przez waszą świętą biurokrację
(powiązaną z bankami),
— najwyżsi kapłani przez nakładanie rąk.

V

Wezwijcie robotników do rozbiórki
póki jeszcze czas,
by On nie wezwał na nowo tych wichrów,
które uspokoił,
obudzony w łodzi
(a może nie udzielić wam dziś
daru chodzenia po wodach).

Zostawcie
tylko Jedną Sztukę Inwentarza:

STÓŁ

pod gwiazdami
i proście nieśmiałe zielone drzewa,
by dały nań swoje drewno.

A potem

wokół niego

SKŁADAJCIE CZĘŚCI
pojedynczo —
kamień na kamień,
zgodnie ze Znakami
przez Niego uczynionymi.

Nie bójcie się,
o spadkobiercy przez nakładanie rąk!

Umiejętność zostanie wam dana,
nie głosiciele,
lecz czyniciele

Ośmiu Błogosławieństw.

Pamiętacie?

Powiedział:
„Zburzcie Go,
a we trzy dni
wzniosę Go na nowo”.

I ujrzycie znowu
Pełność Jego Domu
i Jego Piękność,
byście mogli radować się

W DZIEŃ Z RUIN-POWSTANIA
JEDNEGO JEGO DOMU
DLA WSZYSTKICH JEGO BRACI.

Tadeusz OLASEK

Stanisław WYGODZKI



Cieniom Maryny Cwietajewej

Poeci pamiętają długo,
poeci mają straszną pamięć,
splataną pamiętają smugę,
deszczowe niebo, szary kamień,
pogardę pamiętają, ciszę
i to co nieme i daremne —
tęsknoty i te przejścia ciemne
pośrodku zdań.

Już nie napiszę...

Poeci pamiętają długo
pokoje mroczne, równiny płaskie,

wielkie szare psy i mury,
kożuszek krótki ściągnięty paskiem
i znów kudłate psy i szczury,
przegniłe stopnie, szmaty w oknie,
butelki, niedopałki, stolik.
Odjechałaś dawno i boli
ciągle, Przyjaciółko daleka.
Załadowany pociąg już nie moknie,
a ja jeszcze pamiętam i czekam...

Poeci pamiętają długo,
w czerwcu wywlekli Ciebie z grobu,
do czego potrzebne Twoje prochy,
te kostki niedopalone — komu?
Taszcza te kostki jak worek grochu,
co nam zasieją blisko domu?
Co tu wyrośnie na tej glebie?
Po raz który ja Cię pogrzebię —
odjechałaś w podróż daleką.

Poeci pamiętają długo,
odchodziłem pustą ulicą,
krótką ulicą, zakurzoną.
Mam zaufanie do tych ulic,
mam zaufanie — jak przed zgonem
mam zaufanie do kilku kuli,
nie do jednej.

Ach, czy po to
deszcz w nocy zmoczył gąszcz żywoplotu?

Poeci pamiętają długo,
idźmy, biegnijmy, nie sypiać w biegu,
znalazłem sobie przystań ponurą
pośród wierzb, dębów i klonów,
trzymaj dłoń moją, trzymaj oburącz,
będziesz trzymała ją do zgonu?
Ty jedna, jedyna nie weźmiesz odwetu.

Odbierzcie im pamięć.
zabijcie poetów.

★
★

Niezycliwe, trudne odjazdy,
jakieś stacyjki, senne przystanki,

*z bladą herbatą zielone szklanki,
zakurzone w oknie firanki,
nad bufetem filmowe gwiazdy.*

*Mokre szynkwasy, bajora piwa,
bigos w saganie, twarze w dymie
i powtarzane czyjeś imię —
jak zgubionego w mgłę olbrzymiej
nieobecnego ktoś przyzywa.*

*Wystraszony blask peronu,
pole zamglone nieopodal,
gdzieś się zasrebrzy senna woda —
pszczoły nad łką w złocie miodu,
w dali miarowe głosy dzwonów.*

*Ptak się obudził: jestem, jestem...
Obłok się zjawił i odpływa,
jak istota na poły żywa:
tam się księżyc przesuwają krzywo
wiatrem strącony w niebną przestrzeń.*

*Gdzieś przeciągają głucho grzmoty,
zjawi się ciężka, ciemna burza,
blisko ściany cień się wynurza —
pędzi w odmętach dymu i kurzu
krzyk opętany lokomotyw.*

*Zrywam się, patrzę, znowu siadam,
skąd to lustro w skazach i mgiełkach,
bufet odziany w barwne szkiełka?
Czekam cierpliwie, czekam, nie tkam.
semafor ramię rzucił na dół.*

*Wtedy, znieenacka; wyjść stąd! Nocy!
Znowu transporty bez powrotu,
czarne wagony pełne łoskotu,
druty kolczaste na szczycie płotu,
krzyk zagłuszony, bez pomocy.*

*Gdzie tutaj wyjście! W małej salce,
w oknie mignęłaś słuchaj, słuchaj,
pędzą wagony, dudnią głucho,
głośno zabuczy wiatr i plucha,
przeraźliwie gwizdnęłam na palcach.*

*Jednak poznataś, biegiesz, biegiesz,
śpieszysz po torach nocnym czasem,
dzwonią na progach drobne obcasy,
śnieg zasypie pola, lasy,
ciebie, mnie: na szynach legnie.*

*Kiedy po mrozach ptaki przylecą,
lody pod słońcem pójdą na ściecie,
wicher kroplami deszczu zakreśli —
przyjmcie nas, ludzie, miejcie w pamięci,
miejcie nas w swojej opiece.*

*Ptaki pod dachem i niebo wysoko
i ktoś w okiennice niegłośnie uderza.
Do liścia i drzewa i trawy przymierza
poszumy cieniste i linie obłoków.*

*Tak dawno, daleko, gdzie indziej, inaczej
i wicher przeciąga raz po raz po ścianie
i gałąź rozkwita na wczesne wstawanie
i słowa stłumione, dalekie od płaczu.*

*I szepty za cieniem zsuniętych firanek
i oczy i oczy bez żagla, w powodzi.
Przedranne powietrze oddechem swym chłodzi,
ach, odejdz, ach idźże, już widny jest ranek.*

*Poszumy cieniście, lecz ściany są głuche,
a ptak błądliwy wnet w szparach odczyta
kto chodzi po domu, firankę kto chwytą
i w gestej doniczkce listeczki mnie kruche.*

Już odejdź, już odejdź...

Gałązka upadła
na ziemię przybrzeżną, na ziemię z obłoków.
I szumy cieniste i cisza głęboka,
tak cicho, że słysząc jak chodzi wahać.

★ ★ ★

*I ty pójdiesz kiedyś spać bez lampy
i bez poduszki i bez koca
i głucha ciemność, tak jak tampon
zatka ci oczy wielką nocą.*

*Z wszystkich ta będzie naprawdę pierwsza
i jedna, ostatnia, wieczna, ziemna,
naprawdę cicha, naprawdę ciemna,
bez jęku, strachu i bez wiersza.*

★
★★

*Nad ranem wicher, deszcz zacina,
płoną wysokie dwie latarnie.
Gałąź powiewa, wiatr ją zgina,
a ona, gibka, ciemność zgarnie.*

*Przeciwnie, czasem ścianę dzieli,
jak by tam tkwiły mściwe twarze,
albo znienacka w niebo strzeli
i chwiejąc się na wietrze waży.*

*A z obu latarni, w skos, ku trawie
biały i senny blask się toczy
i zda się runą, po nocnej wrzawie,
te urągliwe, niesyte oczy.*

★
★★

*Uleciało drzewo ciemności,
uleciało szumiące, cieniste.
Przez zarośla bezgałęziste
wiatr skulony rozpoczął pościg.*

*Czarne konie spały po borach,
nocą ciemną spowite jak dymem.
Pójdę i nie chciej mnie zatrzymać,
ciemno i chłodno i późna pora.*

*Nie chcę tu zostać, już nie mogę,
jutro tak samo będzie nad ranem.
Powiedz, kto chodzi za tą ścianą,
w drzwiach znienacka zastąpi drogę?*

*Uleciało ciemności drzewo,
a z daleka wołanie wrony.
Jakich się jeszcze dostucham zniewag,
jakich i z czyjej, z czyjej strony?*

*I znów obcy człowiek siedzi
przy moim stole.*

Fr. Kafka

*I znów obcy człowiek przy stole
i znów obcy o drzwi oparty
i znów obcy ponury i blady
dobiera się do mojej szuflady
i ten obcy przegląda powoli
zapisane przeze mnie karty
i wtedy niegłośny śmiech tych obcych
i dno muliste i niejasne
w sercu. I ciemno, chłodno, ciasno.
I skąd ta gorycz przyniesiona —
z ziemi, z nieba?*

Nie wiadomo.

*I obco, obco, obco w domu,
i obco, obco pokryjomu,
i obco, obco...*

*Czekać, chodzić
i obce cienie drżą na lodzie.
Kto mnie opuścił tak wyniośle,
kto się przemyka przez zarośla
i spokojnie patrząc dokoła
pod umartym słońcem pustynnym
z daleka jak czarny kruk zawoła?*

★ ★

*Uleciało ciemności drzewo,
umykają obszary nocy.
Wóz przejechał w smugach ulewy
wyrzucony w deszcz jak z procy.*

*Lasy sękaty i parowy,
zimne ulice — noc gwiaździsta.
Wieleż można usłyszeć nad rowem
pośród darni, gdzie moja przystań.*

*Przeciągają raz za razem
sny, nie wiadomo skąd i dokąd.
Jak rażony gorącym żelazem
ginę codziennie pod jakimś płotem.*

*Przeciągają sny bez wiośła,
odpływają w obce zacisza.
Tam jest gałąź bardzo wyniosła,
ona jest dla mnie. I ukołysze.*

*Lub, całkiem nie wiadomo skąd,
wóz przejedzie w kłębach kurzu
i pędząc, jakby gnał przed burzą
przetoczy się przez obcy ląd.*

*A tam, oparty o framugę,
ktoś czeka aż opadnie kurz
i przez rozwianą pyłu smugę
pokaże mi swój nóż.*

PYTAM O NADZIEJĘ

*Człowiek żywi nadzieję,
czym ją żywi i gdzie?*

*Skąd wie
czym nadzieję nakarmić
i co nadzieja chętnie
je.*

*Gdzie szuka dla niej pokarmu?
W śpiczrach szesnastowiecznych,
w neonowych sklepach,
w obszernych gmachach
zbudowanych u zbiegu dwunastu ulic?
W cieniu, który, nasłuchując,
ucho szczególnie do ściany
tuli?*

*Gdzie szuka dla nadziei pokarmu?
W nocy alarmu?
W sercu rozpacz?*
I co znaczy:
niechaj żywi nie tracą nadziei?

*Gdzie ją gubią?
Po drodze?
Mimochodem?
W marszu?
Nie chcący?
W gorącym śnie?
W roztargnieniu?*

*Czy ktoś im nadzieję odebrać może?
A jeśli tak, to czym?
Krzykiem?
Kratą?
Nożem?
Milczeniem?*

*Czy można, milcząc,
stawiać pytania
o nadzieję?*

Stanisław WYGODZKI

NOTA BIOGRAFICZNA

Stanisław WYGODZKI ur. 13. I. 1907 w Będzinie. Gimnazjum humanistyczne; na 2 miesiące przed maturą wydalony ze szkoły za działalność komunistyczną. W 1925 aresztowany, w 1926 zasądzony na 2 lata więzienia. Praca zarobkowa w „Hucie Feniks” w Będzinie. Pierwsze próby literackie: debiut w 1928 w „Wiadomościach Literackich”. Współpraca z lewicowymi czasopismami, m.in. z „Miesięcznikiem Literackim” (A. Wat, A. Stawár, Wł. Broniewski, St. R. Stände). Pierwszy tom wierszy wydany w 1933 w Moskwie, w języku polskim. W Krakowie „Chleb powszedni” oraz „Żywioł liścia”. Członek Zw. Pisarzy, oddz. w Krakowie. Po wybuchu wojny w getcie w Będzinie, od 1. VIII. 1943 w Oświęcimiu, następnie Oranienburg, Dachau. Wiosną 1947 po wyleczeniu gruźlicy, powrót do Polski. W 1958 nagroda ZLP za tomik „Pamiętnik miłości”, w 1960 za tom prozy „Koncert życzeń” — nagroda „Nowej Kultury”. Poezja i proza z różnym i zmiennym powodzeniem. „Sztandar Pracy” II kl., Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia. W 1957 powieść „Zatrzymany do wyjaśnienia” — skonfiskowana. Po wojnie 6-ciodniowej, w czerwcu 1967 r., decyzja opuszczenia Polski. Od 31 stycznia 1968 w Izraelu wraz z rodziną. Członek PZPR do połowy stycznia 1968 roku.

« Następny do raju »

Interpretacja sowiecka układów poczdamskich w sprawie Niemiec została pokwitowana przez prasę zachodnią „wzruszeniem ramion”. W mojej opinii była to najbardziej alarmująca wiadomość jaka ukazała się na łamach prasy sowieckiej od czasu zakończenia drugiej wojny światowej.

W *Prawdzie* z dnia 18 września br. stwierdzono co następuje: „Związek Sowiecki uważa, że sojusznicy z koalicji antyhitlerowskiej zgodnie z zobowiązaniami wynikającymi z układów w Poczdamie, są odpowiedzialni za niedopuszczenie do odrodzenia się niemieckiego militarystu i hitlerystu”.

W cytowanym artykule podkreślono z naciskiem, że Związek Sowiecki jest w prawie podjąć kroki, które zahamowałyby odradzanie się hitlerystu i militarystu w Niemczech.

Nie są w tym wypadku ważne paragrafy i artykuły przytaczane przez prasę sowiecką — istotny jest fakt, że Rosja uważa się nadal za państwo zwycięskie w stosunku do Niemiec, które ma prawo interwencji ilekroć tego zajdzie potrzeba. Potrzeba...? Nie ulega wątpliwości, że w Federalnej Republice istnieje daleko więcej neo-hitlerowców niż w Czechosłowacji kontrrewolucjonistów. Kontrrewolucja w Czechosłowacji istnieje tylko w paranoicznej wyobraźni Breżniewa — natomiast neo-hitlerystu w Niemczech jest faktem.

Gdyby Rosjanie jutro wkroczyli do Niemiec nie byłoby „agresji” — podobnie jak w wypadku Czechosłowacji nie było agresji. Wkraczając do Niemiec Rosja działałaby zgodnie z Kartą Atlantycką i wypełniałaby, jako mocarstwo zwycięskie, swój obowiązek krzyżując nieczne plany neo-hitlerowców. W ten sposób ewentualna inwazja Niemiec doktrynalnie jest przygotowana. W rozumieniu sowieckim interwencja nie miałaby nic wspólnego ani z inwazją ani z rozpoczęciem trzeciej wojny światowej. Przeciwnie, Rosja działałaby w charakterze członka koalicji antyhitlerowskiej, a więc jako b. sojusznik Ameryki, Anglii i Francji. W in-

interpretacji sowieckiej interwencja w Niemczech byłaby aktem przyjaznym w stosunku do byłych aliantów — ponieważ Rosja podejmowałaby akcję prewencyjną, mającą na celu uchronienie świata przed nowym wydaniem hitlerowskiej Trzeciej Rzeszy.

Na godzinę przed rozpoczęciem błyskawicznej inwazji Niemiec — ambasadorem sowieccy w Waszyngtonie, w Londynie i w Paryżu — złożąliby noty w których wszystkie powyżej przytoczone punkty byłyby legalistycznie wyjaśnione wraz z zapewnieniem, że wojska sowieckie opuszczą terytorium NRF gdy sytuacja powróci do normy. Rząd sowiecki wyraziłby również nadzieję, że Stany Zjednoczone, Anglia i Francja zechcą wziąć udział w wypracowaniu nowego układu dla Niemiec, który uniemożliwiłby w przyszłości odrodzenie się hitleryzmu i militarizmu.

Czy w takiej sytuacji prezydent Stanów Zjednoczonych wydałby rozkaz atomowego bombardowania Związku Sowieckiego? W moim przekonaniu nie wydałby takiego rozkazu, ale czekałby na dalszy rozwój wydarzeń. Gdyby sowieckie zagony pancerne przekroczyły granicę Austrii, Belgii itd. — trzecia wojna światowa byłaby nieuchronna. Lecz w rzeczywistości nic podobnego by się nie stało. Inwazja NRF byłaby z całą pewnością sztabowo znakomicie opracowana i przygotowana. Wojska sowieckie otoczyłyby pierścieniem setek czołgów bazy amerykańskie i brytyjskie — zapewniając równocześnie Amerykanów i Anglików, że nie zagraża im żadne niebezpieczeństwo ze strony sowieckiej.

Gdyby po dziesięciu dniach okazało się, że armia sowiecka okupuje całe Niemcy, lecz nigdzie nie przekroczyła granic Niemiec — na Zachodzie odetchnięto by z ulgą i nikt, dosłownie nikt, nie myślałby o podjęciu trzeciej wojny światowej.

Co innego jest złożyć oświadczenie, że sojusznicy NATO pospieszą z pomocą Niemcom w razie ataku sowieckiego — a całkiem co innego byłoby powiedzieć młodemu Anglikom i Francuzom, że mają umierać za Niemców.

Chciałbym uwypuklić następujące punkty:

I. Mimo protestów mocarstw zachodnich Rosja nie zrezygnowała z przysługującego jej — według interpretacji Moskwy — prawa bezpośredniej interwencji w stosunku do Niemiec.

II. Błyskawiczna okupacja Niemiec dobrze opracowana strategicznie i sztabowo — miałaby wszelkie szanse sukcesu.

III. Powyższa operacja umiejętnie przygotowana politycznie i dyplomatycznie nie musiałaby zdetonować trzeciej wojny światowej — choć ryzyko rozszerzenia konfliktu byłoby znaczne.

Nie twierdzę, że należy liczyć się z okupacją Niemiec przez Sowiety w najbliższych tygodniach czy miesiącach. Twierdzę natomiast, że zatrzymując swój status mocarstwa zwycięskiego i podtrzymując prawo do interweniowania w wewnętrzne sprawy niemieckie — Rosja dała do zrozumienia wszystkim zainteresowanym, że ma swoje własne plany rozwiązania „kwestii niemieck-

kiej”. Ponieważ polityka faktów dokonanych (Węgry 1956, Czechosłowacja 1968) nie napotyka w Europie na konkretny opór — byłoby naiwnością przypuszczać, że Rosja zrezygnuje z tego typu rozwiązania w stosunku do Niemiec — jeżeli uzna, że i w tym wypadku fakty dokonane spotkają się z bierną akceptacją.

Czechosłowacy cieszą się wielką sympatią w Europie. Niemcy — poza Rosjanami, są najbardziej nielubianym narodem w Europie. Organizowanie krucjaty w obronie Niemiec byłoby arcynie wdzięcznym zadaniem. Okupując Niemcy Rosja miałaby za sobą solidarne poparcie większości państw satelickich.

Groza zagłady atomowej sprzyja polityce faktów dokonanych. Każdy rozumie, że użycie broni atomowych jest ostatecznością. Czy okupację Niemiec przez Sowiety należałoby uznać za ostateczność? Ponieważ w takiej sytuacji rozszerzenie pola konfliktu groziłoby wojną atomową — *appeasement* święciłby triumf.

W sumie, polityka faktów dokonanych wydaje się dziś mniej ryzykowna niż dawniej. Łatwiej bowiem pogodzić się z faktem dokonanym niż podjąć nieodwracalną decyzję rozpoczęcia pierwszej w dziejach wojny nuklearnej.

Przedmiotem naszych rozważań nie jest aspekt militarny tego zagadnienia lecz jego treść polityczna. Od zakończenia wojny upłynęło niemal ćwierć stulecia — Rosja jednak nie uznała Niemiec zachodnich za państwo suwerenne. Co ważniejsze — Rosja nie określiła do tej pory warunków na jakich byłaby gotowa uznać NRF za państwo suwerenne. Premier Kosygin w czasie swej ostatniej wizyty w Londynie oświadczył, że Związek Sowiecki nie dopuści do nuklearnego uzbrojenia Niemiec. Innymi słowy, bronie atomowe mogą mieć Francuzi czy Anglicy lecz nie NRF. Obecnie okazuje się, że Rosja zdecydowana jest interweniować nie tylko w wypadku atomowego uzbrojenia Niemiec, lecz również w wypadku rozszerzania się neo-hitleryzmu i militaryzmu.

Bronie atomowe wymagają skomplikowanych urządzeń dodatkowych, które nie łatwo jest ukryć. Niemcy mogą zawsze zaprosić komisję neutralnych obserwatorów, którzy stwierdzą, że ich technologia atomowa nie pracuje dla celów wojennych. Natomiast problem neo-hitleryzmu jest niepomrotnie bardziej elastyczny. Jeżeli partia o typie neo-hitlerowskim zyskuje poparcie wyborców można twierdzić, że hitlerowcy są w przededniu objęcia władzy. Jeżeli partia o typie neo-hitlerowskim traci poparcie wyborców — można twierdzić, że hitlerowcy zeszli w podziemie i przygotowują przewrót. Wszystko zależy od interpretacji. Można uznać jednak za pewnik, że tak jak w Czechosłowacji każdy komunista, który nie jest kolaborantem jest w oczach Moskwy kontrrewolucjonistą — tak w Niemczech zachodnich, każdy polityk zdecydowanie antysowiecki jest hitlerowcem.

Europa to są Niemcy. Europą mogą rządzić albo Niemcy albo ci, którzy będą rządzili Niemcami. Rosji na kontynencie mogłoby się tylko przeciwstawić koncert państw złożony z Niemiec, Francji, Wielkiej Brytanii i Włoch.

Koalicja tego typu byłaby dominowana przez Niemców.

Bez Niemiec zachodnich Europa stałaby się w stosunku do Rosji tym, czym jest Kanada w stosunku do Stanów Zjednoczonych. Gdyby Rosji powiodło się rozwiązać kwestię niemiecką po swojej myśli — wówczas Stalingrad byłby w pełni wykorzystany. Wówczas Zachód zostałby raz na zawsze pozbawiony kłów i pazurów. Już nigdy więcej obce armie nie maszerowałyby z Zachodu ku przedpolom Moskwy.

Rosja mogłaby „ludziom w Bonn” (tak *Prawda* określa rząd zachodnioniemiecki) zaproponować zawarcie owego mitycznego traktatu pokojowego z Niemcami. Skoro Moskwa uważa, że umowy poczdamskie w pełni nadal obowiązują — coś byłoby bardziej logicznego niż zwołanie konferencji pokojowej. Przy stole obrad po jednej stronie winni zasiąść „sojusznicy”, tzn. reprezentanci Związku Sowieckiego, Stanów Zjednoczonych, Anglii i Francji — a po drugiej stronie reprezentanci pokonanych Niemiec.

Takiej konferencji nigdy nie będzie, bo sojusznicy sprzed lat 23-ch już dawno przestali być sojusznikami.

Dr Kiesinger przemawiając w Bundestag'u w dniu 25 września br. podkreślił, że Związek Sowiecki nie życzy sobie żadnego zbliżenia z rządem zachodnioniemieckim. Odnotowuję to kanclerskie wyznanie, ponieważ w prasie zachodniej pojawiają się od czasu do czasu wiadomości o tajemniczych rozmowach niemiecko-sowieckich.

W *Kulturze* Nr 239 przytoczyłem dłuższą wypowiedź prof. Erwina Scheucha z Kolonii. Warto przytoczyć powtórnie ostatnie zdanie z tej wypowiedzi: „...lecz jeżeli ci politycy (obecna koalicja) będą mogli realizować swoją linię — oznaczać to będzie stosunek młodszego do starszego brata w odniesieniu do Związku Sowieckiego — stosunek w ramach którego nie będzie miejsca na Stany Zjednoczone”.

To jest wypowiedź sprzed roku. Cytując opinię prof. Scheucha — zaznaczyłem, że nie w pełni podzielam jego pogląd. Nie ulega jednak wątpliwości, że jeżeli nie ma *rapprochement* pomiędzy Moskwą a Bonn to dzieje się to nie z winy Niemiec.

W mojej opinii Niemcy — podobnie jak Polacy w roku 1939 — nie zdają sobie w pełni sprawy z niebezpieczeństwa w jakim się znajdują. W przeciwieństwie do Polaków Niemcy są realistami i zapłaciliby wiele za zbliżenie z Moskwą. Jednak Rosjanie nie chcą żadnego *rapprochement* z Bonn.

Niemiecka Republika Demokratyczna stanowi miniaturę realizacji odwiecznego rosyjskiego snu o rewolucji niemieckiej. Jedynym stałym zagrożeniem dla NRD są Niemcy zachodnie. Owo zagrożenie dziś jest minimalne, ponieważ polityka Bonn nie istnieje. Lecz następny rząd zachodnioniemiecki może zdobyć się na konkretny program. Może uznać NRD, może rozbudować stosunki kulturalne, może ulegalizować partię komunistyczną, która jako partia typu zachodnioeuropejskiego mogłaby wydatnie wpłynąć na sytuację wewnętrzną w NRD. Komunizm w Niem-

czech nie zniknie — lecz bez pomocy z zewnątrz komuniści nie mieliby szansy objęcia władzy w zjednoczonych Niemczech.

Istnieją tylko dwa modele zjednoczenia Niemiec. Albo zjednoczycielem będą Niemcy zachodnie — albo zjednoczycielem będą Niemcy wschodnie.

Krytykując rząd zachodnioniemiecki należy równocześnie podkreślić, że sytuacja „ludzi w Bonn” jest wyjątkowo trudna. Rząd NRF nie może *de facto* zrobić niczego by zjednać sobie uznanie Moskwy. Gesty pojednawcze Bonn pod adresem krajów Europy wschodniej kwitowane są przez prasę sowiecką jako akcja zmierzająca do rozbicia jedności obozu socjalistycznego. Rząd w Bonn nie może zrobić niczego by przypodobać się Moskwie, ponieważ Moskwa po prostu nie życzy sobie rządu w Bonn. To jest naga prawda, która przeziera z wszystkich wypowiedzi sowieckich na ten temat.

Niemcy zachodnie znajdują się w polu bezpośredniego ostrzału 700 sowieckich MRBM. Zrównanie z ziemią miast i przemysłów zachodnioniemieckich nie mieści się w głowie nawet największemu nienawistnikowi Niemiec. Umysł ludzki nie akceptuje apokalipsy. To jest koszmar zbyt wielki, by go można było uznać za realny. Ta reakcja ludzka jest zrozumiała, prowadzi jednak do fałszywego rozumowania. Inwazja i okupacja Niemiec przez Sowiety wydaje się nam niemożliwa bo krok taki prowadziłby w opinii wielu do apokalipsy atomowej. W ten sposób stworzyliśmy klimat fałszywego bezpieczeństwa w Europie, który stanowi wymarzoną koniunkturę dla sowieckiej polityki faktów dokonanych. Owe fakty dokonywane są metodami konwencjonalnymi. Stany Zjednoczone na inwazję Niemiec nie odpowiedzą atakiem nuklearnym na Związek Sowiecki, ponieważ tego samego dnia ściągnęłyby na miasta amerykańskie apokalipsę atomową. Wypada więc stwierdzić, że w praktyce odpowiedzią na akcję konwencjonalną jest akcja konwencjonalna, a nie bronie nuklearne. Sowiety dysponują niestety przytłaczającą przewagą w siłach konwencjonalnych i rozbudowują ustawicznie swój militarny potencjał konwencjonalny.

Gdyby Rosjanie któregoś poranka okupowali Niemcy nikt ich stamtąd nie wyrzuci. Nikt ich nie wyrzuci, ponieważ sił konwencjonalnych nie mamy, a wojny nuklearnej nie chcemy. Pisząc inaczej okłamywałbym siebie i moich Czytelników.

Choć zabrzmiało to paradoksalnie — uważam, że w politycznym sensie sytuacja Moskwy w okupowanych Niemczech byłaby łatwiejsza niż w okupowanej Czechosłowacji. Rosjanie nie mieliby bowiem trudności w powołaniu do życia ogólnoniemieckiego rządu, w którym większość stanowiliby stalinowcy. Okazałoby się wówczas również, że w Niemczech zachodnich istnieje liczny obóz zwolenników orientacji pro-rosyjskiej.

Należy pamiętać, że w NRD nie było demokracji od 35 lat. Totalizm hitlerowski zastąpił totalizm komunistyczny. Trzeba jednak podkreślić, że w NRD nie było nigdy krwawych czystek, rozstrzeliwań i pośmiertnych rehabilitacji. NRD jest potęgą prze-

mysłową i posiada najwyższą stopę życiową ze wszystkich komunistycznych państw świata.

Wiem od dobrze poinformowanych Polaków krajowych, że w Niemczech wschodnich szkoli się kadry administratorów i aparaczyków dla przyszłych zjednoczonych Niemiec. Jest rzeczą prawdopodobną, że przekształcenie Niemiec w „Czerwone Prusy” odbywałoby się stopniowo. Nie byłoby powodu do pośpiechu, ponieważ obecność wojsk sowieckich przesądzałyby ostateczny rezultat.

Rzyzko „operacji Niemcy” byłoby znaczne. Spodziewane zyski — olbrzymie. Rozpatrując problem z czysto sowieckiego punktu widzenia należy stwierdzić, że „operacja Niemcy” planowo przeprowadzona oznaczałaby wygranie trzeciej wojny światowej bez wojny.

Podkreślam jeszcze raz. Nie twierdzę, że Niemcom grozi inwazja sowiecka w najbliższej przyszłości. Twierdzę natomiast, że Rosjanie posiadają swój plan zjednoczenia Niemiec i nie zawahają się zrealizować go siłą w chwili gdy, w ocenie Moskwy, ryzyko operacji jeszcze się zmniejszy.

Brak jakiegokolwiek reakcji ze strony Zachodu w okresie powstania węgierskiego — zachęcił Rosjan do zastosowania „dyplomacji czołgów” w kryzysie czechosłowackim. Zachód nie zdobył się na żaden gest by dopomóc Czechosłowakom a NATO usłużyć nie odwołało manewry, które latem br. miały się odbyć w Niemczech niedaleko granicy czechosłowackiej.

U dna tej filozofii leży przekonanie, że poświęcając Węgrów i Czechów podkreślamy wobec Moskwy naszą absolutną lojalność dla koncepcji stref wpływów. My w zachodniej Europie jesteśmy na szczęście bezpieczni, ponieważ należymy do innej strefy wpływów. Bezpieczeństwo NRF zasadza się również na przekonaniu, że Bonn to nie Praga, ponieważ Bonn leży w innej strefie wpływów.

Strefy wpływów zawsze były i zawsze będą funkcją potencjałów siły. Jeżeli, jak dotychczas — potencjał sowiecki będzie rósł znacznie szybciej niż potencjał zachodnioeuropejski — strefy wpływów wykreślone 23 lat temu ulegną rewizji poprzez sowiecką politykę faktów dokonanych.

W jednej z notatek w Kronice Angielskiej postaram się przytoczyć dane dotyczące rozbudowy floty sowieckiej. W tym miejscu wystarczy stwierdzić, że flota sowiecka, według ocen amerykańskich, jest po Stanach Zjednoczonych największą flotą świata. Tej fantastycznej rozbudowy dokonano w ostatnich dwóch dekadach.

Polityk musi zapytać po co Rosjanie to robią? Rosja nie jest Anglią zależną w całości od przywozu żywności i surowców z za morza — lecz przeciwnie, Rosja jest kontynentem niemal samowystarczalnym. Jeżeli Rosjanie poświęcają gigantyczne sumy na rozbudowę floty i armii konwencjonalnych — to robią to w tym celu — by w pewnych momentach zainkasować polityczne zyski z tych olbrzymich nakładów finansowych. Morze Śródziemne,

Środkowy Wschód, Ocean Indyjski, Zatoka Perska — przesuwanie się granic stref wpływów na korzyść Sowietów to są owe polityczne procenty od sum inwestowanych w rozbudowę floty. Europa nie jest wyjęta spod tego żelaznego prawa imperializmu. Granice stref wpływów nie są bardziej nietykalne w Berlinie niż na morzu Śródziemnym.

Obecność potencjału siły stwarza nie zainkasowane zyski polityczne. Sowiecka flota na morzu Śródziemnym — według ocen rzeczoznawców — mogłaby dziś zablokować skutecznie włoskie porty. Równocześnie ta flota wiąże śródziemnomorską flotę amerykańską. Sowiety nie muszą blokować włoskich portów — lecz sam fakt, że istnieje ta możliwość stanowi niezainkasowany zysk polityczny dla Moskwy. Z punktu widzenia stref wpływów Morze Śródziemne przestało być „Mare Nostrum” i stało się morzem sowiecko-amerykańskim.



Celem tego artykułu było wykazać, że Rosja dąży do rozwiązania problemu niemieckiego podług własnych planów. Strefy wpływów nie odzwierciedlają układu sprzed ćwierć wieku tylko realną równowagę sił. Jeżeli mocarstwa zachodnie nie wzmocnią bardzo wydatnie swojego potencjału obronnego na terenie Europy — liczyć się należy z dalszymi sukcesami sowieckiej polityki faktów dokonanych. Dysproporcja w potencjałach siły zostaje zawsze — wcześniej lub później *zainkasowana*.

Niezależnie od rozbudowy potencjału obronnego należałoby poddać radykalnej rewizji stosunek do Rosji. Weźmy dla ilustracji przykład z najbliższej przeszłości. Gdy Rosjanie weszli do Pragi w BBC toczyła się dyskusja w sprawie rozszerzenia programów w języku czeskim. Niezmiernie chwalebny pomysł a zarazem bardzo charakterystyczny. Uwaga, energia i pieniądze Anglo-sasów zmobilizowane są w kierunku przekonywania przekonanych.

Rewizjonistyczny komunizm zdolny jest do ewolucji. Z komunistami typu Dubczeka Zachód znalazłby wspólny język w sprawach politycznych, gospodarczych i kulturalnych.

Stawka na rewizjonizm jest polityką słuszną pod warunkiem, że głównym celem natarcia jest Rosja a nie kraje satelickie. Wydarzenia w Czechosłowacji stanowią dramatyczny dowód słuszności powyższej tezy. W *Kulturze* zdawaliśmy sobie sprawę od samego początku, że najważniejszym krajem „satelickim” jest stalinowska Rosja i z tej przyczyny tak wiele miejsca poświęciliśmy rosyjskiej problematyce.

Stalinizm jest niezdolny do ewolucji i wszelkie rozmowy ze stalinowcami są bezcelowe. Nawet w klimacie największego odprężenia — nikt z Breżniewa, Ulbrichta czy Gomułki nie robi Dubczeka.

Ze stalinizmem trzeba podjąć nieubłaganą walkę — to znaczy należy mobilizować w Rosji i w krajach satelickich wszystko i wszystkich przeciwko stalinowcom. Trzeba zerwać z zasadą „nie

drażnienia Rosji" — co w praktyce sprowadza się do niedrażnienia stalinowców. Trzeba jasno i dobitnie stwierdzić, że warunkiem odprężenia pomiędzy Wschodem a Zachodem jest likwidacja stalinizmu. Likwidacja stalinizmu nie może być zachodnim „pobożnym życzeniem”. To musi być nasz, ściśle sformułowany główny cel polityczny.

Nie nawołujemy do wskrzeszania „zimnej wojny”. Nie jesteśmy przeciwnikami socjalizmu ani komunizmu w jego rewizjonistycznej, postępowej formie. Lecz tak jak uważamy że należy zwalczać neo-hitleryzm w Niemczech — tak z identycznych przyczyn należy zwalczać stalinizm, który stanowi zagrożenie nie tylko dla Europy wschodniej lecz dla całego Zachodu.

Byłby najwyższy czas byśmy zdali sobie sprawę, że stalinizm to nie jest problem wyłącznie Czechosłowaków. Dziś to jest problem całej Europy. Jeżeli „następnym do raju” sowieckiego będą Niemcy — zachodni Europejczycy przebudzą się, lecz wówczas na wszystko będzie za późno.

W dniu w którym kończę ten artykuł mija dokładnie 30 lat od chwili podpisania układu monachijskiego. W prasie anglosaskiej z okazji tej rocznicy ukazało się wiele artykułów w których autorzy porównują ówczesny rozbiór Czechosłowacji z sytuacją obecną. Wtedy Hitler — dziś Breżniew.

Można jednak wysunąć *inne analogie*. Breżniew — podobnie jak Hitler — miał przeciwko sobie tylko Chamberlainów. To my, na Zachodzie, nie nauczyliśmy się niczego przez ubiegłe 30 lat. To dziś Zachód, identycznie jak 30 lat temu — demonstruje, że nie potrafi rządzić Europą.

Trudno dziwić się Rosjanom jeżeli uważają, że oni jedni winni rządzić Europą skoro byli świadkami klęski Monachium, klęski Zachodu w dniu 30 września 1938 i w dniu 21 sierpnia 1968. Rosjanie prawdopodobnie wnioskuje, że na Zachodzie znaleźliby się uspakajacze i kapitulanci, którzy zażyrowaliby i trzecie Monachium.

Europy nie stać na trzecie Monachium — ponieważ to nie byłaby klęska tylko katastrofa.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kronika angielska

POECI I PUBLICYŚCI

Poetów są tysiące a publicystów dziesiątki. W okresie niepodległości mieliśmy całą plejadę poetów najwyższej rangi — Wierzyński, Tuwim, Słonimski, Lechoń, Iwaskiewicz, Broniewski i pół setki mniej znakomitych. Gdy myślę o publicystyce nasuwa mi się na pamięć tylko jedno nazwisko:

Matuszewski. Oczywiście był Stroński, Stanisław Mackiewicz i dziesiątki innych — lecz sądzę, że tylko Matuszewskiego jako gwiazdę pierwszej wielkości porównać można z pół tuzinem znakomitych poetów przytoczonych powyżej.

Publicysta jest daleko trudniej przejść do historii niż poecie. Zawsze się znajdzie jakiś szczepacz, który opracuje antologię poetów ziemi sądeckiej czy lubelskiej. O publicystach ziemi sądeckiej nawet jeżeli istnieli i pisali — nikt nigdy niczego się nie dowie. W opracowaniach dotyczących literackiego, przedwojennego Krakowa znajdzie się zawsze nazwiska takich poetyckich miernot jak Witold Zechenter, lecz o Konstantym Srokowskim, znakomitym publicyście, głucho i ciemno.

W Polsce Ludowej sytuacja układa się identycznie. Poetów mamy tysiące — publicystów kilkunastu, z których większość milczy. Należy stwierdzić, że talent publicystyczny w społeczeństwie polskim jest rzadki — natomiast talent poetycki i literacki, zwłaszcza o skromnej mocy jest częsty.

Z socjologicznego punktu widzenia należy podkreślić, że status społeczny publicysty w polskiej skali jest niewspółmiernie niższy od statusu poety czy literata. Zawód publicysty nie przyciąga wielu adeptów ponieważ jest to fach trudny, wymagający lat zaprawy i przygotowania oraz nieustannej lektury. Pensja w polskich warunkach nie zawsze jest wysoka i ów fakt niczym nie jest rekompensowany. Poeta może mieszkać na klasycznym poddaszu, może niedojadać a nawet „niedopijać” — lecz uważa się za króla stworzenia i tę ocenę narzuca innym. Natomiast publicysta zwłaszcza w oczach poetów i literatów jest w gruncie rzeczy „żurnalistą”, który trochę więcej pisze niż tzw. „brać dziennikarską”.

Miłosz zauważył niedawno, bodaj na łamach *Kultury*, że nie lubi jak publicyści przybierają ton Wernyhory. Jaki ton przybierają poeci? Współczesna problematyka od rasizmu po rewolucję technologiczną — od zagadnień rewolucji, ewolucji, socjalizmu po zagadnienia moralne jak np. encyklika o zapobieganiu ciąży — problemy przebudowy ustroju i najgłębsze konflikty współczesnego człowieka — wszystko to znajduje się na warsztacie publicystów którzy zagarnęli i rozbudowali to co się kiedyś nazywało eseistyką. Dotąd istnieli publicyści historyczni jak Jasienica, Paweł Zaremba, Stanisław Mackiewicz. Dziś coraz bardziej rozpowszechnia się typ publicystów socjologicznych.

Na emigracji istnieje wolność słowa jeżeli nie w stu to w osiemdziesięciu procentach. I co z tego wynika? Poeci emigracyjni z wielkimi wyjątkami są dalecy i wyobcowani. Nie chcą być ani „za”, ani „przeciw”, tylko „nad” i z tej przyczyny nie budzą fermentu, nie porywają, tylko biją swymi tomikami w mur zobojetnienia.

Znam wielu światłych i wykształconych ludzi, którzy uważają, że Wierzyński obniżył swój lot i zlekceważył samego siebie ogłaszając „Czarny Polonez”. Czy zaangażowanie wyłącza wybitne osiągnięcie poetyckie? Majakowski, Broniewski i wielu innych rewolucyjnych poetów zaangażowanie i natchnienie stapiali w jedno.

W tym wypadku chodzi o co innego — chodzi o rzecz, której nikt nie sformułował i dlatego podejmują próbę analizy tego fenomenu. Dla Miłosza i pewnych poetów emigracyjnych młodego i średniego pokolenia — Gomułka i Moczar choć nie reprezentują już rewolucji i socjalizmu — to przecież wydają się mniej reakcyjni niż emigracja i jej antykomunizm.

W Kraju jutro może pojawić się Dubczek i rewolucja — natomiast emigracja ureakcyjni się z każdym miesiącem tak, że „czarnego poloneza” w gruncie rzeczy tańczymy my i nasi dostojnicy, a nie ludzie w Kraju.

Coś w tym jest. Dubczek walczy dziesiąty miesiąc, ślania się na nogach, mdleje z wyczerpania, lecz emigrantów londyńskich nie zadowolił ani na sekundę. Dubczek by zdobyć sobie poklask panów w „Ognisku” powinien był podrzeć publicznie legitymację partyjną i stanąć na czele zbrojnego powstania. Emigracja w swojej większości — a zwłaszcza emigracja londyńska — jest formacją nie tyle konserwatywną w sensie angielskim, ile reakcyjnie pravicową. Odrzuca się nie tylko komunizm lecz również rewizjonizm, reformizm i socjalizm w jakimkolwiek wydaniu. W Radzie Trzech zasiada wprawdzie dwóch generałów lecz ani jeden socjalista.

Mamy reakcyjny reżym w Kraju i reakcyjny reżym na emigracji. Antykomunizm w wydaniu emigracyjnym jest intelektualnie jałowy, biurokratyczny i rozpaczliwie nudny. Większość artykułów politycznych w emigracyjnej prasie londyńskiej jest równie nudna jak artykuły w *Prawdzie* czy w *Izwiestiach*. Nie może być inaczej ponieważ antykomunizm emigracyjny jest równie ciasny jak komunizm sowiecki.

Emigracja nie ma poetów i pisarzy zaangażowanych bo nie wyłoniła z siebie „wielkiej sprawy”. Nie tylko nie wyłoniła „wielkiej sprawy” lecz hołduje wielkiemu kłamstwu. W gruncie rzeczy większość prawicy emigracyjnej marzy o kontrrewolucji a wielu o wojnie. Lecz nikt nie śmie ani tego napisać, ani tego powiedzieć. Politycy emigracyjni są reakcyjni lecz boją się ujawnienia własnej reakcyjności, dlatego nigdy nie mówią o kontrrewolucji tylko zawsze o rewolucji — co stanowi identyczne załganie jak slogany rewolucyjne w *Prawdzie*. Nie można pociągnąć za sobą nikogo, jeżeli nie ma się odwagi własnych przekonań.

Prawica emigracyjna nie wyprodukowała James’a Burnhama, który głosi swoje skrajnie antyliberalne i skrajnie pravicowe poglądy z wielkim talentem i z niezmierną siłą przekonania. Można się z nim nie zgadzać lecz musi się go szanować.

Kilka tygodni temu w *Dzienniku Polskim* czytałem artykuł w którym autor przeciwstawił ewolucjonizmowi rewolucję jako jedyne rozwiązanie w bloku wschodnim. Autor owego artykułu nigdy przede mną nie taił, że wszelki socjalizm uważa za utopię. Mówiąc obrazowo „flaki w człowieku się wywracają”, gdy o rewolucji mówi autor kapitalistyczno-konserwatywny do szpiku kości. Ten pan ma jeszcze pretensje do publicystów polskich, a do mnie w szczególności, że używam terminów i określeń niedostatecznie sprezygowanych.

Przytaczam ów przykład, ponieważ jest typowy i klasyczny. Ludzie formacji lewicowych, jak piszący te słowa, odebrali terminowi „kontrrewolucja” — *respectability*. Dziś trzeba odwagi, by użyć tego terminu, kiedy logicznie winien być użyty. Lecz odwaga przekonań i nie-konformizm nigdy nie cechowały panów o których mowa. (Wyjątek stanowi Józef Mackiewicz).

Na tym tle „Czarny Polonez” jest jak krzyk pośrodku nocy — wstrząsający siłą autentyzmu. Wierzyński zawstydził młodych poetów — którzy milczą bo się boją. Boją się, by nie posądzono ich o „emigranczość” — boją się by ich nie posądzono o solidarność z wstecznictwem oficjalnych czynników emigracyjnych i o „wystęgiwanie się imperializmowi amerykańskiemu”.

Wróćmy jednak do publicystyki. Mieliśmy trzech wieszczów lecz ani jednego Herzena. Pozycja Dmowskiego polegała w znacznej mierze na tym, że był izolowanym fenomenem bez konkurencji. Na jednego wybitnego młodego pisarza politycznego, jak Adolf Bocheński, przypadało setki literatów.

W systemie wychowania który nas uformował literatura piękna zajmowała naczelne miejsce. Pisarze polscy całą gębą, jak Stefan Żeromski, Kazimierz Wierzyński czy Maria Dąbrowska, osiągnęli najwyższy i wyjątkowy status społeczny. Głos Żeromskiego liczył się więcej niż pół setki wstępnych artykułów.

Z czasów zaboru przetrwała wiara w tzw. „sprawę polską”, którą reprezentowała literatura i tylko literatura. Publicyści byli niepotrzebni, bo nie było polityki. To jest sąd przesadny lecz w znacznie mniejszej mierze niżby się to mogło wydawać. Do 1939 r. znakomita większość Polaków myślała kategoriami „sprawy polskiej” a nie kategoriami realnej polityki. Po 150 latach niewoli było to zrozumiałe.

Do dziś miesza się kanony „sprawy polskiej” z przesłankami nowoczesnej polityki — co prowadzi do częstych nieporozumień pomiędzy publicystą a jego czytelnikami. „Sprawa Polska” obejmuje mit narodowego „raju utraconego” — wizję Polski mocarstwowej i bezpiecznej z Wilnem, Lwowem a może i z Kijowem. Publicysta, który w swych pracach przeprowadza rozróżnienie pomiędzy mitem a realną polityką — narusza „tabu”.

Moja kariera była również typowa. Dostałem się do redakcji IKC’a nie jako początkujący publicysta, ale jako literat. IKC ogłosił moje dwie książki, które utorowały mi drogę. Krytykiem, który oceniał moje książki był Zbigniew Grabowski. Jemu w znacznej mierze zawdzięczam, że dostałem się do IKC.

Grabowskiemu warto poświęcić kilka słów, ponieważ stanowi klasyczny przykład „polskiego nieporozumienia”. Zacząć trzeba od stwierdzenia, że Grabowski jest świetnie wykształcony i odcytany. W pewnym momencie porzucił krytykę literacką i wyjechał do Berlina jako polityczny korespondent. W przeciągu kilku tygodni stał się „cudownym dzieckiem” IKC. Umiał dotrzeć wszędzie i zdobyć każdą informację. Jego codzienny telefon o 7.30 wieczorem odbierał najlepszy stenograf redakcyjny. Niezależnie od depeesz przysyłał znakomite artykuły. Wydawało się, że karierę publicysty politycznego zdobył szturmem.

Grabowski popełnił błąd, którego mnie, na szczęście, udało się uniknąć. Bardzo wcześnie zdałem sobie sprawę, że mój talent literacki jest zbyt mały, bym mógł liczyć na karierę pisarza całą gębą — a pozycja „średniaka” najzupełniej mi nie odpowiadała. Zdałem sobie również sprawę, że zagadnienia polityczne pasjonują mnie znacznie więcej niż zagadnienia literackie. Lecz przyznaję, że na początku — zgodnie z tradycją i wychowaniem — moją ambicją było zostać pisarzem a pasję do polityki uważałem za dziwactwo.

Gdy zrezygnowałem z lauru literackiego — co dla młodego piszącego człowieka w owych czasach było gorzką decyzją — skupiłem całą energię na zrobieniu z siebie publicysty. Podjąłem planową, systematyczną lekturę, którą uprawiam do dziś. Wziąłem rozbrat z literaturą raz i na zawsze.

Natomiast Grabowski — jak wielu innych literatów — dziennikarstwo uważał za „job” którym zarabia się na życie. Jego głównym powołaniem pozostała literatura. Z pisania powieści nie można się utrzymać. Lecz czy

można pisać dobre powieści pracując 8 godzin w BBC, czy w jakiegokolwiek innej redakcji?

Grabowski posiada zarówno talent jak i solidne wykształcenie. Lecz źle gospodarował tak jednym jak i drugim. Dlatego nie dał — jak dotąd — pełnej miary swojego talentu.

Odrębny gatunek publicystów stanowią naukowcy. Wydaje się im, że ponieważ są ekonomistami czy socjologami to niejako automatycznie są również publicystami.

Są zawody do których talent pisarski jest niezbędny. Do tych dyscyplin należy publicystyka, historiografia — a w pewnej mierze socjologia i filozofia. Na wielkiego historyka składają się erudycja i talent pisarski. Każda książka Kukiela jest nie tylko rozprawą naukową lecz i dziełem literackim. Proza Kotarbińskiego jest wspaniała w swojej jasności, precyzji i pięknie. Leszek Kołakowski zdobył pozycję międzynarodową, ponieważ jest nie tylko filozofem lecz i wybitnie utalentowanym pisarzem. Dr Stahl napisał przed laty w *Orle Białym*, że publicystyka może być ciężka a pomimo to dobra. Jeżeli kogoś tego typu publicystyka nudzi, powinien odważnie przyznać, że zagadnienia polityczne po prostu go nie interesują.

To jest podstawowe nieporozumienie. Ciężka i nudna publicystyka nigdy nie może być dobrą publicystką.

Prof. Stahl jest ekonomistą, sowietologiem, politykiem. Posiada wszystkie kwalifikacje na wybitnego publicytę z wyjątkiem jednej kwalifikacji, która jest nieodzowna. Nie ma talentu pisarskiego. Dobry artykuł publicystyczny musi być przede wszystkim dobrze napisany — tak jak dobry rysunek musi być dobrze narysowany.

Talent nie polega na łatwości pisania. Łatwo piszą tylko grafomani. Ludzie utalentowani piszą z wielkim trudem i dosłownie w pocie czoła. Talent pisarski jest przede wszystkim zdolnością do kontemplacji. Kontemplacja jest ważniejsza od lektury. Z trzydziestu przeczytanych książek nie powstaje dobry esej czy artykuł. Dobry esej czy artykuł jest zawsze owocem wielu godzin skupionych rozmyślań.

Stanisław Stroński twierdził zawsze, że dziennikarstwo jest najtrudniejszym gatunkiem literackim. Osobiście nie idę tak daleko, lecz wydaje mi się, że choćby mały talencik pisarski, jak Londyńczyka, stanowi istotę powołania dziennikarskiego. Nie wystarczy być doktorem teologii by być dobrym księdzem. Podobnie, nie wystarczy być doktorem praw i nauk ekonomicznych by być dobrym publicystą. W obu wypadkach trzeba czegoś więcej.

UWAGI NA MARGINESIE LEKTURY

Tylko komuniści dzielą książki na reakcyjne i postępowe. Na Zachodzie dzielimy książki na dobrze i źle napisane. Książki Leopolda Tyrmanda pt. „Życie towarzyskie i uczuciowe” jest dobrze napisana, niemniej, w czytelniku o lewicowych poglądach budzi sprzeciw.

Breza w swej „Spisowej Bramie” patrzy na chrześcijaństwo poprzez papieżstwo w Watykan. Historia kościoła jako instytucji obfituje w ponure epizody. Każda ideologia czy religia z chwilą gdy przekształca się w aparat i biurokrację natychmiast się ukonserwatywnia. Kościół rzymski jest tradycyj-

ny, konserwatywny i w wielu wypadkach wsteczny. Lecz chrześcijaństwo jako system religijny i etyczny jest nieporównywalnym osiągnięciem.

Tyrmand patrzy na socjalizm poprzez aparaczyków i karierowiczów. Socjalizm to nie jest ani Breżniew, ani Gomułka, ani Bezpieka. Socjalizm jest wspaniałą ideą, której blasku nie przyćmił nawet Stalin i jego kaźnie.

Gdyby wszyscy ludzie na ziemi byli prawdziwymi chrześcijanami — mieszkalibyśmy dosłownie w raju. Znikłyby nierówności społeczne i ekonomiczne — znikłyby armie, policje i więzienia. Oczywiście tak nigdy nie będzie, ponieważ ideał chrześcijaństwa przerasta ułomną naturę ludzką.

Podobnie, nigdy nie będzie doskonałego społeczeństwa socjalistycznego. Ideał socjalizmu przerasta również możliwości ludzkie.

Postęp w dziedzinie kulturalnej i cywilizacyjnej powodowany jest faktem, że ludzie fascynują ideały przerastające ich możliwości. Wielkość człowieka polega nie na realizacji ideału tylko na dążeniu do ideału.

Nuncjusz papieski, który za panowania Stanisława Augusta odwiedził Polskę — stwierdził w swym raporcie, że nie spotkał ani jednego księdza, który przestrzegałby ślubu czystości. Jednak ci sami księża, którzy często prowadzili rozwiąże życie — głosili z ambon Nowy Testament, nieskażone chrześcijaństwo. Przepaść pomiędzy ideałem a jego realizacją była olbrzymia — lecz ponieważ ideał pozostał nietknięty — możliwe było odrodzenie.

W Polsce Ludowej czy w Rosji Sowieckiej rozdziewiek pomiędzy założeniami socjalizmu a rzeczywistością jest nie do pojęcia. Lecz tak na Wschodzie jak i na Zachodzie są ludzie, którzy odważnie głoszą nieskażone posłanie socjalizmu. Przykład Czechosłowacji wykazał, że nawet makabryczna karykatura socjalizmu jaką jest stalinizm — nie tylko nie odwraca ludzi od socjalizmu lecz przeciwnie pogłębia tęsknotę za prawdziwym socjalizmem.

Pod adresem Tyrmanda wysuwam tylko jeden zarzut. Pisząc o małości w socjalizmie — jak głosi podtytuł jego książki — nie dostrzegł wielkości idei socjalistycznej. Świadczy to nie o małości socjalizmu tylko o braku perspektywy autora.

POWRÓT BWANA KUBWY

Calvey niedaleko Nantwich — był najdziwniejszym obozem wojskowym przez jaki przeszedłem. Najdziwniejszym i ostatnim. Tutaj kończyła się epopea i zaczynała tułaczka. Choć w polskich mundurach, byliśmy w rzeczywistości oficerami brytyjskimi. Jako członkowie PKPR wchodziliśmy w skład armii brytyjskiej i podlegaliśmy w całości *King's Regulations*.

Na marginesie warto odnotować, że gdy zdemobilizowałem się z PKPR — w cywilnym dokumencie, który wydano mi na policji — w rubryce: „Government Service” wpisano datę: 12. IV. 1941. W tym dniu rozpocząłem służbę w Samodzielnej Brygadzie Strzelców Karpackich. Okazało się więc, że arcy polska romantyka Brygady z ewidencyjnego punktu widzenia była służbą dla rządu brytyjskiego.

Polskimi oficerami pozostali do końca oficerowie AK, których nie przyjęto do PKPR. Członkami PKPR mogli być tylko polscy żołnierze, którzy przez określony czas służyli pod dowództwem brytyjskim. Sytuacja oficerów AK była bardzo trudna, ponieważ nie otrzymywali żadnej pensji.

W moim baraku na ścianach wisały ogromne mapy Kanady, Afryki,

Ameryki Południowej. Większość moich młodszych współtowarzyszy planowała emigrację za Ocean. Zakładali garaże i warsztaty w Argentynie, kupowali farmy w Kanadzie, sklepy żywnościowe w Melbourne, restauracje w Chicago. Plany i projekty zasypywały Calveley lawiną. Patrzyłem z podziwem na tych młodych oficerów. Lata wojny spłynęły po nich jak woda po kacze. Nie mieli cienia wątpliwości, że dadzą sobie radę — choć większość z nich nie miała ani pieniędzy ani nie znała obcych języków.

Starsi panowie z brzuskami i łysinami stanowili odrębną grupę. W takich sytuacjach jak Calveley — wiek odgrywa decydującą rolę. Wszyscy tak młodzi jak i starzy — byliśmy na starcie nowego życia. Starsi panowie nie planowali budowy garaży w Peru — tylko obliczali bez przerwy swoje, na „kasztanach” zrobione, pieniądze i rozpatrywali ostrożnie, bojaźliwie, domy wystawione na sprzedaż szukając instynktownie owego przysłowiowego dachu nad głową.

W małym baraku obok kuchni urzędowała komisja „Labour Exchange”. Każdy z nas był obowiązany stawić się przed ową komisją.

— Zawód?

— Dziennikarz.

Twarze członków komisji wyrażały niechęć i lekką odrazę. Po chwili przewodniczący zapytał głosem pełnym zwątpienia:

— Czy poza dziennikarstwem umie pan robić coś pożytecznego (*something useful*)?

— Umiem gotować.

Wszyscy jak na komendę uśmiechnęli się życzliwie. Przewodniczący wyciągnął do mnie rękę.

— Gratuluję panu. Kucharzom powodzi się znakomicie w tym kraju.

Byłem nieco odmiennego zdania, gdy pewnego dnia w podziemiach restauracji na Oxford Street zamiast kiszzonego ogórka wyciągnąłem z beczki utopionego szczura. Lecz moje faszerowane pomidory cieszyły się wielkim powodzeniem. Codziennie przed drugą po południu wszystkie były skonsurowane i zapłacone.

Gotowanie było zawsze moim *hobby*, które do dziś uprawiam. Lecz gotowanie to jest temat-olbrzym, na miarę dzieła a nie na miarę felietoniku w Kronice. Moim marzeniem byłoby napisać kiedyś książkę pt. „Tłuszcz — morderca potraw i ludzi”. Obawiam się, że moja książka kucharska byłaby jeszcze bardziej kontrowersyjna niż moje książki polityczne. Lecz kontrowersyjność — mądrze stosowana — poprawia smak zarówno artykułów jak i potraw.

Najbardziej uprzywilejowaną grupę w Calveley stanowili technicy, a w szczególności geometrzy i inżynierowie geodeci. Niemal wszyscy wstąpili do brytyjskiej służby kolonialnej i wyjechali do Afryki.

Budowali drogi, mierzyli, rysowali mapy i grzali się nie tylko w słońcu afrykańskim lecz i w łaskawych blaskach zachodzącego słońca Brytyjskiego Imperium.

Jeden z nich — major w wojsku, inżynier mierniczy w cywilu — na pierwszym urlopie w Londynie opowiadał mi o wspaniałościach kolonialnego życia. Miał piękną willę, sześcioro służby, samochody i bajeczną zastawę stołową. „Wiesz mój drogi” — opowiadał zachwycony pan Stanisław — „jeżeli nie trzeba samemu myć talerzy i kryształów — można mieć zastawę stołową jak w Buckingham Palace”.

Minęło drugie dziesięć lat i p. Stanisław wylądował na połowie pensji w jednej z eleganckich miejscowości podlondyńskich. Sprowadził żonę z Polski — kupił antyczne meble i osiadł w domu wypełnionym afrykańskim hebanem i wyrobami z kości słoniowej. Przeszłość imperialno-kolonialna wyczuwalna była na każdym kroku. Nie było tylko służby.

Przed rokiem odwiedziłem p. Stanisława i poznałem jego żonę panią Kazimierę. Pani Kazia przeżyła okupację w Kraju i mimo regularnej pomocy ze strony męża żyła w bardzo skromnych warunkach.

Wieczorem p. Stanisław sam nakrywał do stołu. Było nas tylko troje lecz stół dosłownie uginał się pod porcelaną, srebrem i kryształami. Przed każdym z nas było po cztery noże i widelce najrozmaitszych kształtów i wielkości, pół tuzina łyżek, szklanki, kieliszki i wręcz nieskończona ilość talerzy i talerzyków.

Na moją uwagę, że po co te wszystkie wspaniałości, p. Stanisław wyprostował z dumą sześć stóp swej potężnej postaci i oświadczył: „tak się jadało w moim domu i tak się jadać będzie nadal”.

Pani Kazia milczała. Gdy po kolacji pomagałem jej w kuchni zmywać owe góry naczyń — pani Kazia powiedziała niemal z płaczem: „jemu się ciągle zdaje, że jest Bwana kubwą, że ma sześcioro czy dziesięcioro służby, że należy do klubu golfowego i że jutro czy pojutrze będzie podejmował u siebie gubernatora”.

Pani Kazia nie rozumiała i oczywiście zrozumieć nie mogła, że jej mąż był niepojętym dziwakiem tylko w polskiej perspektywie. Na tle angielskiego pejzażu był nie tyle dziwaczny ile typowy. Jeżeli ktoś jest bardziej typowy dla swojej klasy i rasy niż inni, mówimy że jest ekscentryk.

Pan Stanisław spędził ponad 20 lat w brytyjskiej służbie kolonialnej i dzięki swoim kwalifikacjom był istotnie wielką figurą. Na prowincji mieszka tysiące brytyjskich kolegów p. Stanisława w domach wypełnionych hebanem, kością słoniową, skórą i indyjskich tygrysów i upiornymi fotografiami, sprawiającymi wrażenie jakby je zrobiono na tamtym świecie w czasie spirytystycznego seansu.

Za czasów Kiplinga większość emerytów klasy p. Stanisława po krótkim pobycie w Anglii (mgła, deszcze, droga służba) wracała do Indii czy Afryki. Jakże charakterystyczne w tym względzie są pamiętniki J. A. Hunter'a, który wrócił do Kenii ponieważ nie potrafił re-aklimatyzować się w własnej ojczyźnie. Wzruszający i prosty jest opis jego powrotu, gdy nagle zrozumiał, że jego dom — choć 30 lat o tym nie wiedział — jest w Kenii a nie w Anglii.

Lecz gdzie miał wrócić pan Stanisław? Wszystko ułożyło się inaczej niż sobie planował. Dewaluacja i wzrastająca w Anglii drożyzna uderzyły go po kieszeni. Pan Stanisław musiał zrezygnować z pięknego mieszkania bo już dłużej nie było go na nie stać. Wspaniała zastawa stołowa i pamiątki afrykańskie powędrowały do skrzyń obitych blachą.

Tydzień temu pożegnałem się z Bwana kubwą — wydaje mi się na zawsze. Zdecydował się na powrót do Kraju. Jego emerytura przeliczona na złote przedstawia się raczej korzystnie. Pan Stanisław wierzy, że zdoła tanio kupić i odrestaurować po-niemiecki dwór na ziemiach zachodnich. Wówczas będzie mógł nareszcie rozpakować swoje ciężkie, okute skrzynie, które zawierają wspaniałą, imperialną przeszłość.

Propozycja syntezy

Czym są uwarunkowane reakcje ludzi w dzisiejszej Polsce? Jakie mechanizmy w życiu tego społeczeństwa odgrywają rzeczywiście istotną rolę? Długie lata „obserwacji uczestniczącej” doprowadziły mnie do pewnych wniosków i mam wrażenie, że odczuję ulgę, dzieląc się myślami z Czytelnikiem.

Wszelkie publikacje na temat Polski współczesnej, pisane swobodnie przez autorów krajowych i emigracyjnych, narażone są na niebezpieczeństwo zniekształceń i przejawskrawień, wywołanych przez czynnik emocjonalny. Zdaję sobie sprawę z tego niebezpieczeństwa i będę się starała potraktować przedmiot w sposób możliwie beznamiętny i obiektywny, skupiając uwagę raczej na szukaniu ogólniejszych prawidłowości, niż na doborze możliwie szokujących faktów.

Biurokracja totalna

Podobieństwa między systemem społecznym Trzeciej Rzeszy a systemem demokracji ludowej we współczesnej Polsce nie są bynajmniej powierzchowne. W obu sytuacjach znajdujemy zespoły cech bardzo zbliżone do idealnego wzoru biurokracji totalnej. Władzę sprawuje elitarna grupa ulokowana na szczycie piramidy społecznej, opierając się na elitach zmontowanych w każdym środowisku i nie dzieląc tej władzy z żadną inną grupą. System działa na zasadzie — z dołu do góry informacja, z góry na dół — decyzje. Niezbędny konformizm podporządkowanych temu systemowi (a podporządkowani są praktycznie niemal wszyscy znajdujący się na terytorium kraju) zapewnia skoncentrowana w rękach rządzącej grupy siła, pozwalająca na nieograniczone niemal wywieranie nacisku na wszystkich którzy zajmują kolejne, niższe piętra piramidy.

Kontrola biurokratyczna nie ogranicza się do dziedziny admi-

nistracji państwowej i do życia gospodarczego. Grupa rządząca dąży do podporządkowania sobie wszystkich form działania zbiorowego i faktycznie zdołała osiągnąć tę kontrolę w bardzo znacznym stopniu.

Jednostka jest bezbronna wobec biurokratycznego monopolu. Nie istnieją żadne ciała pośredniczące między jednostką a grupą rządzącą; żadne organizacje, żadne instytucje, które mogłyby działać w sposób niekontrolowany przez biurokratyczną centralę.

Wszędzie tam, gdzie spotykamy jakiekolwiek formy zrzeszania się ludzi, działa nieuchronnie jakaś elitarna grupa, która w zamian za przywileje (wydzielane zresztą z dużą ostrożnością) skutecznie kontroluje całą działalność zrzeszenia, środowiska, zgodnie z poleceniami otrzymanymi z góry. Często taką grupą kontrolującą jest miejscowa organizacja partyjna (terytorialna lub środowiskowa), działająca mniej lub bardziej jawnie, ale bywa też, że jest to grupa działająca zza kulis i demonstrująca sztyld który łatwo może wprowadzić w błąd.

Jednostki nie chroni też prawo. Może ono być dowolnie interpretowane, kształtowane i łamane przez grupę kontrolującą biurokratyczny mechanizm a także, w mniejszym zakresie, przez podległe, elitarne grupy lokalne i środowiskowe.

Jedyna zasada którą w swym działaniu stosuje rządząca grupa w sposób niezmiennie konsekwentny polega na tym, by ani przez chwilę nie wypuszczać pełni władzy ze swych rąk. Pod każdym innym względem możliwa jest maksymalna elastyczność.

Rozbicie więzi międzyludzkich

Poza sferą kontrolowaną przez partię, a ściślej — przez stosunkowo nieliczną grupę na szczycie partyjnej hierarchii — każda więź trwale łącząca ludzi jest z punktu widzenia rządzących zjawiskiem niepożądanym i niebezpiecznym. Rozbicie wszelkich takich więzi i niedopuszczenie do warunków sprzyjających ich powstawaniu było jednym z głównych celów ludzi rządzących Polską przez ostatnie dziesięciolecia.

W rezultacie Miejska Rada Narodowa nie jest ciałem reprezentującym niektóre choćby warstwy mieszkańców miasta i ich interesy, lecz agendą rządzącej partii, działającą według instrukcji góry partyjnej w kraju i tylko w jej interesie. Zrzeszenie zawodowe adwokatów nie broni interesów zawodu ani nie czuwa nad tym, by zawód był wykonywany *lege artis*; jego funkcja polega na podporządkowaniu adwokatów rządzącym i na zmuszaniu ich do działania zgodnego z wolą i interesem biurokratycznej góry. Towarzystwo naukowe nie jest wyrazem możliwości swobodnego zrzeszania się uczonych i prowadzenia działalności zgodnej z aktualnymi wymogami danej dziedziny wiedzy, lecz urządzeniem ułatwiającym kontrolowanie uczonych, narzucanie im problematyki badawczej i kierunku myślenia.

W każdym zrzeszeniu partia, w sposób jawny lub ukryty, obsadza kluczowe pozycje, zapewnia sobie wpływ na istotne decyzje, na dogodnych pozycjach plasuje swoje oczy i uszy.

Uczestnicy życia społecznego, zdominowanego i zinfiltrowanego przez partię mają świadomość, że nie są „u siebie”, nie są „u swoich”, że na płaszczyźnie społecznego działania zawsze wchodzi w styczność z nimi; i że oni są zawsze w ostatecznym rachunku najsilniejsi a często też niebezpieczni dla jednostki angażującej się w działalność społeczną.

Poza progiem własnego mieszkania i mieszkań naszych najbliższych zawsze spotykamy przedstawicieli Wielkiego Brata.

Odstępstwo od tej zasady jest herezją; partia ani nie ma ochoty ani nie może sobie pozwolić na tolerowanie herezji. Gdy jakaś wspólnie działająca grupa próbuje się wyemancypować, uruchamia się kolejno wszystkie dostępne środki nacisku, od łagodnej perswazji po represje policyjne.

Prowadzi to do sytuacji w której granica oddzielająca „swoich” od „obcych”, „nas” od „nich” — przesuwana się coraz bliżej jednostki i zatacza krąg obejmujący już tylko nielicznych, zaufanych i wypróbowanych, z którymi utrzymuje się styczności „twarz w twarz”. Cała reszta, w coraz większym stopniu, staje się w odczuciu jednostki obojętna, niebezpieczna lub wroga.

Dezinformacja

Kolejnym istotnym czynnikiem procesu społecznego w dzisiejszej Polsce jest dezinformacja. Publiczność nie ma dostępu do prawdziwych faktów ani ze świata ani z kraju. Bariera dezinformacji oddziela przeciętnego czytelnika polskich gazet nie tylko od wiadomości o poszczególnych bieżących wydarzeniach ale i od różnych punktów widzenia, od syntez politycznych, ekonomicznych, socjologicznych, artystycznych, od konstrukcji myślowych rodzących się nieustannie na szerokim świecie a także, od czasu do czasu, mimo wszystko i na własnym podwórku.

Podobnie jak sztuka rozbijania więzi, sztuka dezinformowania osiągnęła w ciągu wielu lat wysoki stopień rozwoju. Już od dawna przestano operować prymitywną metodą blokowania niepożądanych informacji; przy obecnym stanie środków masowego przekazu na świecie, byłoby to mało skuteczne. Rozwinęła się cała gama sposobów zniekształcania obrazu rzeczywistości w oczach społeczeństwa, od subtelnych ćwierć-prawd i delikatnych fałszerskich retuszy, po absolutne zmyślenia do których dobudowuje się surrealistyczne systemy uzasadnień, łącząc fikcję z wyrwanymi z kontekstu autentykami. System dezinformacji uwzględnia zarówno czynnik emocjonalny jak i racjonalny w społeczeństwie poddanym jego oddziaływaniu.

Wyjeżdżający na Zachód przedstawiciele polskiej inteligencji twórczej często z zaskoczeniem przyjmują treść i zakres pojęcia *welfare state*, przyjętego w goszczącym ich kraju; bowiem przy-

jechali w przekonaniu, że znaczy to „państwo dobrobytu”, jak to im wpoił krajowy system dezinformacji. Czytelnikowi zachodniemu może się to wydać niewiarygodne, ale stwierdziłam to wielokrotnie w rozmowach z powracającymi, w sposób nie budzący najmniejszych wątpliwości. Jeśli dezinformacja tak skutecznie zniekształca obraz świata w głowach inteligencji twórczej, to można sobie wyobrazić, jak bardzo nieadekwatny jest ten obraz wśród innych warstw społeczeństwa.

Specyficznym typem dezinformacji jest wprowadzanie w błąd pracowników aparatu władzy, w celu wywołania wśród nich odpowiednich postaw. Po powrocie z Zachodu pewien pracownik naukowy miał rozmowę z oficerem bezpieczeństwa na temat książek odebranych na granicy. (Rozmowa była następstwem formalnego odwołania się od rekwizycji, wniesionego do władz). Jeden z argumentów oficera brzmiał: „Przecież sam pan wie, że oni tam też nie rozpowszechniają literatury przedstawiającej naszą ideologię”. Informacja, że w Berkeley przed uniwersytetem setkami metrów ciągną się stoiska z książkami Marksa, Engelsa, Lenina, Stalina i że każdy może je kupić za grosze, została przyjęta z niepoprzedzonym zainteresowaniem i niedowierzaniem.

Bierność

Pojęcie obywatel zawiera w sobie element świadomego i aktywnego uczestniczenia w życiu zbiorowości i wywierania rzeczywistego wpływu na to życie. Tak zdefiniowani obywatele są we współczesnej Polsce coraz rzadszym zjawiskiem.

Istnieje bardzo nieliczna grupa decydujących. Ci posługują się aparatem władzy, składającym się z pretorianów coraz bardziej izolowanych od reszty. Reszta to masy, nie mające istotnego wpływu na nic, z którymi nikt się naprawdę nie liczy i które w życiu społeczeństwa zachowują coraz dalej posuniętą bierność. Nie wydaje się, by zagraniczni obserwatorzy w pełni zdawali sobie sprawę z zakresu tej bierności mas w Polsce, sądzę też, że wielu ludzi w samym kraju tego nie rozumie, zwiedzionych pozorami „społecznego działania” które fabrykuje się u nas z dużą pieczołowitością.

Trwająca przez lata świadomość, że nie ma się i nie może się mieć żadnego wpływu na warunki swojej społecznej egzystencji, wyciska piętno na systemach wartości i postaw członków społeczeństwa. Jednostka odwraca się od społeczności, traci zainteresowanie tą społecznością, koncentruje się na własnym losie i na losie najbliższych. Przejawia aktywność tam, gdzie może to przynieść owoce — w zakresie dobrobytu i pomyślności własnej rodziny. W pozostałych dziedzinach w coraz większym stopniu przejawia fatalistyczną obojętność i zatracą poczucie współodpowiedzialności już nie tylko za losy kraju, miasta, powiatu, ale i za losy swojego bezpośredniego otoczenia społecznego — swojego zakładu pracy, uczelni, grupy sąsiedzkiej, grupy zawodowej, klubu sportowego.

Poza małą grupą najbliższych, pozostałe układy odniesienia w społecznej egzystencji współczesnego Polaka mają dla niego znaczenie najczęściej już tylko instrumentalne; są istotne o tyle, o ile mogą pomóc lub zaszkodzić w urzeczywistnieniu bezpośrednich celów życiowych, takich jak kariera zawodowa, zwiększenie dobrobytu i prestiżu rodziny. Wydaje się, że jest to w danych warunkach proces naturalny i nieuchronny. (Różne badania socjologiczne, m.in. z zakresu socjologii miasta, socjologii wsi, socjologii pracy, prowadzone w ostatnich latach w Polsce, dostarczają materiałów potwierdzających te spostrzeżenia. Nb. wyniki tych badań albo znikają w szufladach katedr uniwersyteckich, albo są publikowane w znikomych nakładach, często traktowane jako reservata i praktycznie niedostępne dla publiczności. Poza tym autorzy stosują autocenzurę i są bardzo ostrożni w wyciąganiu wniosków i formułowaniu uogólnień, jak zresztą i w samym doborze tematów).

Konkurencja

Charakterystyczną cechą życia w dzisiejszej Polsce są od dawna najrozmaitsze dysproporcje, a najważniejszą chyba jest dysproporcja między rozbudzonymi potrzebami a rzeczywistymi możliwościami ich zaspokojenia na jakąkolwiek szerszą skalę. Dotyczy to wszelkich możliwych potrzeb i wszelkich dziedzin ludzkiego życia (z wyjątkiem chyba jednej — potrzeby alkoholu). Dysproporcja między uświadomionymi potrzebami obywateli a możliwościami ich zaspokojenia przez system społeczny w którym żyją występuje zarówno w sferze materialnej jak i intelektualnej, warunków i możliwości w pracy i w wypoczynku, w budownictwie mieszkaniowym i w szkolnictwie, w gospodarce komunalnej i w służbie zdrowia — wszędzie i na każdym kroku.

Jeśli nałożyć ten obraz na poprzedni, przedstawiający rozbięcie więzi społecznych, otrzymuje się przesłanki wyjaśniające procesy morderczej konkurencji i rywalizacji, w jakie uwikłany jest przeciętny obywatel dzisiejszej Polski. Dysproporcje są potężnym bodźcem tej rywalizacji; rozbięcie więzi jest unieruchomieniem hamulców narzucających jednostce jakieś zasady *fair play*.

Biurokratyczne państwo stanowi mur nie do przebicia dla rozproszonych jednostek i dla zdeintegrowanych grup. Świadomość tej elementarnej prawdy społecznej tkwi już we krwi współczesnego Polaka, stała się elementem jego intuicyjnego poglądu na świat. Pomysł, że można by doprowadzić do lepszego zaspokojenia potrzeb poprzez oddziaływanie na państwo, na jego gospodarkę, instytucje, urzędnienia polityczne, nikomu „normalnemu” nie przychodzi już do głowy. Pozostaje droga rywalizacji z innymi jednostkami.

Rywalizacja o lepsze zaspokojenie potrzeb swoich i swojej rodziny przybiera dziś w Polsce formy brutalnej walki, w której obowiązuje prawo pięści. W tej walce jednostka jest zdana wy-

łącznie sama na siebie oraz na chwilowych sprzymierzeńców w operacjach taktycznych. Nie istnieją w rzeczywistości żadne struktury społeczne chroniące jednostkę na polu walki o byt, np. związki zawodowe są zupełną fikcją, a raczej ich idea nie ma żadnego pokrycia w rzeczywistości, faktycznie służą interesowi rządzącej biurokracji.

Naturalną kolejną rzeczy słabi idą na dno. Do nich dołączają ci, których działanie krępują nadmiernie hamulce natury etycznej i moralnej. Jak łatwo zauważyć, dokonuje się przy tej okazji proces selekcji, który winduje po szczeblach hierarchii społecznej pewne specyficzne typy jednostek.

Ten stan rzeczy, na zasadzie ujemnego sprzężenia zwrotnego, wzmacnia pozycje ulokowanych na szczycie biurokratycznej piramidy i zmniejsza szanse przeciwstawienia się społeczeństwa biurokratycznemu monopolowi, zmniejsza jego zdolność oporu.

Agresja

Z psychologicznego punktu widzenia odnosi się wrażenie, że ludzie w Polsce, w stopniu o wiele większym niż w wielu innych społeczeństwach, naładowani są agresją. Agresja jest następstwem frustracji, a społeczeństwo opanowane przez monopol biurokratyczny jest, jak się niejednokrotnie okazywało, społeczeństwem sfrustrowanych.

Niewspółmierne do bodźców agresywne reakcje są stałym elementem codziennej polskiej egzystencji, co jest kolejnym czynnikiem obniżania się poziomu stosunków międzyludzkich w tym kraju. Obserwuje się stały regres poziomowi współżycia z bliźnimi, obniżanie się kultury stosunków wzajemnych między ludźmi, nie tylko pod względem treści, ale i formy. (*Not to grin is a sin* — szydzą sami z siebie Amerykanie; akurat odwrotnie w Polsce. Bezwzględność, brutalność, chamstwo stają się nieodzownymi sprzymierzeńcami zarówno w zabiegach o awans w pracy jak i o miejsce w tramwaju. Liczenie się z innymi jest poczytywane za dowód słabości i prowadzi do porażki).

Potencjał agresji wywołuje trudne do zniesienia napięcie w stosunkach między ludźmi. Różne są konsekwencje tego napięcia. Jedną z nich jest poważne zagrożenie zdrowia psychicznego coraz liczniejszych jednostek, we wszystkich środowiskach i na wszystkich szczeblach hierarchii społecznej. Druga ma istotne implikacje dla życia politycznego w kraju; jest czynnikiem który zarówno przyczynia się do decyzji organizowania i prowokowania masowych polowań na czarownice, jakie podejmuje rządząca biurokracja, jak i do powodzenia tych polowań wśród zaskakująco licznych grup i warstw, nie wyłączając inteligencji i znacznej części intelektualistów. Przy okazji nagonki na jakąś grupę, dowolnie wybraną przez rządzących, potencjał agresji wyładowuje się w sposób nieszkodliwy zarówno dla monopolu biurokratycznego jak i dla dołączających do nagonki.

Los szczutych stanowi przestrożę dla całej reszty i przyczynia się w ten sposób do umocnienia systemu.

Lęk

Stałą komponentą osobowości przeciętnego obywatela dzisiejszej Polski jest lęk, wywoływany, wzmacniany i utrwalany przez naszczykowane tutaj zjawiska natury społecznej i psychologicznej. Często bywa to tylko nieświadomiony niepokój, lecz często mamy do czynienia z długotrwałymi, słabnącymi czasem, lecz nigdy nie ustępującymi całkowicie, stanami panicznego przerażenia. W obu skrajnych wypadkach i we wszystkich sytuacjach pośrednich lęk ten jest czynnikiem deformującym osobowość, prowadzącym do głębokich, często może już nieodwracalnych zmian osobowości u niezliczonych ludzi żyjących w tym kraju.

Na podłożu tego lęku rodzi się cały zespół cech, patologicznych z socjologicznego, psychologicznego i psychiatrycznego punktu widzenia — utrata wszelkich niemal form lojalności, konformizm w najsłabszych postaciach, ucieczka od życia, utrata zdolności do samodzielnego myślenia.

Paulina PREISS

Bezrobocie w systemie komunistycznym

W cyklu artykułów poświęconych odbrazowaniu systemu gospodarki komunistycznej, który zamieściłem w *Kulturze*, wykazałem dotychczas, że stopa życiowa w Polsce nie wzrastała wcale tak szybko, jak podają oficjalne statystyki i że obecnie zaledwie przewyższa przedwojenną stopę na obecnych terenach Polski (1966, nr 9); że produkcja przemysłu polskiego wzrosła między okresem przedwojennym a 1960 rokiem nie ośmiokrotnie, jak podają oficjalne statystyki, tylko trzykrotnie — a mniej niż dwukrotnie w obecnych granicach Polski (1967, nr 3); i że, wbrew marksistowskim dogmatom, istnieją w gospodarkach komunistycznych poważne wahania cykliczne (1967, nr 12). Obecnie chciałbym zająć się inną bolączką komunistyczną, ideologicznie należąca do „faktów nieistniejących”, a mianowicie bezrobociem. Z ekonomistów polskich na Zachodzie pisali o tym zjawisku m.in. Michał Gamarnikow, Janina Miedzińska i Jerzy Szyszko-Bohusz (*Dylematy Gospodarki Polskiej*, Londyn: Polska Fundacja Kulturalna, 1965). Ostatnio miałem okazję przejrzenia tezy doktorskiej

złożonej w 1968 r. na Uniwersytecie Cornell w Ithaca (w stanie Nowy Jork) przez młodego kubańczyka, Carmelo Mesa-Lago, pt. *Bezrobocie w Krajach Socjalistycznych: Związek Sowiecki, Europa Wschodnia, Chiny i Kuba*. Jest to duże i wyczerpujące studium porównawcze, opierające się na imponującej ilości źródeł. Carmelo Mesa stwierdził w nim istnienie marksistowskiego dogmatu, dotyczącego pełnego zatrudnienia w socjalizmie, kontrastującego z armią bezrobotnych istniejącą z reguły w systemie kapitalistycznym. Istnienie tego dogmatu przeszkadza gruntownym badaniom zjawiska bezrobocia m.in. w Polsce.

Mesa dokumentuje istnienie bezrobocia we wszystkich krajach badanych przez siebie, podając nawet garstkę danych dotyczących Albanii. W Polsce w 1965 r. stwierdza istnienie 400 tysięcy bezrobotnych oraz przynajmniej 1 i pół miliona zbędnych robotników poza rolnictwem, i 1 i jedna trzecia do 2 i pół miliona zbędnych robotników w rolnictwie. Tak więc bezrobocie w Polsce stanowi co najmniej 2,6 % istniejącej siły roboczej, podczas gdy co najmniej 18,2 % stanowi zbędną siłę roboczą, nie przyczyniającą się do powiększania dochodu narodowego (str. 206). Wynika stąd, że marnotrawstwo siły roboczej w Polsce jest zjawiskiem bardzo poważnym, co dowodzi nieporadności centralnych planistów komunistycznych.

Mesa w swoich konkluzjach stwierdza, że „im bardziej państwo socjalistyczne jest uprzemysłowione, tym mniej wydaje się cierpieć na częściowe bezrobocie typu rolniczego oraz na bezrobocie sezonowe, a tym więcej ma ono problemów z jawnym miejskim bezrobociem, ukrytym bezrobociem (w przemyśle i usługach), technologicznym i strukturalnym bezrobociem” (str. 522). Stwierdza on także, że „niektóre kraje socjalistyczne, omarnione marksistowskim mirażem, że kompletna socjalizacja środków produkcji przyspiesza zarówno wzrost gospodarczy jak i osiągnięcie pełnego zatrudnienia, w efekcie wyeliminowały olbrzymie źródło zatrudnienia w rzemiośle, handlu i innych inicjatywach prywatnych” (str. 525). „W gospodarkach wolno-rynkowych sektor usług wchłonął tak nadwyżkę [roboczą] wytworzoną w sektorze przerobowym, jak i wzrost siły roboczej. Natomiast w bloku socjalistycznym sektor usług został zaniedbany ze względów ideowych i z powodu braku środków inwestycyjnych. Obecnie pewne kraje socjalistyczne przedsięwzięły bolesny proces zmiany socjalistycznego uprzedzenia przeciw tego rodzaju działalności i [zaczęły] proces odbudowywania rzemiosła, handlu i działalności pomocniczych” (str. 527). Są to ogólne refleksje wpływające z przeglądu polityki gospodarczej badanych państw komunistycznych.

W części pracy zajmującej się zjawiskiem bezrobocia w Polsce autor spostrzega istnienie ukrytego bezrobocia na wsi od czasów sprzed Drugiej Wojny Światowej. W latach trzydziestych między 1/3 a 1/2 ludności wiejskiej mogło być usunięte z roli bez widocznego obniżenia produkcji. W 1960 r. zbędna (tzn. w sensie ekonomicznym nieproduktywna) ludność wiejska liczyła od 19 %

do 37 % (str. 187). Osobiście oceniam, że w ostatnich latach procent ludności wiejskiej, która nie przyczynia się widocznie do zwiększenia produkcji wzrósł jeszcze bardziej, częściowo przez zmianę technologii rolnictwa. Mesa zaznacza, że jedynie tylko, żeby nie pogarszać stanu ukrytego bezrobocia na wsi (przyjmując niezmienną technologię produkcji rolnej) trzeba by w latach 1966-75 w porównaniu z poprzednią dekadą powiększyć tempo tworzenia nowych miejsc pracy o 50 % (str. 189). A na to się nie zanosì.

W przemyśle autor dostrzega ukryte bezrobocie, które charakteryzuje nieefektywne użycie siły roboczej. W okresie Planu Sześcioletniego „rząd uważał, że taka niewydajna alokacja siły roboczej naprawiłaby społeczne zło wypływające z jawnego bezrobocia, i w ostatecznym wyniku pomogłaby w wykształceniu i adaptacji robotników niewykwalifikowanych. Płace w pewnych wypadkach były niczym więcej jak tylko zasiłkiem dla bezrobotnych” (str. 190). Polityka ta doprowadziła do opłakanych rezultatów, które Mesa określa jako „(a) dezorganizację pracy, (b) demoralizację dyrektorów i robotników, oraz (c) negatywny produkt krańcowy*, szczególnie w przemysłach żelaza i stali” (str. 190).

W 1960 r. przemysł wykazywał od 10 % do 30 % zbędnego zatrudnienia. W budownictwie sięgało ono od 20 % do 60 %. Centralni planiści polscy dostrzegli ten stan rzeczy „względnie szybko”, bo z prawie dziesięcioletnią zwłoką, i od 1958 r. zainscenizowali kilka programów, mających na celu zmniejszenie zbędnego zatrudnienia. Niestety, właśnie w okresie gdy jeden z tych programów się zaczynał w 1963 r., na rynek pracy zaczęły wkraczać kohorty powojennego wyżu demograficznego, podkreślając rozbieżność między pełniejszym zatrudnieniem a ekonomiczną wydajnością — w każdym razie przy obecnym polskim systemie gospodarczym.

Mesa omawia także bezrobocie strukturalne, powstałe z powodu różnic istniejących między poszczególnymi dzielnicami w Polsce. Fundusz Interwencyjny, ustanowiony w 1956 r., nie posiada wystarczających środków, aby rozwiązać problem tego rodzaju bezrobocia.

Mesa poddaje ocenie teorię Gamarnikowa, zakładającą przyczynowe powiązanie między wahaniami w cyklu inwestycyjnym a występowaniem bezrobocia, dochodząc do wniosku, że teorii tej nie można sprawdzić na podstawie dostępnych danych, ale podkreśla obecność dużej korelacji między oboma zjawiskami (str. 201).

Przedstawiony w powyższej tezie doktorskiej obraz nie jest komplementem dla komunistycznych planistów, i zapowiada raczej pogorszenie się sytuacji na odcinku bezrobocia i nieprodu-

* Negatywny produkt krańcowy oznacza, że dodatkowi robotnicy przyczyniali się do *zmniejszenia* całości produkcji, w tym wypadku częściowo przez rozprężenie dyscypliny pracy.

ktynowego zatrudnienia. Powinienem tutaj zaznaczyć, że w planowaniu komunistycznym biorą udział trzy grupy ludzi: partyjni kacykowie, fachowi ekonomiści przy współpracy fachowców z innych dziedzin, oraz administratorzy gospodarczych jednostek. Tylko pierwsza grupa posiada ostateczną władzę, i tę grupę mam na myśli mówiąc o komunistycznych planistach. Stanisław Wellisz słusznie stwierdza w *The Economies of the Soviet Bloc* (New York: McGraw-Hill Book Co., 1964), że „W systemie typu sowieckiego struktura instytucji ekonomicznych oraz alokacja dóbr ekonomicznych są określane przez przewodztwo polityczne” (str. 11). „Przewodztwo Partii w systemie typu sowieckiego jest centrum decyzji ekonomicznych, i planiści [w sensie fachowych ekonomistów, działających w ramach swojego zawodu] tak jak i aparat administracyjny są w pozycji [od niego] zależnej” (str. 50).

Tak więc planiści partyjni wykazali karygodną nieporadność i — postawmy sprawę jasno — zbrodnicze z punktu widzenia interesów społeczeństwa doktrynerstwo, wychodzące z dogmatycznego założenia, że w socjalizmie bezrobocia nie ma. W porównaniu z planistami Francji, Szwecji, Japonii i innych pragmatycznie rozwijających się krajów, polscy komunistyczni planiści zademonstrowali wspaniałą ideowość — i ekonomicznie ponurą głupotę. Uważam, że nie jacyś drobni spekulanci, mięśni powinni być sądzeni i osadzani w więzieniu, raczej powinni być oskarżeni przede wszystkim ci, którzy mimochodem stwarzając swoimi „ukazami” atmosferę sprzyjającą spekulacji i oszustwu, swoim doktrynerstwem ściągają ze społeczeństwa haracz nieproduktywności lub wręcz bezrobocia. To nie planowość, nie socjalizm, nie fachowi ekonomiści, którym nie daje się możliwości wprowadzenia rzeczywistej poprawy systemu, a ciemnota (jak słusznie to niedawno określił Stefan Kisielewski) doktrynerów, zastępujących inteligencję ślepą wiarą w swój marksistowski katechizm, która zaprzepaszcza gospodarcze możliwości Polski. Planiści polscy kładą nacisk na socjalizację i, w efekcie, na tępienie inicjatywy prywatnej, na centralizację, na rozwój produkcji środków produkcji, z uszczerbkiem produkcji dóbr konsumpcyjnych, na sztywne i nieprawidłowe ceny, na wskaźniki produkcji globalnej, na idiotyczny system handlu zagranicznego, na zróżnicowane opodatkowanie, na permanentne różnice budżetowe, itd. No i zbierają swój plon ze szkodą dla całego społeczeństwa.

Mesa użył w swej pracy kilku źródeł krajowych. Ciekawy jest jednak fakt, jak wielu autorów na Zachodzie pisało na tematy bezrobocia w Polsce, lub na tematy pokrewne bezrobociu. Wymienię te źródła wg. kolejności w jakiej pojawiają się w części pracy Mesy dotyczącej Polski:

Międzynarodowe Biuro Pracy (I.L.O.), *Yearbook of Labour Statistics*, 1945-46; *Yearbook of Labour Statistics*, 1966; *Bulletin of Labour Statistics* (1966, czwarty kwartał);

- United States Bureau of the Census, *The Labor Force in Poland* (opracowane przez Zora Prochazka i Jerry W. Combs); *Projections of the Population of the Communist Countries of Eastern Europe by Age and Sex: 1965-1985* (opracowane przez James L. Scott);
- Michał Gamarnikow, „Poland's Unemployment Problem”, *East Europe*, 1964, nr 6; „Poland's Economic Recession”, *East Europe*, 1963, nr 3; „Wages and the State”, *East Europe*, 1963, nr 7;
- Jack C. Fisher, redaktor, *City and Regional Planning in Poland* (Ithaca: Cornell University Press, 1966), zawierające artykuły ekonomistów krajowych;
- John M. Montias, *Central Planning in Poland* (New Haven: Yale University Press, 1962);
- Alfred Zauberman, *Industrial Progress in Poland, Czechoslovakia and East Germany* (London: Oxford University Press, 1964);
- François Sellier, „Salaries et Sécurité Sociale en Pologne”, *Le Régime et les Institutions de la République Populaire de Pologne* (Bruksela: Université Libre de Bruxelles, 1959);
- Bogdan Mieczkowski, „Poland: More Workers Than Jobs?”, *East Europe*, 1966, nr 3;
- George R. Feiwell, *The Economics of a Socialist Enterprise: A Case Study of the Polish Firm* (New York: Praeger Special Studies, 1965);
- Dylematy Gospodarki Polskiej* (Konferencja Ekonomiczna w Sprawach Krajowych) (Londyn: Polska Fundacja Kulturalna, 1965).

Tak więc na nawet względnie wąski temat polskiego bezrobocia można znaleźć na Zachodzie sporo źródeł. Jest ich zresztą nawet więcej, jeśli uwzględnić źródła w języku polskim. Dowodzi to dużego zainteresowania problematyką polską na Zachodzie. Dowodzi, niestety, także, że problem bezrobocia w Polsce jest jaskrawo widoczny, zademonstrowany i znany. Zresztą i w Polsce, problem ten jest czasem migawkowo poruszany, choć raczej ogólnie i jedynie w fachowych pismach.

Sprawę trwonienia siły roboczej poruszył także ekonomista krajowy, Mieczysław Kabaj, w doskonałym przyczynku, który niedawno wpadł mi w ręce, pt. „Racjonalne zatrudnienie”, umieszczonym w książce *Polityka Gospodarcza Polski Ludowej*, część I (Warszawa: Książka i Wiedza, 1965). Pozwolę sobie szerzej go zacytować:

„Przez wiele lat gospodarka nasza nastawiona była głównie na oszczędność pracy żywej*. Prowadził do tego system bodźców i planowania, oparty na wskaźniku produkcji globalnej. Przyrost funduszu płac był funkcją wykonania i przekroczenia planu produkcji globalnej. Wielkość zatrudnienia była ustalona z góry w postaci limitu, którego nie wolno było przekroczyć.

Jedną z podstaw systemu planowania, zatrudnienia, płac, z częściowego także produkcji, była zasada, wedle której fundusz płac nie powinien przekroczyć określonego procentu wartości planowanej i realizowanej produkcji. Zasada ta stworzyła barierę wzrostu produkcji pracochłonnej, która nie mieściła się w ramach w ten sposób określonego funduszu płac. W oparciu o tę zasadę dokonywano w wielu przypadkach naturalnej selekcji planów

* Kabaj mówi tu o porównawczej pracochłonności między poszczególnymi procesami produkcyjnymi, a nie o ogólnej tendencji do zatrudniania w gospodarce polskiej zbędnej ilości robotników w procesach produkcyjnych.

asortymentowych produkcji. Wroby o większej pracochłonności niż ustalona limitem były niechętnie produkowane, niezależnie od zapotrzebowania rynku.

... oznacza to istnienie poważnych rezerw wzrostu zatrudnienia. Stworzenie warunków umożliwiających wzrost udziału bardziej pracochłonnych wrobów w ogólnej produkcji przemysłu przyczyni się do wzrostu zatrudnienia**.

Kabaj wykazał więc błędy w planowaniu, które przeszkadzały osiągnięciu wyższego stanu zatrudnienia. Kabaj obala zresztą zakorzeniony w Polsce mit, głoszący, że oficjalne dane na temat bezrobocia w pełni oddają stan faktyczny:

„Doświadczenie uczy, że nie wszyscy poszukujący pracy zgłaszają się do wydziałów zatrudnienia. ... Im sytuacja jest gorsza, a więc im trudniej jest uzyskać pracę tą drogą, tym prawdopodobnie mniej ludzi zgłasza się do wydziałów zatrudnienia***.

W artykule umieszczonym w grudniu 1967 r. w *Kulturze* zwróciłem uwagę na istnienie wahań cyklicznych w ustrojach komunistycznych. Wahania te odbijają się na stanie zatrudnienia. I tak, Wiesław Nycz, „Wahania poziomu zatrudnienia w Polsce”, *Życie Gospodarcze*, 1967, nr 9, wykazuje, że w 1965 r. cykliczne wahania zatrudnienia w górę i w dół od przeciętnej rocznej wyniosły 577 tysięcy osób, a więc 6,3 % przeciętnego zatrudnienia. Liczba „oficjalnych bezrobotnych”, podanych w *Roczniku Statystycznym* 1967 na str. 77 jako „zarejestrowani poszukujący pracy” stanowi dokładnie 10 % powyższej cyfry obrazującej jednoroczne wahanie cykliczne zatrudnienia w Polsce. Potwierdza to cytowane powyżej spostrzeżenie Kabaja o tendencji nierejestrowania się przez bezrobotnych.

Nycz oblicza także, że przeciętne wahania zatrudnienia na cały okres 1956-65 wyniosły między lutym (przeciętnie 97,6 % zatrudnienia statystycznego trendu) a październikiem (przeciętnie 101,4 % normalnego zatrudnienia) aż 4 %. Te 4 % to bezrobocie jawne, które Męsa podał jako wynoszące co najmniej 2,6 % siły roboczej. W przemyśle wahania te uległy zmniejszeniu w 1965 r., ale ogólna płynność załóg była w nim jeszcze bardzo wysoka, ponieważ zwolnienia stanowiły 24,2 %, a przejścia do pracy 27,9 % stanu zatrudnienia z końca poprzedniego roku. (Patrz Andrzej Karpiński, „Zatrudnienie i wydajność pracy w przemyśle w latach 1961-1965”, *Gospodarka Planowa*, 1967, nr 1). Według jednego z planistów polskich „Nadmierna fluktuacja [zatrudnienia] była... niewątpliwie jednym z czynników, który wpłynął ujemnie na poziom wydajności pracy” (*Tamże*, str. 19).

Wahania w poziomie zatrudnienia wykazują istnienie jawnego (choć nie w pełni statystycznie podanego) bezrobocia. Poza tym istnieje ukryte bezrobocie, o którym częściowo pewne pojęcie daje obliczenie Wacława Fronczaka, „Problemy zatrudnienia i

* *Op. cit.*, str. 173-4.

** *Tamże*, str. 182.

pląc w r. 1966", *Gospodarka Planowa*, 1967, nr 11, że w 1966 r. między 334 a 482 milionów pracogodzin zostało straconych w przemyśle przez wadliwą organizację i brak dyscypliny pracy. Zakładając 46-cio godzinny tydzień pracy i przeciętny 49-cio tygodniowy rok pracy, stanowi to ekwiwalent pracy od 150-ciu do przeszło 210-ciu tysięcy pracowników. Suma ta pomija oczywiście główne źródło ukrytego bezrobocia, na które zwrócił uwagę Kabaj. Dla przykładu można podać, że wg. zagranicznych fachowców od spraw organizacji produkcji, w zakładach „Ursus” we Włochach pod Warszawą zadanie produkcyjne na 1970 r. w dziedzinie ciągników można by wykonać przy pomocy 12.400 pracowników, „a nie 22.500 — jak to wynika z prognozy opartej na obecnym systemie pracy zakładów”. (Jerzy Redlich, „Witamina 'O'”, *Życie Warszawy*, 16 wrzesień, 1966). Tak więc ok. 45 % załogi Ursusa jest zbędne!*

Jeżeli przyjąć tę informację za reprezentatywną dla całej gospodarki, to w samym tylko przemyśle i budownictwie (zatrudnienie wg. *Rocznika Statystycznego* 1967, str. 69, prawie 4 i pół miliona osób w 1966 r.) ukryte bezrobocie sięgało dwóch milionów osób! Tak więc liczba 1 i pół miliona zbędnych pracowników poza rolnictwem użyta przez Mesę nie jest wcale przesadzona, jakkolwiek może się tak na pierwszy rzut oka wydawać.

Powinienem tu chyba dodać, że nie widzę różnicy między formalnym, jawnym, bezrobociem, a bezrobociem w ten czy inny sposób ukrytym. Jeżeli przy pewnym poziomie technologii można uzyskać dochód narodowy powiedzmy wartości 100 złotych przy zatrudnieniu 50-ciu robotników, i jeżeli ten dochód jest osiągnięty przy istnieniu 70-ciu robotników, to w normalnych warunkach istnieć będzie jawne bezrobocie w wysokości 20-stu robotników. Jeżeli jednak, bez podniesienia dochodu narodowego, zatrudni się wszystkich 70-ciu robotników, to bezrobocia jawnego oczywiście nie będzie, powstanie natomiast ukryte bezrobocie w takiej samej jak w poprzednim wypadku wysokości 20-tu robotników. Dla mnie obydwie formy bezrobocia, w pojęciu statycznym, są takim samym trwonieniem możliwości produkcyjnych społeczeństwa. Jak już stwierdziłem, zasadniczej różnicy między tymi dwoma formami nie widzę.

Wacław Przelaskowski w doskonałym artykule pt. „Demograficzne aspekty planowania gospodarczego”, *Gospodarka Planowa*, 1967, nr 12, wskazuje na istnienie jawnego bezrobocia, poza bezro-

* Nie od rzeczy jest podkreślić niektóre przyczyny tego zbędnego zatrudnienia. „Ujawniono np., że przyczyną zbyt niskiej wydajności pracy jest rozdźwięk pomiędzy założoną technologią wytwarzania a faktycznym jej stosowaniem. Niedostateczne wykorzystanie zasobów materialnych (np. maszyn) również hamuje wzrost wydajności pracy. Istotnym niedociągnięciem planowania wewnętrznego jest brak precyzyjnego miernika wykonania zadań i kształtowania się kosztów w każdym wydziale i na każdym odcinku produkcji; bieżących wyników pracy poszczególnych wydziałów przedsiębiorstwa nie da się... odnieść bezpośrednio do planu rocznego zakładu...” (J. Redlich, *op. cit.*).

bociem spowodowanym wahaniami cyklicznymi. Oblicza on, że wzrost współczynnika aktywizacji zawodowej kobiet dałoby pół miliona nowych pracowników, zatrudnienie „luźnej” młodzieży w miastach dałoby 100 tysięcy pracowników, a umożliwienie pracy chętnym emerytom dałoby dalsze 100 tysięcy pracowników. Wynika stąd hipotetyczny nadmiar pracowników sięgający 700 tysięcy. Do liczby tej Przelaskowski dodaje „luźną” młodzież wiejską bez pracy lub wykształcenia w wysokości 227 tysięcy. A więc w sumie prawie milion ludzi, który mógłby być wykorzystany dla podniesienia dochodu narodowego, pozostaje bezczynny.

Proszę dodać te cyfry: 577 tysięcy na konto wahań cyklicznych (Nycz), 150 tysięcy na konto zastojów w pracy i braku dyscypliny (Fronczak — tylko w przemyśle!), powiedzmy tylko 1 i pół miliona zbędnego zatrudnienia poza rolnictwem (Mesa), 927 tysięcy na konto niewykorzystania potencjalnej siły roboczej (Przelaskowski), oraz, konserwatywnie biorąc, 1 i pół miliona zbędnych robotników w rolnictwie (Mesa). W sumie przeszło 4 i pół miliona ludzi, którzy, jak oceniam, mogliby podnieść dochód narodowy o około 25-30 %. Ocenę tę składam jako cegiełkę na pomnik dla doktrynerskich planistów.

A jaka jest reakcja planistów na walący się na nich wyż demograficzny, który do wczesnych lat 70-tych rzucać będzie na rynek ciągle wzrastające ilości ludzi poszukujących pracy? Wzrost zatrudnienia wg. jednego z głównych planistów, Kazimierza Secomskiego („Dwulecie 1968-1969”, *Gospodarka Planowa*, 1968, nr 2), w 1966 r. liczył 314 tysięcy pracowników. Natomiast plan na 1968 roku przewiduje spadek wzrostu zatrudnienia w całej gospodarce do 293 tysięcy! Wspaniała logika, błyskotliwa zaradność w trudnej sytuacji: ponieważ coraz więcej ludzi chce pracować, trzeba zmniejszyć przyrost miejsc pracy!

Wiesław Szyndler-Głowacki, w artykule „Demograficzne dylematy”, *Życie Gospodarcze*, 1968, nr 6, proponuje aby, zamiast maksymalizować zatrudnienie, przyjąć politykę optymalizacji zatrudnienia. Uważa on słusznie, że wskazane jest popieranie dłuższego kształcenia (na Zachodzie nazywa się to inwestycją w kapitał ludzki), ale nie zaleca przyspieszenia wycofywania ludzi z siły roboczej przez wcześniejsze dawanie emerytur. Zaleca obniżenie aktywności zawodowej kobiet w okresie macierzyńskim, aby zapobiec szybko spadającemu współczynnikowi reprodukcji naturalnej. Wspomina także o możliwości skrócenia tygodniowego czasu pracy. Rady te są teoretycznie wskazane, choć wymagają również spełnienia innych warunków, jak np. zapewnienia dostatecznej płacy mężczyznom, którzy posiadają młode niepracujące żony i małe dzieci*.

* Helena Strzezińska, „Wpływ warunków domowych kobiet na ich aktywność zawodową”, Instytut Pracy, *Studia i Materiały*, Zeszyt 29: *Warunki Bytu* (Warszawa: Instytut Pracy, 1967), pisze np. w odniesieniu do 1965 r., że „Istnieje... poważny związek między zamożnością rodziny a liczbą osób

Niestety, rady te wcale nie idą daleko w kierunku rozwiązania problemu bezrobocia w Polsce, który to problem należy do dziedziny ekonomii, a nie demografii. I nie zanosi się na to, żeby polscy planiści zdołali ten problem w niedalekiej przyszłości pokonać. Środkami zaradczymi na rozwiązanie tego problemu, tak wskazanymi jak i używanymi w polskiej praktyce, nie będę tu czytelników zajmował. Poprzestaję na stwierdzeniu istnienia poważnego bezrobocia w Polsce, przy jednoczesnym braku polityki gospodarczej która rokowałaby usunięcie tego bezrobocia w niedalekiej przyszłości.

Bogdan MIECZKOWSKI
Ithaca College, Ithaca, N.Y.

pracujących" (str. 69). „Praca drugiej osoby... przyczynia się... do uzyskania wysokiego (sic!) standardu życiowego" (str. 70). „W rodzinach trzyosobowych, gdzie przy jednym pracującym ok. 40 % rodzin ma dochody nie przekraczające minimum, zarobek drugiej osoby wydatnie podnosi zamożność i tylko ok. 10 % rodzin dysponuje dochodami na [powinno być: poniżej] poziomie minimum. ... w miarę wzrostu liczebności rodzin, zarobki drugiego pracującego stanowią w coraz większym stopniu niezbędny wkład do budżetu rodziny..." (str. 73). Tak więc przynajmniej jedna z rad Szyndler-Głowackiego mało ma wspólnego z konkretnymi warunkami istniejącymi w Polsce.

Antypody (2)

Start z Perth — kilka minut przed północą. Niewielki jak na tutejsze stosunki, Fokker Friendship jest pełen: leci się na daleką północ, gdzie innej komunikacji nie ma. Po drodze tylko jedno lądowanie w Broom, a mimo to u celu swej podróży, w Wyndham nad Morzem Timorskim, będę dopiero o pół do dziewiątej rano.

Zachodnioaustralijska linia lotnicza MMA obsługuje lotniska pewnie nawet z nazwy nieznane przeciętnemu mieszkańcowi Wiktorii czy Nowej Południowej Walii: Kununurra, Wittenoom Gorge, Mount Tom Price, Derby. Lata się na tych liniach domowo, z koszykami, ze strzelbą, wędką, stewardessy taszczą z północy do domu krzaki frangipani, robotnicy z kopalń północy lecą na południe do żon na koszt swego pracodawcy, na północ lecą prospektorzy, poszukiwacze szczęścia, potencjalni odkrywcy nowych złóż minerałów.

Lotniska tu niczym właściwie nie przypominają Europy. Na ogół jest to kilkukilometrowe szerokie klepisko czerwonego kamienia, z barakiem, lub drewnianą budą, czasem puste zupełnie. Wzdłuż pasa startowego stoją poprzywiązywane do słupków samoloty *bush-pilots*, samoloty prywatne, *flying doctors* — antena radiowa obsługi meteorologicznej — i to wszystko. Lotnisko ożywia się dopiero w czasie przylotu Fokkera. Parking zapełnia się setką samochodów — to odbiera się rodziny, przyjaciół, *business-man'ów*.

Krążymy nad Wyndham — szerokie rozlewiska wysokiego przypływu, do lądowania pilot przymierza się parę razy. Przelatujemy nad mangrowami wybrzeża, czerwonym błotem pokrytym czerwoną wodą. Na lotnisku ochlapane na czerwono, aż po dach, auta i minibus MMA, który ma zawieźć mnie do Kunu-

nurra, 60 mil po czymś co nie zawsze przypomina szosę. Po obu stronach *bush* czy *sawanna*, przez drogę przeskakują niskimi łukami *wallaby*, małe kangury. Te które z ciekawości zatrzymują się na drodze, leżą potem odrzucone zderzakiem: dość zwykły widok w tych okolicach Australii.

Kununurra ma tysiąc mieszkańców, klimatyzowany motel, dwa *pub'y*, sklep z pamiątkami: skóry krokodyli, dwumetrowych jaszczurek, wyroby z *zebra-stone*, białobrazowo prążkowanego kamienia, państwowe biura projektów i zagospodarowania, i niezmierny *bush* na setki mil dookoła. Tysiąc mieszkańców Kununurra to przede wszystkim farmerzy dojeżdżający *land-rover'*ami na swe pola, na których, na czarnej, grząskiej i urodzajnej ziemi, nie można budować domów.

Kununurra to centrum Kimberley, a dokładniej Ord River, największego w Australii ośrodka uprawy bawełny i sorgo. Sama bogata przyroda tu nie wystarcza, trzeba zrównoważyć huśtawkę tropikalnych deszczów i pór suszy. Wybudowano i nadal buduje się zapory na rzece Ord, tworzy olbrzymie zbiorniki wodne, zakłada instytuty agro-biologiczne w warunkach klimatycznych i terenowych, o jakich trudno mieć wyobrażenie. Tu najpierw na nowy teren budowy musi dotrzeć juczny koń, by powstała droga dostępna dla wywrotek, buldożerów i koparek. Po czymś, co żywo przypomina bezdroża przewozi się beton, zbrojeniowe żelazo, aluminiowe klimatyzowane domki dla robotników, żywność, wodę, lodówki. Jedna tropikalna ulewa zamienia pozornie twardą nawierzchnię drogi w czerwone bajoro. *Landrover'y* grzęzną po osie, buksują. Tu na północy jeździ się zawsze z żelazną racją konserw w bagażniku, z zapasem wody i benzyny, a w dni suszy jeszcze z jutowymi workami na zderzaku, z których kapiąca woda ma chłodzić opony.

Wokół osiedla niekończące się pola bawełny, w szopach — cztery słupki i dach — czyści się i naprawia kombajny, pod wieczór wraca do domu: radio (ale nie telewizja), magnetofon, płyty, sąsiedzi, piwo w *pub'ie*, kolacja w motelu: cztery dania za dwa dolary.

W sklepie właściciel Szkot pokazuje skórę krokodyla na ścianie: łapałem ryby koło zapory, wylazł z wody prosto na mnie, uciekłem do domu, głupie pięćset jardów, zastrzeliłem go tu na ulicy. Pytałem potem innych, potwierdzili to opowiadanie, które już od paru lat jest największą sensacją miasteczka.

Odległy o setki mil ku wschodowi Darwin — całe dwadzieścia sześć tysięcy mieszkańców — jest dla tubylców z Kununurra prawie Paryżem. Jeździ się (przepraszam: lata) tam na zakupy jak z Radomia do Warszawy, bo do znacznie większego Perth,

stolicy Zachodniej Australii jest tak daleko jak z Oslo do Neapolu.

Na czerwonych skałach okolicznych wzgórz malowali i malują swe zagadkowe obrazy najstarsi Australijczycy: rybę barramundi, kangury, węże, dingo — schowane za łanami słoniowej trawy, wśród baobabów. Właśnie tu, tylko tu, na północno-zachodnim wybrzeżu rosną te afrykańskie drzewa. Nie wiadomo skąd się wzięły w Australii, czy były tu jeszcze przed odsunięciem się lądu od Afryki (więc dlaczego nie ma eukaliptusów w Afryce?), czy nasiona ich przyplęły niesione prądami morskimi (ale jak wypłynęły na brzeg, albo popłynęły pod prąd rzek, by zakiełkować o kilkanaście czy kilkadziesiąt mil od wybrzeża?). Pytałem na uniwersytecie w Perth, w Adelaidzie: nie ma odpowiedzi.

W cieniu kazuariny stożkowe gniazdo z klimatyzacją — dwa wejścia — a przed nim kolorowa kompozycja dla przyszłej żony ułożona z kawałków szkła, porcelany, nawet kłami samochodowej. To rodzaj tutejszej sroki (ma dziwną nazwę tubylczą) w ten wyszukany sposób wabi swą przyszłą panią. Do gniazda trzeba podchodzić ostrożnie, bo i ptak gości nie lubi, i w dwumetrowej trawie bywa zielony nowogwinejski pyton, albo jeszcze parę gatunków węży mniej lub bardziej jadowitych.

Gdzieś między Zatoką Józefa Bonapartego, wyspą Timor i Nową Gwineą stoi cyklon niepewny dokąd ma pójść. Dmucha wiatrem na przygięte od monsunów palmy kokosowe, kurtynami deszczów odcina horyzont — samolot startuje w porywach wiatru. Z góry świetnie widać natarcie fal na strome brzegi, wianuszki piany wokół przybrzeżnych skał, okolice Wyndham już suche w odpływie.

Jakoś przywykliśmy, że radio, telefon to rzeczy normalne, najwyklesze, które nam się należą, bez których nie wyobrażamy sobie już życia. Inaczej jest tutaj. Radio, program retransmitowany z dalekiego południa dotarło do Derby dopiero dwa lata temu, a telefon, pierwszy po samolotach MMA łącznik ze światem zewnętrznym, pojawił się dopiero lat temu osiem. Na inaugurację zamówiono rozmowę z angielskim miastem o tej samej nazwie, i tylko burmistrz brytyjski za nic nie mógł zrozumieć, że to naprawdę pierwsza rozmowa telefoniczna, wielki dzień w historii australijskiego imiennika. Miasto leży nad wielką zatoką, ale na ryby albo dla popływania trzeba jechać naprawdę bardzo daleko. Wszystkiemu winne wysokie przypływy, które z powrotem wypychają brunatną maź niesioną przez rzeki do zatoki. Zabudowania portowe stoją jak na szczudłach na wysokich palach odsłoniętych przy odpływie, pokrytych aż po chodniki przy wysokiej wodzie. Derby po Kununurze to już miasto wielopub'owe,

killumotelowe z piękną szkołą, w której pięćdziesiąt dwa procent uczniów to dzieci czarne jak sadza — *Aborigine*. Stąd, ze studia położonego w końcu budynku szkolnego, krótkofalówka przesyła lekcje do czterdziestu kilku odbiorników na farmach hodowlanych, rozrzuconych w *bush'u* na setki kilometrów ku wschodowi. Po drugiej stronie uczniowie włączają i wyłączają fonie, czasem głos przycicha, gaśnie — to nadal ten cyklon nad Zatoką Józefa Bonapartego. Młoda dziewczyna oksfordzkim akcentem dyktuje domowe zadanie, zgłaszają się kolejno dzieci: Tom, Sheila, Ron, potwierdzają odbiór, dziękują, żegnają się do jutra. Pod koniec roku szkolnego przylecą, samolotem oczywiście, na egzaminy do następnej klasy.

Na rzece Fitzroy buduje się most. Pierwszy most betonowy. I to jest naprawdę wielkie wydarzenie, którym żyje cały północ-zachód. Dotąd każda pora deszczowa zmywała drewniane prowizoryczne mosty o deskach luźnych jak klawisze fortepianu, na brodach tonęły samochody — teraz już Derby nigdy nie będzie odcięte od świata, bo po nowym moście mogą pójść nawet wielkie pociągi drogowe zabierające na dwóch przyczepach po paręset sztuk bydła, nie mówiąc o piwie. Most, ten wyczekiwany, prawie wyśniony most, jest zaskakująco wąski. — A po co szerzy — dziwi się inżynier — przecież tu więcej jak kilka samochodów na dzień nie przejedzie. — Prawda, zapomniałem, gdzie jestem. Pod spodem czerwono-brunatna rzeka obrośnięta dzunglą, inżynier pokazuje mi krokodyla, ja nic nie widzę. Poniżej mostu utopiony zeszłego roku ford, robotnicy na moście mówią po serbsku i po grecku, po szosie kicają kangury: wszystko tak jak trzeba. Wracamy do miasta i na lotnisko, z *bush'u* wyłazi na szosę stado byków, na oko widać, że nas nie lubią, umięśnione, befsztykowe bydło, zabłąkane z dalekiej farmy, zdziczałe, ale wypalony w sierści znak wróci je kiedyś właścicielowi. Włączają się takie stada setkami mil, czasem przewrócą samochód, czasem kończą nad ogniskiem tubylców, ale najczęściej wędrują po trapie na statek w mulistym porcie w Derby na spotkanie fabrycznej taśmy. Farmer na ogół nie wie ile ma bydła na swej posiadłości, której granice wyznacza się na mapie Australii o sporej skali, a której wielkość widoczna byłaby nawet na szkolnym globusie. Milion hektarów — to miara wielkości niejednej *cattle-station* o wielu tysiącach rogatych głów. Ciągną się te stacje przez cały obszerny zachód aż po pustynie środka, gdzie zaczyna rosnąć nowe niezmierzone bogactwo Australii: rudy i nafta.

W Port Hedland, choć to kilkaset kilometrów od Derby, krajobraz nie wiele się zmienia. Miasteczko czerwone od ziemi rozmieszanej deszczami, czerwone samochody, myte tu chyba raz na miesiąc, czerwona i moja walizka w bagażniku samochodu.

Miasto o kształcie zapamiętanym z maczkowskiego Pappenburga: wąski rogalik rozciągnięty na kilkanaście kilometrów wzdłuż portu. Głównie portu przyszłości. Na śródlądowym zapleczu, o sto, dwieście mil od Oceanu Indyjskiego wyrastają z płaskowyża żelazne góry Newman i Goldsworthy. Linie kolejowe przerzucają rozdrobnioną rudę do zakładów nadmorskich, gdzie żelazna mąka ugnieciona w śrut popłyynie na statkach do hut południa, do Japonii, na eurazjatycki kontynent.

Port Hedland rośnie w oczach. Prawie co tydzień coś nowego: nowy zakład, nowy klub dla coraz liczniejszej ludności, prześliczny nowoczesny motel z włoskim *chef'em*, z basenem pływackim. Miasto gotuje się do roli jednego chyba z największych portów świata. Za kilka lat przeładunki osiągną tutaj trzydzieści milionów ton rocznie (dla porównania: Szczecin przeładowuje osiem milionów i ma opinię największego portu na Bałtyku), ludność się co najmniej podwoi z obecnych trzech tysięcy, i pewnie na szerokich ulicach pojawią się światła regulacyjne, jeśli już dziś Port Hedland liczy tysiąc osiemset samochodów.

Siedzimy w nowym klubie nad oceanem — za nim już tylko czerwona pustynia — warszawski właściciel wielkiej pralni, karpaczek ze Stryja, amerykański inżynier, kierownik działu socjalnego zakładów Goldsworthy i ja. Olbrzymią kompanię dysponującą milionami dolarów stać na więcej niż zwykłą troskę o dobrą produkcję. W tych dalekich stronach trzeba znaleźć sposoby, by utrzymać robotników na miejscu nie tylko wysokimi zarobkami, ale i stworzeniem im jak najbardziej normalnych warunków życia, dać im rozrywkę, sport. Problem tu najcięższy to sprowadzić jak najwięcej młodych niezamężnych kobiet, kandydatek na żony dla zbyt wielu samotnych. Ten problem przewija się przez wszystkie przemysłowe ośrodki zachodniej Australii. Dyrektorzy wiedzą: tu bez obecności kobiet nie ma dla robotników normalnego życia, a wynik: brak robotników. Płynność kadr jest ogromna. Uciekają ludzie nawet od wysokich zarobków, uciekają do miast południa. Toteż kierownik socjalny niewiele różni się od handlarza żywym towarem. Wprawdzie nie kupuje kobiet, ale prosi, łąsi się, zaprasza, obiecuje dobre posady, mieszkania, a nieliczne dziewczyny noszą się górnice, nie patrzą na byle kogo. Wieczorem w restauracji motelu panie w długich sukniach, panowie w garniturach i przy krawacie, albo w tropikalnym uniformie: *short'ach* i białych skarpetach do kolan, w białych koszulach z krawatem. Białe obrusy, świece, doskonałe australijskie wina — za oknem kopce termitów, czerwona błotnista ziemia, wykręczone białe duchy eukaliptusów. Jak tu ma przyjechać samotna dziewczyna. I kierownik społeczny ma zapewnioną posadę na wiele następnych lat.

Stała sobie góra koloru burgunda przez parę milionów lat. Nikomu niepotrzebna. Ale nie zawadzała panu Price'owi, który tu upatrzył sobie kiedyś miejsce na farmę. Nie wiadomo co go przynęcało w pustkę o dwieście mil od morza, gorącą, porośłą *bush'em*, z tysiącem much na metr sześcienny powietrza. Nie był nawet ciekawy z czego ta góra jest zbudowana. Nie dożył odkrycia, że wprawdzie czterdzieści procent jej masy jest mało użyteczne, ale za to pozostałe sześćdziesiąt to — ruda. Lekko licząc: 500 milionów ton po 9 australijskich dolarów za tonę.

Góra stała się ośrodkiem zainteresowania nie tylko w nowopowstałym miasteczku Mount Tom Price, ale i w dalekiej Japonii. Zaczęto górę powoli rozbierać. Pojawily się maszyny nigdy tu niewidziane: pionowe wiertła na gąsienicach pełzające po zbozczach. Czterdzieści-sześćdziesiąt otworów wypełnionych dynamitem — grzmot eksplozji, i cztery dwudziestopięciotonowe szufle koparki załadowują stutonowe ciężarówki. Potem jeszcze prościej: z wywrotki do kruszarki, z kruszarki na hałdę ze zsysem. Pół godziny trwa załadowanie pociągu — samoczynne, bez udziału ludzi. Z tunelu spod hałdy jedzie sto wagonów dwieście mil i osiem godzin do portu Dampier. Tam wywrotki wagonowe sypią rudę wprost do ładowni statków. I koniec. Tysiąc ośmiuset mieszkańców liczy Tom Price, nieco mniej Dampier, mają po mniej więcej półtora roku historii i długą, bogatą przyszłość.

Te dwa miasta to własność olbrzymiego koncernu dysponującego miliardem dolarów, o kapitale australijsko-amerykańsko-japońskim. Paręset domków — własność kompanii — pięciopokojowych, umeblowanych, z lodówką, pralnią, klimatyzowanych, wynajmowanych rodzinom robotniczym za prawie symboliczne sześć dolarów na tydzień, przy zarobkach sięgających dwustu dolarów na tydzień dla, na przykład, kierowcy koparki W Dampier w *shopping-centre* są i norweskie śledzie i szwajcarskie sery, duńskie, holenderskie, kraby japońskie, niemiecki kanadyjski łosoś, australijska baranina, wołowina w stosach, stertach, kopcach obok — inne sklepy: odkurzacz Hoovera, radia Phillipsa, Grundiga, ubrania, obuwie włoskie, angielskie, — jeszcze dalej filie kilku banków. Zdawałoby się: żyć nie umierać.

Tutaj w Dampier można by zrobić majątek handlując meblami — tyle krzesel łamie się wieczorem w miejscowym jedynym *pub'ie*. Znów ten sam, znany już problem: na tysiąc sześciuset mieszkańców — cztery niezamężne dziewczyny.

Jak stara gadka głosi, w Polsce po ulicach łązą niedźwiedzie. Było to dawno i tylko jeszcze wspomnienie o tym krąży. A w Australii jak wiadomo po ulicach kicają kangury. Tak przynajmniej sporo ludzi sobie ten kraj wyobraża. Była coś piąta rano, kiedy obudził mnie tupot za oknem motelu. Potwierdzam le-

gendę o kangurach. Przez jedną z głównych ulic miasteczka skakało co najmniej czterdzieści kangurów. W końcu nic w tym dziwnego, bo za motelem jest tylko *bush* przez następne kilkaset kilometrów, a kangury coraz rzadsze w Wiktorii czy Nowej Południowej Walii — tutaj żyją setkami tysięcy. Farmerzy, hodowcy wzywają co pewien czas kangurowych strzelców (jest taki zawód), którzy za odpowiednią opłatą odstrzeliwują w ciągu tygodnia piętnaście czy dwadzieścia tysięcy sztuk i farmer ma na parę miesięcy spokój.

Wybrzeża Dampier są skaliste, zarzucone wulkanicznymi czarnymi głazami, ale nawet na parusetmetrowym skrawku żółtej plaży nikt nie ośmieli się wejść do wody bosą i głębiej niż po kostki. Chyba nigdzie, na całym wybrzeżu australijskim nie ma miejsca bardziej do kąpielii niestosownego, niż Dampier. Mała zatoczka pełniąc obowiązki kąpieliska, odgradzona jest od oceanu siatką gęstą jak na moskity, by nie przedostały się przez nią nie tylko liczne tu rekiny i raje, ale przede wszystkim jadowite węże koralowe, parzące meduzy i *stone-fish*. Powstaje zresztą w Dampier, jak w każdej australijskiej dziurze, olimpijski basen pływacki, bez którego ziemno-wodni Australijczycy nie wyobrażają sobie istnienia.

Trzydziestoletni John z Tom Price rzadko wraca z pracy wprost do domu bez zawadzenia o *pub*. Tym razem zasiedział się. Była sobota, wyjechał z domu tylko na pół godziny po mięso. To było o 10-ej. Teraz jest piąta po południu, a John jeszcze siedzi przy stole z kolegami. I wtedy nawinałem mu się — ja. Obrońca domowego szczęścia, najzręczniejsza wymówka, jaka mu się trafiła w dotychczasowym małżeńskim życiu. I właśnie dlatego spędziłem wieczór w ogrodzie przy domku Johna, przy *barbecue*, przy piwie, z gromadą sąsiadów.

Obok Johna mieszka Anglik, niedawno przybyły, nowy Australijczyk, amator muzyki poważnej, właściciel zdumiewającej kolekcji płyt. Zbiera te płyty w sposób świadczący o znawstwie. Ma Chopina w nagraniu Paderewskiego, Rubinsteina, Małcużyńskiego. Ma Pendereckiego nagranie Muensterskie. Ma Szymanowskiego. Jedliśmy steki pod polonez As-dur, popijaliśmy piwem pod uwerturę Harnasiów, John czytał swoje wiersze pogodzony z żoną, zadowolony ze świata, w którym żyje.

To był mój ostatni wieczór na północo-zachodzie, o tysiąc kilometrów od najbliższego większego miasta. Jutro miałem się znów znaleźć w Perth, na głównym szlaku południa ze wschodu na zachód.

George J. FLEMMING

(D.c.n.)

Nowy Kongres Polonii

W dniach od 26 do 29 września 1968 r. obradowała w Cleveland Konwencja (czyli Sejm) Kongresu Polonii Amerykańskiej nad zagadnieniami ożywienia działalności tej organizacji i w następstwie narad ustąpił z prezesury Kongresu p. K. Rozmarek, piastujący ten urząd od 1944 r. Jego miejsce zajął młodszy działacz polonijny adw. A. Mazewski, który oświadczył, że ma zamiar zerwać z „systemem rządów jednoosobowych w K.P.A. i działać w porozumieniu z przedstawicielami innych organizacji, wchodzących w skład Kongresu”. Słowem coś jakby zamiana „kultu jednostki” na pracę zespołową.

Ta polonijna „odwilż” uformowała się następująco: prezes największej organizacji polonijnej Zjednoczenia Narodowego Polskiego, adw. A. Mazewski, został obrany prezesem Kongresu Polonii, wiceprezeską została przewodnicząca Zw. Polek w Ameryce p. A. Łagodzińska, skarbnikiem wybrano prezesa Zjednoczenia Polskiego Rzymsko-Katolickiego p. J. Pranice a sekretarzem Kongresu został przew. Macierzy Polskiej p. V. Janicki. Optymiści twierdzą, że był to ostatni dzwonek, którym być może uda się obudzić Kongres Polonii Amerykańskiej.

Kiedy w 1944 r. w Buffalo zebrali się przedstawiciele wszystkich prawie organizacji polonijnych, aby stworzyć zjednoczoną siłę, reprezentującą kilka milionów Amerykanów polskiego pochodzenia — na Konwencję założycielską Kongresu Polonii przybyło z całej Ameryki ponad 3.100 delegatów, którzy od razu na sali obrad zadeklarowali 495.000 dolarów, aby Kongres Polonii mógł nie tylko powstać, lecz i rozwinąć działalność.

Po 24 latach pozostało niewiele z tego entuzjazmu. W tym roku, na Konwencję K.P.A. do Cleveland przybyło zaledwie ok. 600 delegatów i nie zaoferowali ani centa na potrzeby Kongresu. A jest w zwyczaju, że na zjazdach organizacji polonijnych składa się czełki, jako wyraz poparcia i uznania dla działalności danej organizacji. Ubyło delegatów, bo sporo organizacji założycielskich wycofało się oficjalnie lub faktycznie ze współpracy z Kongresem i aby sala konwencyjna nie świeciła pustką dotychczasowy prezes p. K. Rozmarek zainicjował taki dziwoląg statutowy, że członkiem Kongresu może być nie tylko organizacja, lecz również osoba prywatna, płacąca niewielką składkę roczną. Mielśmy więc na Konwencji w Cleveland więcej „delegatów” reprezentujących samych siebie, niż reprezentantów organizacji polonijnych. co bynajmniej nie przysparzało autorytetu Konwencji K.P.A.

W Ameryce trzeba mieć pieniądze, aby móc działać. Pieniądz — w amerykańskich stosunkach — określa kierunek zaangażowania społecznego, stopień ofiarności społecznej wyraża uznanie i zainteresowanie dla działalności danej organizacji. Polonia amerykańska łoży ok. 10 milionów dolarów rocznie na pomoc rodzinom i na cele społeczne, głównie w miejscowościach z których emigracja się wywodzi. Około miliona dolarów rocznie łoży Polonia na polskie szkoły i zakłady naukowe, co jest niewiele w stosunku do potrzeb nauczania. Ale bądź co bądź to są wydatki rzędu miliona. Natomiast roczny budżet Kongresu Polonii Amerykańskiej wynosi dwadzieścia kilka tysięcy dolarów i jest to suma mniejsza od budżetu najmniejszej parafii polskiej w Chicago. Największa w Chicago parafia polska Św. Jacka ma przychód roczny sięgający 360.000 dolarów a najmniejsza — 32.000 dolarów.

Budżet, którym dysponuje K.P.A. nie daje mu żadnych możliwości działania i reprezentowania interesów milionowej Polonii amerykańskiej. Toteż przewodniczący Konwencji K.P.A., b. kongresman, a obecnie sędzia sądu federalnego T. Machrowicz oświadczył zebranim w Cleveland, że odmówił

przyjęcia proponowanej mu prezesury K.P.A. kiedy dowiedział się jaki jest budżet Kongresu, bo z takimi środkami nic nie można zdziałać.

Trzydniowe obrady Konwencji K.P.A. nie sprawiły wrażenia, iż sytuacja ulega istotnej poprawie. Delegaci wysuwali różne propozycje rozszerzenia działalności K.P.A. np. rzucono projekt wybudowania Domu Polskiego w Waszyngtonie, asygnowania 100 tys. dol. rocznie na Biuro K.P.A. w Waszyngtonie, zalecano by K.P.A. wydawał periodyk w języku angielskim, lub dobry biuletyn dla prasy i polityków amerykańskich, w którym naświetlano by stanowisko Polonii amerykańskiej. Ale ci sami delegaci, którzy proponowali rozbudowę agend K.P.A. za chwilę wypowiadali się przeciwko wnioskowi o podwyżkę składek członkowskich w K.P.A. o 50 procent co mogłoby podnieść budżet Kongresu zaledwie o kilkanaście tysięcy dol. i co z trudnościami zostało wreszcie przegłosowane.

W przymacie spraw budżetowych dostrzec można było różnice poglądów na działalność i cele Kongresu, który powstał w czasie II wojny światowej, na wzór Wydziału Narodowego ZNP stworzonego podczas I wojny światowej i chciał naśladować jego chlubną działalność. Ale 50 lat temu, na podobnej Konwencji ZNP w Detroit, Roman Dmowski powiedział, że „dostarczając 30.000 żołnierza pod polityczne zwierzchnictwo Komitetu Narodowego w Paryżu Polonia amerykańska dała wielki wkład na rzecz odbudowy wolnej Polski”. Na tej samej Konwencji Ignacy Paderewski zażądał i dostał z górą 2 miliony dolarów na potrzeby paryskiego Komitetu Narodowego. Dmowski powiedział wówczas, że kto tyle daje na poparcie dążeń swojego narodu, z tym będą się liczyli również politycy amerykańscy. A z kim mają liczyć się dzisiaj amerykańscy politycy, skoro K.P.A. nie może doprosić się u własnego społeczeństwa polonijnego finansowego poparcia dla swojej działalności?

Ofiarność Polonii na pomoc dla kraju, na rzecz swoich parafii, jest w dalszym ciągu znaczna, natomiast zdecydowanie nie dopisuje poparcie dla imprez politycznych, oczywisty jest kryzys zaufania do przywództwa politycznego Polonii, które nie stoi na wysokości zadania. Politykom tym wydaje się, że może powtórzyć się polityczna rola Polonii w sprawach Polski sprzed 50 lat. Ale sama Polonia w to nie wierzy i rezultat jest taki, że kilku skromnych działaczy społecznych może więcej zebrać np. na budowę szkoły, domu kultury czy kościoła w ich wiosce w Polsce, niż cała Polonia złoży na potrzeby Kongresu Polonii Amerykańskiej.

Sporo uwagi poświęcono na Konwencji zagadnieniu podniesienia autorytetu Kongresu u swoich i u obcych. Zarysowały się tu dwa poglądy. Mniejszość, reprezentowana przez przedstawicieli emigracji wojennej z SKP na czele, upatrywała znaczenie K.P.A. w jego politycznej działalności na rzecz sprawy Polski, przez walkę z komunizmem. Większość, przychyliła się do opinii prez. A. Mazewskiego, że autorytet K.P.A. podniesie się wówczas, kiedy Kongres więcej uwagi poświęci obronie żywotnych interesów polskiej grupy etnicznej w Ameryce i podniesie jej znaczenie w społeczeństwie amerykańskim. Wówczas i dla sprawy Polski K.P.A. więcej zdziała.

Zbyt agresywna postawa niektórych przedstawicieli nowej emigracji, którzy przy łada okazji szermowali oskarżeniem ulegania wpływom komunistycznym nie przysporzyła im zwolenników i w rezultacie nie zyskali oni wpływów w nowych władzach K.P.A. Konwencja K.P.A. potwierdziła zasadę, że we władzach K.P.A. mogą zasiadać tylko obywatele St. Zjednoczonych a nowemu zarządowi głównemu poleciła, by swoją działalność związał silniej z większymi organizacjami starej Polonii, które będą mogły łożyć więcej na potrzeby Kongresu, jeśli K.P.A. będzie bardziej troszczył się o interesy polskiej grupy etnicznej w Ameryce.

Dla sprawdzenia użyteczności tych postanowień Konwencja skróciła kadencję zarządu K.P.A. z 4 do 2 lat.

Edward PUACZ

Kongres Filozoficzny w Wiedniu

(1-9 WRZEŚNIA 1968)

1. Wrażenie ogólne

Międzynarodowe kongresy naukowe są pewnego rodzaju cyrkami. Zjeżdża się dwa do trzech tysięcy osób które reprezentują, szczególnie w humanistyce, często zupełnie odmienne poglądy i na przestrzeni 10-15 minut starają się przedstawić swoje tezy. Ze statystyki otrzymanej z biura prasowego Kongresu dowiadujemy się że było zarejestrowanych 2054 filozofów z 54 krajów. Z tej liczby delegacje pewnych krajów zostały uszczuplone, tak np. 54 filozofów miało przyjechać z Polski, przyjechało 12. Inne kraje: Niemcy, Austria, Szwajcaria były reprezentowane liczniej niż statystyki kongresu wykazują.

Jeden z uczestników Kongresu obliczył że ogólna liczba referatów, które miały być wygłoszone wynosiła 937! Ich ogólna objętość ok. 13.000 stron. Ile z tych stron okaże się stronami wartościowymi, do których się wróci w przyszłości, trudno powiedzieć. Ale można przypuszczać, że bardzo niewiele. A jeśli tak, to po co jedzie się na kongres filozoficzny?

Najcenniejszą częścią wszelkich zjazdów filozoficznych są prywatne rozmowy w których rzeczywiście można dokonać wymiany poglądów. W czasie oficjalnych obrad nie ma na to zupełnie miejsca i czasu. W każdej sesji są zwykle zareprezentowane dwa główne referaty, w których można coś powiedzieć, a potem tuzin lub dwa tuziny krótkich 10 minutowych wystąpień, jedno zupełnie niezależne od drugiego, w których każdy stara się jak najwięcej wpakować z przygotowanego, zwykle długiego, referatu. Rzecz jest jak w cyrku. Każdy odgrywa swój numer, dostaje mniejsze lub większe brawa i schodzi ze sceny. Efektem takiej serii krótkich, skondensowanych, a od siebie niezależnych, referatów jest znużenie i niestrawność umysłowa.

Nie ma filozofii bez dialogu. W naukach ścisłych podaje się rezultaty których inni się uczą. W filozofii tezy bez argumentów, poglądy bez uzasadnień, wyglądają jak zbiory dogmatycznych formułek. Stąd pewna czczość tych wszystkich długich sesji.

Co nowego w filozofii dnia dzisiejszego? Na to pytanie nie łatwo odpowiedzieć. Filozofia która się wyłania dzisiaj będzie zauważona jutro. Natomiast łatwiej jest zauważyć to co się przeżyło. Otóż przeżyła się przede wszystkim filozofia lingwistyczna, szczególnie ta praktykowana w Oxfordzie. Nie tylko że nie miała wyraźnych zwolenników, którzy by w jej duchu przedstawiali swoje referaty, ale też dostały jej się słowa ostrej nagany: oskarżono ją o apriorizm lingwistyczny — ustalenie niezależnie od doświadczenia i rzeczywistości językowej pewnych kanonów do których przymierzano wypowiedzi innych filozofów.

Przeżył się też wyraźnie, co się już dało wcześniej zauważyć, empirycyzm logiczny jako próba ukształtowania świata. Że program empirycyzmu logicznego, polegający na zbudowaniu filozofii naukowej na podstawach systemów logiki formalnej okazał się niewykonalny, było już jasne w latach 1950-tych a może i wcześniej. Natomiast sposób traktowania filozofii — zaszczycony przez Koło Wiedeńskie i kontynuowany przez logicznych pozytywistów i filozofów lingwistycznych, a polegający na traktowaniu filozofii jako dyscypliny specjalistycznej, wąskiej, oddzielonej od wielkich problemów kosmologicznych, społecznych, humanistycznych — przetrwał do lat sześćdziesiątych.

Może najbardziej więc charakterystycznym objawem Kongresu wiedeńskiego było przesunięcie punktu ciężkości: z filozofii rozumianej w sensie dyscypliny specjalistycznej, do filozofii zainteresowanej problemami bardziej uniwersalnymi, do filozofii bardziej zaangażowanej, do filozofii skierowanej w każdym razie ku problemom, tj. zagadnieniom nierozstrzygniętym i nie łatwo rozstrzygalnym. To skierowanie ku problemom, ku zagadnieniom ważnym nie tylko z punktu widzenia grupy specjalistów danej wąskiej dziedziny, ale ważnym uniwersalnie, dało się wyraźnie zauważyć w ogólnych postawach filozofów. Stąd też intensywność indywidualnych dyskusji na temat roli filozofii we współczesnym świecie. Stąd też przekonanie wielu, że filozofowie muszą czynnie reagować na świat zewnętrzny, aktywnie przeciwstawiać się wszelkim formom barbarzyństwa, czy są one dziełem bezmyślnych polityków, brutalnych satrapów militarnych, czy też niedowarzonych technologów. Stąd też żywość dyskusji na tematy ideologii i filozofii, szczególnie w kontekście wypadków czechosłowackich. O ideologii i filozofii na Kongresie wiedeńskim będzie mowa obszerniej w trzeciej części tego sprawozdania.

Chociaż logiczna próba ukształtowania świata nie powiodła się i nastąpił odwrót od logiki rozumianej jako panaceum, poczyniła logika w ciągu ostatnich lat dziesięciu znaczne postępy. Rozwinęła się poważnie logika norm, w której to bada się zagadnienia prawdziwości norm moralnych, prawnych, technicznych. Otrzymała ona nazwę logiki deontycznej. Z Polaków w

sekcji logiki deontycznej produkował się prof. Jerzy Kalinowski z Paryża. Jako *novum* trzeba też wymienić sekcję dotyczącą filozoficznych zagadnień czasu. Obecnie analizy czasu są analizami logicznymi.

Specjalne kollokwium poświęcone było cybernetyce i filozofii nauk technicznych. Było ono nowym elementem i wyrazem uznania naszej technologicznej rzeczywistości. Kollokwium to było naszpikowane nazwiskami polskimi. Niestety wiele z tych osób było tylko nazwiskami, bo osobom które miały uczestniczyć nie dano paszportów. Żałosna sprawa, nie pozwolono gościom przyjechać, aby mówili o cybernetyce, o praxeologii itp. sprawach, które nie mają nic wspólnego z ideologią!

Kongres był udany: żywy, interesujący, na ogół dobrze zorganizowany. Jego żywość była niewątpliwie spotęgowana przez spięcia ideologiczno-filozoficzne między Wschodem a Zachodem. Przy swoim *obecnym* położeniu geo-politycznym Wiedeń jest atrakcją samą w sobie. Jak ktoś zauważył, gdy się ma świadomość że czołgi sowieckie są tylko godzinę drogi od Wiednia, dodaje to atmosferze pewnego napięcia i ostrości.

2. Polacy na Kongresie

Aby podkreślić wagę Kongresu, biuro Kongresu wypunktowało nazwiska 40 najwybitniejszych, którzy zaszczycili Zjazd. Między nimi znajdujemy nazwiska 4 Polaków. Są to: Ingarden, Kołakowski, Kotarbiński, Schaff. Z tej grupy niestety Kołakowski nie przyjechał. Zabrakło też Baczki, Greniewskiego, Morawskiego i całej plejady innych. Z liczby 54 osób, które miały przyjechać oficjalnie, przyjechało 12 osób; 2 lub 3 osoby przyjechały nieoficjalnie, na prywatne zaproszenia.

Jak się wydaje, polscy filozofowie spoza Polski stanowili grupę liczniejszą niż ci z Polski. Z filozofów działających na obczyźnie byli między innymi: Bocheński (ze Szwajcarii), Lejewski (z Anglii), Tymieniecka, Mehlberg, Merlan (USA), Wojciechowski (Kanada), Poznański (z Izraela), Kalinowski (z Francji). Z takiego to obrazu polskiej filozofii łatwo wysnuć dwa wnioski: 1. że Polacy dobrze poczynają sobie w filozofii i to w różnych częściach świata; 2 że warunki do uprawiania filozofii w kraju są niezadawalające, aby użyć grzecznego słowa.

W odniesieniu do pierwszego punktu trzeba zauważyć że w XX wieku polska filozofia bardzo się dobrze spisywała. Do czego zabraliśmy się w filozofii, tam osiągaliliśmy dobre, a niejednokrotnie znakomite rezultaty.

W odniesieniu do drugiego punktu trzeba zauważyć że tak znaczny odsetek filozofów polskich uczących i działających na obczyźnie jest *obiektywnym* dowodem trudności w jakich się znajduje filozofia w kraju. Filozofia, to nie fizyka gdzie się używa tego samego języka we wszystkich krajach dla wyrażenia tych samych treści. W filozofii rola języka jest ogromna. Nie-

doskonałe opanowanie języka, którym się pisze, stanowi często okaleczenie treści filozoficznych. Toteż, podobnie jak w innych dyscyplinach humanistycznych, nikt nie kwapi się do porzucenia swego języka i pisania w innym języku. Z faktu że tylu polskich filozofów działa w obcych krajach i pisze w obcych językach wynika, że zostali do tego zmuszeni.

Problem o ogólnej doniosłości jest ten. Kiedykolwiek ciemnota bierze górę nad rozumem, kiedykolwiek polityka i ideologia podporządkowują sobie kulturę i myśl twórczą, kiedykolwiek myśl twórcza jest prześladowana i niszczona, ognisko kultury danego narodu przenosi się na obczyznę. I tam też tradycja, myśl twórcza i kultura danego narodu są podtrzymywane. Tak było w odniesieniu do Polski w czasie Wielkiej Emigracji. Tak było w odniesieniu do Hiszpanii po zdławieniu wojny domowej w 1938 roku. I tak to sytuacja zdaje się wyglądać w odniesieniu do Polski w roku 1968, w chwilach obecnych.

Zadaniem polityków jest robienie polityki. Gdy jednak w trybie maszyny politycznej niszczy się z premedytacją kulturę i myśl twórczą, wtedy dzieje się zbrodnia narodowa. W takich to chwilach ci co mogą protestować, winni protestować. Politycy kultury nie tworzą. Ale łatwo ją potrafią niszczyć. Obecna sytuacja w Polsce jest taka że w rozgrywkach politycznych niszczy się myśl twórczą, filozofię, kulturę.

W kronikach Polski mamy chlubne karty poświęcone twórcom naszej kultury. Powinniśmy też zarezerwować pewne strony i poświęcić je niszczycielom kultury i myśli twórczej. Być może świadomość, że się przejdzie do historii jako jeden z niszczycieli kultury i myśli twórczej swego narodu powstrzyma niejednego od zaślepionej i szaleńczej działalności, mającej na celu doraźne a wątpliwe korzyści polityczne. Wątpliwe, bo niszcząc kulturę i dorobek swego narodu, niszczy się też podstawę, na której się stoi. *Ponieważ panuje obecnie w kraju atmosfera zastraszenia i terroru intelektualnego, Polonia na emigracji musi wziąć na siebie obowiązek sumienia intelektualnego.* Nie chcemy uzurpować, że my tu, właśnie i jedynie my, reprezentujemy kulturę polską. Ale nie wolno się nam wahać protestować, gdy się tę kulturę i myśl twórczą niszczy. Mamy ten obowiązek w obliczu przeszłości, w obliczu przyszłości, a przede wszystkim w obliczu bolesnej teraźniejszości.

Oczywiście filozofowie z kraju będący w Wiedniu wygłaszali swoje referaty i się nie „wychylali”. O sytuacji w Polsce woleli się nie wypowiadać. Rozmawiając na tematy ogólne odnosiło się wrażenie że wszystko jest spowite we mgle niepewności, że właściwie nikt nic nie wie. Sytuacja może się zmienić zarówno w jedną jak i w drugą stronę. Jest teraz przerwa między dwoma aktami. Każdy z niepokojem oczekuje jaki będzie akt drugi. Redaktorów wielu czasopism filozoficznych zdymisjonowano. Nowych jeszcze nie mianowano. Wszystko czeka. Jak na Godota. Z filozofów polskich lub polskiego pochodzenia najbardziej żywotni w Wiedniu byli Bocheński i Schaff. Byli przewodniczą-

cymi, lub też uczestniczyli w wielu obradach. Oczywiście chodzili oni zupełnie odrębnymi drogami i reprezentowali całkiem odmienne światy. Najbardziej „obleżony” był Ingarden. Zawsze wokół niego była grupka ludzi, lub też podążali za nim pragnąc dyskutować. Ingarden uczestniczył aktywnie w wielu sekcjach. Wygłosił też referat: „Ontyczne podstawy odpowiedzialności”. Z 22 tez, z których składał się referat Ingardena, najważniejsza chyba była ta, że jeśli nie byłoby wartości które istnieją obiektywnie, a to co nazywamy wartościami byłoby tylko subiektywną iluzją, społecznymi nawykami, wtedy nie może być mowy o rzeczywistej odpowiedzialności, o rzeczywistym zaspokojeniu człowieka. Tak więc istnienie obiektywnych wartości jest koniecznym warunkiem istnienia odpowiedzialności, jest niezbędnym warunkiem wypełnienia odpowiedzialności. Następnym niezbędnym warunkiem odpowiedzialności jest identyczność osoby, która jest uważana za odpowiedzialną i która spełnia swą odpowiedzialność. Z tego pojęcia odpowiedzialności wynikają pewne konsekwencje dotyczące struktury świata (świat musi być uznany za wielość względnie otwartych systemów), jak również dotyczące struktury czasu.

Z filozofów krajowych, oprócz Ingardena, z referatami przyjechali: Kotarbiński, Kotarbińska, Schaff, Wolniewicz. Inni przyjechali jako „obserwatorzy”. Przynajmniej 20 tych którzy mieli wygłosić referaty nie dostało paszportów.

3. *Filozofia i ideologia*

W piątek dnia 6 września sesja plenarna Kongresu poświęcona była tematowi: „Filozofia i Ideologia”. Po raz pierwszy w historii międzynarodowych kongresów filozoficznych włączono ten temat jako jeden z tematów głównych. I okazał się on bardzo aktualny. Sesja ta była jedną z najżywszych w czasie Kongresu. Obfitowała w spięcia i dramatyczne momenty. Tutaj, bardziej niż w innych sesjach, zaangażowanie filozofów w sprawy społeczne wyszło na jaw. Jak już było podkreślone, główna tendencja obecnej filozofii wiedzie od ezoteryzmu do uniwersalizmu. Zamknięcie w kręgu wyspecjalizowanych problemów, dostępnych dla niewielkiego grona wtajemniczonych, tak charakterystyczne dla filozofii świata zachodniego w ciągu ostatnich lat trzydziestu, ustępuje miejsca refleksji ogólnej, w której to filozof staje się zwierciadłem swoich czasów w sensie moralnym, duchowym, intelektualnym.

Gdy obwieszczono w czasie sesji dotyczącej filozofii i ideologii, że ma przemawiać Czechosłowak z Pragi, powitała go owacja trwająca przez minutę lub dłużej. Oznajmił on, że nie był w stanie ze względu na brak spokoju umysłu, przygotować referatu, który zamierzał wygłosić. Zamiast tego wygłosił kilka refleksji ogólnych, których treść była bardzo prosta. Filozofia i nauka nie mogą być pod kontrolą systemu totalitarnego. Gdy środki

rozprowadzania informacji i wiedzy są pod kontrolą brutalnej siły militarnej, oznacza to koniec nauki i koniec filozofii. Od momentu jego wystąpienia atmosfera na sali zageściła się i polemiki nabrały na ostrości.

Trzeba zaznaczyć że ta dyskusja i wszelkie inne, obracające się wokół zagadnienia filozofii i ideologii, nie były wymianą inwektyw. Faktem jest jednak, że nie stroniono od dyskusji mających konsekwencje polityczne, społeczne, praktyczne. I rzeczą paradoksalną jest że w tych dyskusjach nie-marksiści często powoływali się na Marksa, szczególnie na jego tezę, że zadaniem filozofii jest nie tylko świat objaśnić, ale go zmienić. I jest również rzeczą paradoksalną, że w tych dyskusjach marksiści starali się zawęzić zakres debat, argumentując że kongres filozoficzny to nie zjazd polityczny. W ubiegłych latach i dekadach zawsze było odwrotnie. To marksiści właśnie starali się wykazać że zadaniem filozofii jest objąć wszelkie dziedziny życia, włączając życie społeczne i praktyczne. Tym razem wybrali oni ścieżkę czystego intelektualizmu. O czym to świadczy? O bankructwie ich programu filozoficznego, o służalczej roli filozofii wobec istniejącej sytuacji politycznej. I nie było to nawet odwoływanie się do Marksa. Wprost przeciwnie, Marks staje się własnością filozofów nie-marxistowskich; ale było to powtarzanie skostniałych formułek, że Związek Sowiecki postąpił słusznie ingerując w Czechosłowacji, że historia to pokaże, itp. A najczęściej starano się, tj. ze strony sowieckiej, zablokować dyskusję i wyłączyć ją poza ramy obrad.

W ogóle delegacja sowiecka przedstawiała raczej żałosny obraz. Grono smutnych panów, którzy przez większość Kongresu woleli nic nie mówić. Było to w wyraźnym kontraście do zjazdu w Mexico City 5 lat temu, kiedy to filozofowie sowieccy byli traktowani z respektem i kiedy ich argumentów słuchano z uwagą. Wtedy to Mitin oznajmiał, że po raz pierwszy w dziejach ludzkości koncepcja godności ludzkiej przybrała nowe i pełne znaczenie w Związku Sowieckim, w społeczeństwie komunistycznym. I słuchano go wtedy z uwagą i sympatią. W czasie Kongresu wiedeńskiego tenże sam Mitin, zakłopotany i zde gustowany powtarzał tylko: „Ja wierzę, że tylko marksizm jest w stanie objaśnić społeczeństwo... Ja mam prawo do swych wierzeń...”. I tym razem słuchano go ze sceptycznym, jeśli nie z cynicznym, uśmieszkiem.

Ale powracając do spięć filozoficzno-ideologicznych na Kongresie. Może to dziwne, a może i nie, że Niemcy z Republiki Demokratycznej są takimi niezłomnymi obrońcami ortodoksji marksistowskiej. Jeden z nich powiedział, że wszystko co filozofowie zachodni mówią o marksizmie nie ma sensu, ponieważ nie rozumieją oni marksizmu. Aby marksizm zrozumieć, powiedział, trzeba marksistą być. Odpowiedziano mu z sali, że ta koncepcja marksizmu podobna jest do koncepcji chrystianizmu u Kierkegaarda. Zdaniem Kierkegaarda, aby chrześcijaństwo zrozumieć trzeba chrześcijaninem być. Ponieważ nie można zrozumieć

esencji chrześcijaństwa będąc na zewnątrz, trzeba to zrobić, poprzez akt wiary. Zapytano więc, czy tak jest z marksizmem. Czy tylko poprzez akt wiary można stać się marksistą i zrozumieć marksizm.

Teza, że tylko marksista może marksizm zrozumieć zaprasza jeszcze bardziej gruntowną odprawę. Jeśli tylko marksiści mogą marksizm zrozumieć, wobec tego Marks nic nie rozumiał z marksizmu — nie był marksistą zanim marksizm stworzył.

Po licznych argumentach czym jest a czym nie jest marksizm, głos zabrał przedstawiciel sowiecki, prezentując oficjalny punkt widzenia. Powiedział on — i aż się uszom wierzyć nie chciało — że „nie ma zasadniczych różnic między rządem sowieckim, socjalizmem sowieckim, polityką sowiecką, a rządem Czechosłowacji, socjalizmem Czechosłowacji, ludźmi Czechosłowacji”. Wywołało to śmiech i oburzenie na sali. Krzyczano: „demagog” itp. rzeczy. Delegat sowiecki kontynuował, wśród „syków” i niezadowolenia, że historia pokaże (jak to pięknie mieć zawsze historię po swojej stronie) że uczestnicy Kongresu postąpili niesłusznie włączając do dyskusji sprawę ideologii w odniesieniu do dzisiejszej sytuacji politycznej. Na to mu odpowiedział prof. Gabriel, rektor Uniwersytetu Wiedeńskiego i prezydent komitetu organizacyjnego Kongresu, że zadaniem filozofii jest przedyskutowanie w sposób godny i racjonalny problemów, które mają doniosłe znaczenie dla jednostek i społeczeństw. Sesja poświęcona filozofii i ideologii nie może i nie musi ograniczać się do problemów abstrakcyjnych i teoretycznych, zwłaszcza że uczestnicy Kongresu są tego właśnie zdania.

Dyskusja na temat filozofii, ideologii i świata współczesnego toczyła się też w innych sekcjach Kongresu. Niekiedy, jak np. w kollokwium poświęconemu humanizmowi i marksizmowi, filozofowie sowieccy woleli nie uczestniczyć. I cóż by mogli powiedzieć, że humanizm to rzecz przednia, ale nie w obecnych czasach.

Już pierwszego dnia obrad stanowiska zarysowały się wyraźnie. W czasie kollokwium: „Marksizm i Filozofia Współczesna”, przewodniczący kollokwium, profesor Adam Schaff, przywoływał dyskutantów do porządku podnosząc że jest to Kongres filozoficzny, a nie wiec polityczny. Nie podobało się to studentom austriackim. Dwa dni potem można było znaleźć ich protest. W głównym hallu uniwersytetu, gdzie odbywał się Kongres, stał na środku stolik z plikiem ulotek, w których czytamy między innymi: „Teoria która jest odseparowana od praktyki nie zmienia rzeczywistości, ale ją formalizuje; ustanawia ona tym samym harmonię pomiędzy sowieckim dogmatyzmem (Czechosłowacja), a amerykańskim imperializmem (Wietnam)”.

Na pliku tych ulotek leżał martwy gołąb, autentyczny, z małą flagą czeską przypiętą do piersi. Wrażenie to robiło niezwykle.

Ostatni akt tej dyskusji ideologiczno-filozoficznej odbył się w ostatnim dniu Kongresu, podczas konferencji prasowej, kiedy to prof. Konstantinow z Moskwy, odpowiadając krytykom, a

w szczególności profesorowi Klubansky'emu z Kanady, powtarzał w kółko to samo „wy nie prawilnyj”, i nastawał że krytycy nie mają racji, że nie ma różnic w rozumieniu socjalizmu w Rosji i w Czechosłowacji, że w ogóle niesłuszne jest by sprawy te tutaj dyskutować, że filozofowie sowieccy nie dadzą się wpłatać w tę dyskusję i odmawiają dalszego w niej udziału.

I rzeczywiście za chwilę Konstantinow opuścił salę. Ale nie uciekł od dyskusji. Złapała go w hallu jedna pani, która oświadczyła że była komunistką przez 25 lat i że znała go kiedyś osobiście i że teraz pali się ze wstydu za komunizm i że wszystko co on, Konstantinow, mówił to nieprawda. „Jak możecie tak kłamać, jak możecie tak kłamać!”, pani ta krzyczała po rosyjsku, „czy wiecie jaką wy funkcję teraz spełniacie... jak za czasów cara jego pachółki”. Profesor Konstantinow zaczął umykać jak pies z podwiniętym ogonem. Żałosny to był widok patrzeć jak jeden z przodujących filozofów, jednego z najpotężniejszych narodów, zwiewa z sali pod okrzykami pani, która wymyśla mu od kłamców.

W czasie jednego z przyjęć, które miało miejsce na wspólnym wiedeńskim ratuszu, gdzie trzy tysiące osób mieści się bez wielkiego trudu i gdzie zgodnie z tradycją wiedeńską, orkiestra grała walce, miałem możliwość siedzieć przy stole z pięciu filozofami sowieckimi. Oczywiście nie rozmawiało się na drażliwe tematy. Ale z rozmowy jasno było widać, że wielu z nich wycofało się do stref bezpiecznych, tak jak to było w Polsce w latach pięćdziesiątych. Z tej piątki przy stole, Litwin z Wilna zajmuje się filozofią litewską (na ogół niewiele się wie, że jest taka filozofia), drugi, z Uzbekistanu, zajmuje się filozofią azjatycką. Zapytany dlaczego tę, a nie inną filozofią się zajmuje powiada, że niewiele się o tej filozofii wie, że jest ona interesująca i że ktoś musi się nią zająć. Spojrzałem na twarze innych gdy objaśniał. Niektórzy uśmiechali się w pół ironicznie jakby mówiąc: „Zajmujemy się obskurną problematyką filozoficzną, aby uciec od kleszczy ortodoksji, w których byśmy się znaleźli, gdybyśmy się zajmowali centralnymi problemami filozoficznymi”. Dwóch starszych panów z Moskwy nie kwapiło się do rozmowy w ogóle. Tylko jeden z Kijowa okazał się interesujący, tzn. z filozoficznego punktu widzenia. Jest on w pewnym sensie egzystencjalistą. Jego główny problem: Jaki jest cel życia. Kiedy Puszkina i Lermontowa tworzyli, powiadał, robili nie tylko to, co *powinni* robić, ale przeżywali przy tym radość tworzenia. Życie każdego człowieka powinno zawierać ten właśnie pierwiastek — radość tworzenia; bez niego życie nie jest warte życia. Każdy człowiek jest indywiduum, kontynuował, i powinien być twórcą. Życie każdego człowieka jest unikalne, w przeciwnym razie czym jest człowiek — robotem, mechanizmem.

Mamy błędne pojęcie, zaszczepione nam przez naukę i technikę, twierdził dalej, dotyczące tego co jest ważne, a co nie; co skomplikowane, a co proste. Wmówiono nam, że struktura ato-

mu, cząstki elementarne w fizyce, to sprawy skomplikowane, to sprawy ważne. Nieprawda, to sprawy proste. Skomplikowane są stosunki ludzkie. Skomplikowany jest stosunek jednostki do społeczeństwa. Skomplikowane jest pytanie jak żyć. Nauka i współczesna technika wmówiły nam, że te zagadnienia nie są ważne. Zostało stworzone złudzenie, że byle kto może się tymi zagadnieniami zająć, byle kto może filozofować. Otóż nic nie jest dalsze od prawdy. Tak, mniej więcej, przebiegał tok jego rozumowania. Nie pytałem jak to wszystko godzi się z materializmem historycznym. Bo i po co. Na niemądre pytanie dałby z pewnością niemądrą odpowiedź.

Faktem jest, że to co mówił o filozofii i nauce aktualne jest w obu światach. Faktem jest, że nieznaczną rolę społeczną współczesnej filozofii jest wyrazem tego samego mitu, kultywowanego po obu stronach w ciągu ostatnich dziesięcioleci, że ważne są tylko nauka i technika. Na szczęście zaczyna przenikać do powszechnej świadomości idea, że filozofia to nie luksus marzycieli, ale konieczna część naszej egzystencji zarówno społecznej jak i indywidualnej.

I ostatnia uwaga dotycząca Kongresu. Następująca rezolucja została uchwalona przez zgromadzenie ogólne Międzynarodowego Instytutu Filozoficznego z okazji XIV Międzynarodowego Kongresu Filozoficznego w Wiedniu.

„Wierząc że wolność myśli i słowa jest warunkiem niezbędnym dla uprawiania filozofii, apelujemy do wszystkich narodów i międzynarodowych instytucji, posiadających niezbędne środki, aby przyszyły w pomoc tym uczonym, którzy w obecnej chwili, w jakimkolwiek kraju, są tej wolności pozbawieni i tym samym nie są w stanie prowadzić badań naukowych i kontynuować nauczania”.

„Międzynarodowy Instytut Filozoficzny ze swej strony uważa za swój obowiązek, aby użyć wszystkich środków, które są w jego mocy, aby pomóc w tej sprawie”.

Czy konieczne są komentarze? Czy myśl polska i filozofia polska w szczególności muszą być wspierane przez innych, aby mogły się rozwijać? Czy ludzie odpowiedzialni za politykę i kulturę w Polsce nie potrafią zrozumieć, że niszczenie filozofii, niszczenie myśli twórczej, to tyle co niszczenie naszej kultury, to tyle co negowanie części naszego istnienia. Byliśmy, i chciałbym się ludzi że ciągle jeszcze jesteśmy, narodem cywilizowanym, narodem oświeconym. Najważniejsza część narodu cywilizowanego to jego kultura, to jego myśl twórcza. O tym nie wolno zapomnieć. I to trzeba zawsze przypominać. Aby się nie stać krajem filistynów, lub w którym rządzą filistyni, musimy walczyć przeciw niszczeniu myśli twórczej i kultury w imię najlepszych tradycji tej myśli i tej kultury.

Henryk SKOLIMOWSKI

Wiedeń-Oxford, wrzesień 1968.

Galeria Wilanowska

Muzealnictwo jako całość jest ponad wszelką wątpliwość jednym z bezwzględnych pozytywów polskiego życia kulturalnego okresu powojennego. Co więcej nawet w najtrudniejszym okresie zdołało ono pełnić ze znacznym powodzeniem swą misję nie tylko kustosza, ale też propagatora wartości przeszłości kulturalnej.

Do jednego z niewątpliwych paradoksów należy też fakt, że zwłaszcza okres „stalinowski” był pod względem materialnym sprzyjający rozwojowi muzealnictwa, a z drugiej strony dziedziną ta uważana w pewnej mierze za boczny tor mniej niż inne odczuwała presję ideologii i partyjnego dyrygowania. Stanowiła też siłą rzeczy refugium dla wielu uczonych którym coraz trudniej było działać na uniwersytetach czy innych „otwartych” instytucjach.

Stąd też, wchodząc w nowy „popaździernikowy” okres, polskie muzealnictwo posiadało duży kapitał doświadczenia, a nade wszystko znaczną ilość specjalistów nie tylko przygotowanych, ale posiadających też autentyczne aspiracje twórcze.

Ten nowy okres cechowało jednocześnie powstanie nowych trudności — w pierwszym rzędzie materialnych — wynikających z faktu, że czynniki partyjne rezygnując, pod naciskiem wydarzeń, z nadania kulturze czysto propagandowego oblicza przestały jednocześnie widzieć potrzebę jej rozwoju i przyznawały na ten cel możliwie małe fundusze.

Muzealnictwo jednak, dzięki czynnikiem poprzednio wspomnianym, zdołało w ciągu następnego dwunastolecia wykazać powolny wprawdzie ale niewątpliwy rozwój. Dotyczy on tak samych kolekcji, jak wystawiennictwa czy wreszcie pracy naukowej. Sytuacja oczywiście nie była łatwa, szczególnie że struktura organizacyjna polskiej nauki jest w najwyższym stopniu chaotyczna, przede wszystkim w wyniku częściowych reform, nie prowadzących w rezultacie do powstania zwartego i logicznego systemu.

O ile w latach 1949-56 organizacja ta była dokładną kopią systemu sowieckiego, po roku 1956 przywrócono wielu instytucjom ich tradycyjne prerogatywy (np. uniwersytetom prawo prowadzenia badań, a nie tylko nauczania) — pozostawiając jednak przy życiu i działaniu instytucje powstałe w okresie „stalinowskim” (instytuty PAN) i ich prerogatywy, co z kolei spowodowało krzyżowanie się kompetencji i dublowanie tych samych prac.

Z punktu widzenia materialnych interesów ludzi nauki układ tego rodzaju okazał się korzystny, gdyż kumulowanie wielu (nie rzadko pięciu) etatów i wykonywanie tej samej pracy” pod firmą” dwu lub więcej instytucji pozwalało choć częściowo zła-

godzić skutki polityki szczególnego upośledzenia materialnego, stosowanej przez władze wobec pracowników nauki.

W tej sytuacji znalezienie i wypracowanie dla muzeów nieoficjalnego ale realizowanego w praktyce statutu, zapewniającego zarówno sprawne realizowanie ich celów społecznych jak i postulatów ich pracowników naukowych nie było łatwe, ale wydaje się że w zasadniczym przynajmniej zarysie zostało zrealizowane. Dotyczy to w pierwszym rzędzie udostępnienia (w miarę istniejących możliwości) posiadanych zabytków.

Oczywiście możliwości te są bardzo skromne. Z jednej strony plany ukończenia budowy Muzeum Narodowego, którego gmach, ocalały w czasie wojny, jest jedynie częścią zaprojektowanego kompleksu, a którego pełną realizację przerwała wojna, okazały się najdalsze od intencji czynników oficjalnych, z drugiej — brak budowli, mogących choćby tymczasowo pełnić funkcje muzealne, skazuje ogromną większość zbiorów na trwałe pozostawanie w magazynach. Drastyczna pod tym względem sytuacja panuje zwłaszcza w Krakowie, gdzie zaledwie kilkanaście procent zasobów muzealnych jest eksponowanych, a niektóre muzea w ogóle nie posiadają żadnej stałej wystawy.

W tej sytuacji pomysł aby powolne wprowadzić, ale dosyć systematyczne przywracanie zabytkom architektury pałacowej funkcji muzealnych (Wilanów, Baranów, ostatnie Krasieczyn) połączyć z organizowaniem w nich oddziałów Muzeum Narodowego, wydaje się ze wszech miar szczęśliwy.

Niewątpliwie imponujące, spośród już w pełni zrealizowanych projektów, jest urządzenie pałacu wilanowskiego, który po wieloletniej ale niezwykle starannej konserwacji (wydobyto m.in. wiele nieznanych poprzednio malowideł i polichromii) został w pełni udostępniony.

Jedną z największych atrakcji pałacu jest stała galeria portretów polskich osobistości, zgromadzonych w lewym jego skrzydle oraz częściowo w pokojach głównego korpusu.

Kolekcja ta obejmująca łącznie zbiór pokaźny, złożony z 437 pozycji — 331 portretów malarskich, 33 rzeźb i 73 medalionów — jest też niewątpliwie pomysłem oryginalnym i dość rzadko praktykowanym w muzealnictwie. Jej największym odpowiednikiem w Europie jest National Portrait Gallery w Londynie, istniejąca od roku 1857.

W Polsce drugim zbiorem o podobnym założeniu jest galeria portretu mieszczańskiego w muzeum toruńskim, mieszcząca się w staromiejskim ratuszu również ostatnio poddanemu gruntownej i trafnie zrealizowanej konserwacji. Jest to oczywiście zbiór o znaczeniu lokalnym, mimo posiadania szeregu bardzo interesujących płócien, nie mówiąc już o jedynym, pochodzącym z epoki, portrecie Kopernika.

Galeria wilanowska jest w pewnej mierze kontynuacją przedwojennej galerii zamkowej, chociaż jest od niej i w założeniu i w realizacji bogatsza. Tym niemniej zawiera szereg obrazów z niej pochodzących, szczególnie kolekcję portretów malowanych

dla Stanisława Augusta przez pracownię Marcello Bacciarellego.

Niezależnie od dalszych losów odbudowy zamku warszawskiego galeria wilanowska ma charakter stały i chyba tak już powinno pozostać, dla tego przede wszystkim, że w znakomity sposób wzbogaca ona pałac wilanowski, będący w przeciwieństwie do zamku jedną z najładniejszych rezydencji monarszych w Europie, w dodatku zabytkiem całkowicie autentycznym, czego niestety nie da się przywrócić nawet najlepszej rekonstrukcji.

Wspólnym mianownikiem zbioru wilanowskiego są przedstawione osoby, które jakkolwiek noszą wspólny tytuł — „osobistości”, zaliczają się do grup nader różnych. Znajdujemy tu więc w pierwszym rzędzie liczny zbiór portretów królów, tak autentycznych, pochodzących z epoki i malowanych bezpośrednio „z modela”, jak „imaginacyjnych”, głównie z dawnego zbioru Stanisława Augusta, pochodzących z pracowni Bacciarellego.

Te ostatnie jednak — przynajmniej w odniesieniu do postaci bliższych w czasie — opierały się w szeregu wypadków na mniej lub bardziej wiarygodnych wcześniejszych podobiznach, nie zawsze więc, przynajmniej w ikonograficznym sensie, są czystą fikcją.

Inne portrety pochodzą bądź z kolekcji dawnych rezydencji magnackich, bądź z wielu innych źródeł, często z niedawnych legatów i darów. Spośród tych ostatnich najbardziej może bliski polskiemu widzowi jest świetny portret Jana Andrzeja Morsztyna, znakomitego mistrza barokowej formy poetyckiej, legowany testamentem galerii przez Morsztyna najbliższego nam w czasie — dramaturga Hieronima...

Pisarzy w galerii jest zresztą sporo, chociażby świetny późno-renesansowy portret Piotra Kochanowskiego, nie mówiąc już o kompletnym niemal panteonie twórców epoki Oświecenia.

Obok nich trafił tu szereg portretów postaci, których pamięć nie utrzymała się w historii, często anonimowych, portretów odznaczających się wybitnymi wartościami artystycznymi i wysoce charakterystycznymi rysami modeli, szczególnie utrwalonych w „portrecie sarmackim” XVII i XVIII wieku, lub w stanowiących wyłącznie polską specjalność „portretach trumiennych”. Te ostatnie, zachowane licznie we wszystkich niemal muzeach prowincjonalnych i wielu kościołach, zasługują z pewnością na szczególne opracowanie i wydanie w postaci reprodukcji.

W sumie galeria wilanowska budzi pozytywne zaskoczenie faktem, że mimo katastrofy wojennej tak ogromną ilość dzieł sztuki zdołano ocalić od zagłady — jest to niewątpliwy dowód wyjątkowych wysiłków i poświęcenia kustoszów i pracowników muzealnictwa.

A przy tym przeszłość polskiej kultury w szczególnej mierze nie sprzyjała tworzeniu trwałych zbiorów portretów. System monarchii elekcyjnej, w połączeniu z faktem że żadnej z dynastii tego okresu nie udało się osiągnąć kontynuacji więcej niż dwóch pokoleń, oraz krótkie w większości wypadków panowanie poszczególnych monarchów nie sprzyjały powstawaniu trwałych

zbiorów portretów tak charakterystycznych dla większości krajów ówczesnej Europy. Podobnie, częste zmiany właścicieli większości rezydencji magnackich (z wyjątkiem litewskich Radziwiłłów) działały w podobnym kierunku.

Niezależnie od tego wiek XIX, a szczególnie jego druga połowa, był okresem intensywnego handlu dziełami sztuki, nie będącym na terenach polskich w ówczesnej sytuacji politycznej przedmiotem jakiegokolwiek ochrony. Wtedy też wywędrowało za granicę wiele wybitnych dzieł, jak np. Rembrandta „Lisowczyk” (dziś we „Frick's Collection” w Nowym Jorku) czy tegoż samego mistrza „Portret szlachcica polskiego”, najprawdopodobniej Jana Reja, posła Władysława IV do Anglii (obecnie w waszyngtońskiej „National Gallery”)...

Tym niemniej w Wilanowie znajdujemy niemal komplet podobizn monarchów i wybitnych postaci życia politycznego od końca XVI wieku. Okres wcześniejszy jest reprezentowany (nie licząc „portretów imaginacyjnych”) bardziej fragmentarycznie, ale i tu znajdujemy szereg portretów, jak choćby ostatnich dwóch Jagiellonów, Stefana Batorego czy przedostatniego piastowskiego księcia Mazowsza. Mamy tu także portret złotnika krakowskiego Grzegorza Przybyły i jego żony Katarzyny z roku 1534, oraz z drugiej połowy tego stulecia portret Anny Jagiellonki, wymieniając tylko najbardziej interesujące z artystycznego punktu widzenia.

Pod tym względem szczególnie wyróżniają się wśród portretów późniejszego okresu podobizny Piotra, Jana i Zygmunta Tarłów, pierwszy z ok. 1620 r., dwa pozostałe z połowy XVII stulecia.

Wyszczególnienie zresztą chociażby najważniejszych pozycji jest tu niemożliwe, warto natomiast zwrócić uwagę na ogólne cechy stylistyczne zawartości galerii.

Pod tym względem dzieli się ona na dwie dosyć wyraźnie odgraniczone części: pierwszą okresu „staropolskiego” — do końca XVIII stulecia i drugą — dotyczącą wieku XIX.

Różnice są tu nie tylko natury socjalnej (pierwszy okres cechuje dominacja portretu szlacheckiego i magnackiego, drugi *sensu largo* mieszczańskiego), ale także artystycznej.

Pierwszy okres cechuje wielorakość szkół i kierunków — drugi jest bardziej jednolity — ograniczony niemal wyłącznie do przedstawicieli malarstwa polskiego.

W pierwszym okresie typowe cechy polskiej szkoły reprezentuje w pierwszym rzędzie portret szlachecki i mieszczański, natomiast obrazy pochodzące z kręgu dworu królewskiego oraz magnackie są w większej części dziełami malarzy obcych działających w Polsce. W zbiorze nie brak też portretów wykonanych przez obcych malarzy za granicą i przywiezionych następnie do Polski — do tego ostatniego rodzaju należy m.in. wspomniany już portret Andrzeja Morsztyna.

Mimo jednak faktu, że mecenat królewski a za nim magnacki, faworyzował twórczość cudzoziemców i tu znajdujemy wiele

dział sygnowanych lub anonimowych reprezentujących styl lokalny, jak np. gdańskie portrety Janusza i Bogusława Radziwiłłów.

Portret dziewiętnastowieczny skupia uwagę na osobistościach życia umysłowego i artystycznego, przede wszystkim Warszawy. Mamy tu też wiele interesujących portretów kobiecych, tak z pierwszej jak i drugiej połowy stulecia, oraz „romantyczne” portrety żołnierzy epopei napoleońskiej i Powstania Listopadowego.

Ostatnio galeria wilanowska otrzymała kompletny katalog*, wydany przez Muzeum Narodowe w Warszawie, którego filią (jedną z wielu) jest wilanowski pałac.

Katalog został opracowany przez liczne grono pracowników naukowych Muzeum Narodowego pod redakcją Stefana Kozakiewicza, Andrzeja Ryszkiewicza i Krystyny Sroczyńskiej, ze wstępem dyrektora Muzeum — Stanisława Lorentza.

Katalog ten nie jest zresztą pierwszą pozycją bibliograficzną poświęconą portretowi polskiemu, ma on szereg poprzedników jak J. Mycielskiego „Portrety Polskiego XVIII wieku” (1912), Portret Kobiety w Polsce XVIII w. S. Wasylewskiego (1926) czy — spośród powojennych — „Polskie Malarstwo Portretowe” T. Dobrowolskiego (1947) i A. Ryszkiewicza „Polski Portret Zbiory” (1961).

Wartość obecnie omawianej pozycji polega przede wszystkim na tym, że katalog ten formą opracowania daleko wykracza poza swoją zasadniczą rolę, tj. pomoc w zwiedzaniu galerii. Dzięki bogactwu i precyzji informacji, obejmującej praktycznie wszystko co jest w chwili obecnej osiągalne (wraz z kompletną bibliografią polską i zagraniczną w tych wypadkach gdy ona istnieje) odnośnie wszystkich pozycji galerii, katalog ten jest również cenną pomocą i punktem wyjścia dla wszelkich prac które w przeszłości będą dotyczyły polskiego portretu oraz osób na nich przedstawionych.

Klarowny i logiczny układ, encyklopedyczna forma zawartych informacji, ich kompletność i dokładność, czynią z tej publikacji dzieło niemal wzorowe, przydatne w pełni tak specjalistom-historykom i historykom sztuki, jak miłośnikom polskiej przeszłości artystycznej.

Tym niemniej, jak zwykle, można i tu zgłosić pewne zastrzeżenia. Najistotniejszym z nich (i to o charakterze ogólnym) jest niedocenienie przez Muzeum Narodowe faktu, że w ostatnich latach niezwykle rozszerzył się krąg jego adresatów. Wszystkie niemal dotychczasowe publikacje (może z wyjątkiem stałej wystawy sztuki z wykopalisk w Faras) adresowane są niemal wyłącznie do polskiego widza, podczas gdy polskie muzea nabierają coraz bardziej charakteru ośrodków, odwiedzanych przez międzynarodową publiczność. Szczególnie masowy, i to w ciągu całego roku, napływ turystów skandynawskich powoduje, że spotkać ich można w Wilanowie praktycznie każdego dnia. A tu

* *Portrety Osobistości Polskich Znajdujące się w Pokojach i Galerii Pałacu w Wilanowie*, Warszawa. Muzeum Narodowe 1967.

zarówno ilość obcojęzycznych wydawnictw informujących, jak i przewodników jest wysoce niezadawalająca. Oczywiście szerokie podjęcie publikacji w obcych językach jest sprawą kłopotliwą, ale jednocześnie jest warunkiem *sine qua non* szerszego oddziaływania polskiej sztuki.

Innym mankamentem są zawarte w katalogu reprodukcje, mające postać typowych „wglądówek”, pozwalających na identyfikację opisu z oglądanym obiektem, ale dające nader słabe odbicie jego istotnych walorów.

Ponieważ wilanowska galeria ma charakter stały, a jej katalog walory kompletnego opracowania i informacji, warto by go niewątpliwie uzupełnić bardziej adekwatnymi reprodukcjami przynajmniej najbardziej reprezentatywnych obrazów.

Z natury rzeczy zawarte w katalogu reprodukcje medalionów i rzeźb dają bardziej kompletny ich obraz, ale mają one dla całości zbioru znaczenie raczej uzupełniające.

Muzeum Narodowe stawia sobie za zadanie oddziaływanie dydaktyczne w najszlachetniejszym znaczeniu — rola bezpośredniego kontaktu z podobiznami postaci znanych z historii jest oczywista, wydany katalog wybitnie umożliwia pogłębienie tej znajomości.

Adam SUTKOWSKI

Komunikaty

NAGRODA LITERACKA DLA W. IWANIUKA

Kuratorium Fundacji im. A. Mickiewicza w Kanadzie na zebraniu w dniu 23 września jednomyślną uchwałą zatwierdziło decyzję specjalnej komisji, która zaleciła przyznanie nagrody literackiej w wysokości \$ 250 Wacławowi Iwaniukowi za całokształt jego twórczości poetyckiej.

W uzasadnieniu podkreślono, że ostatni tom poezji „CIEMNY CZAS” znamionuje dalszy rozwój talentu poety. Poprzedni tom „Wybór wierszy” przyniósł poecie nagrodę literacką „Kultury” za rok 1965.

Wacław Iwaniuk jest również doskonałym tłumaczem poezji amerykańskiej i otrzymał za te przekłady szereg nagród. Mieszka stale w Toronto, gdzie inicjował szereg imprez kulturalnych.



SUBSKRYPCJA NA DZIEŁO PROF. ST. KOŚCIAŁKOWSKIEGO

Spółeczność Akademicka Uniwersytetu Stefana Batorego ogłasza przedpłatę na monumentalne dzieło prof. Stanisława Kościałkowskiego o Antonim Tyzenhauzie, podskarbin nadwornym litewskim. Jest to praca, której prof.

Kościąlkowski poświęcił blisko 35 lat życia. Określił ją sam, jako studium nad wewnętrznymi dziejami Litwy w pierwszym 15-leciu panowania Stanisława Augusta Poniatowskiego (1765-1780). Dzieło to będzie obejmować ok. 900 stron druku w dwóch tomach i będzie zawierać w przypisach wyciągi z nieistniejących już przeważnie akt archiwalnych.

Apelujemy gorąco do wszystkich miłośników dziejów ojczystych, oraz do wszystkich, którym jest drogą pamięć prof. Kościąlkowskiego, zwłaszcza do wszystkich Jego uczniów rozsianych po świecie, o czynne poparcie naszego zamierzenia, które podjęliśmy z pełną wiarą w Waszą pomoc.

CENA w przedpłacie za całość dzieła, które ukaże się w pierwszych miesiącach 1969, z przesyłką i opakowaniem wynosi:

egzemplarz zwykły: W. Brytania £6.0.0., USA. \$14,50., Francja 72 F., N.R.F. 58 Dm.

egzemplarz w płóciennnej oprawie: W. Brytania £7.10.0., U.S.A. \$18., Francja 90 F., N.R.F. 72 Dm.

egzemplarz w płóciennnej oprawie, numerowany, z imieniem i nazwiskiem nabywcy: W. Brytania £10.0.0., U.S.A. \$24., Francja 120 F., N.R.F. 96 Dm.

Prosimy wysyłać zamówienia oraz czeki, Postal Order'y bądź Money Order'y, wystawione na „U.S.B. Academic Community”, pod adresem:

Mr. A. Urbański, 3, St. Mark's Terrace, Peel Rd., London, N.W.6.

SPOŁECZNOŚĆ AKADEMICKA
UNIwersytetu Stefana Batorego w Wilnie
Z SIEDZIBĄ W LONDYNIE



JUBILEUSZ INSTYTUTU IM. JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO

Instytut im. J. Piłsudskiego w Nowym Jorku będzie obchodził w dniu 16 listopada br. 25-lecie swego istnienia. Jubileusz będzie połączony z cyklem wykładów w sali Fundacji Kościuszkowskiej (15 East 65 Street).

Będą one wygłoszone przez profesorów uniwersytetów z Nowego Jorku i innych miast w dwóch seriach przed-południowej i popołudniowej, a wszystkie poruszają zagadnienia odnoszące się do nowoczesnej historii Polski.

Referaty prof. Wacława Jędrzejewicza i prof. Aleksandra Korczyńskiego poświęcone zostaną odzyskaniu przez Polskę niepodległości.



„ZESZYTY HISTORYCZNE”

Bezpośrednio po wojnie można było zaobserwować ogromne zainteresowanie Najnowszą Historią Polski. Było to zjawisko zupełnie zrozumiałe. Po bezprzykładnej klęsce wszyscy chcieli dowiedzieć się, zorientować, czym była ona spowodowana, czy były obiektywne dane dla jej uniknięcia, jakie

popołniono błędy i czy daliśmy z siebie absolutnie wszystko, by katastrofy unikać. Zainteresowanie to zostało tym więcej pogłębione, że w kraju fałszowano historię, przykrawając ją do żądań Moskwy i rządzącej grupy partii komunistycznej, zaś na emigracji powstały rozliczne tabu i zahamowania wynikające z odruchowej potrzeby „krzepienia sere”, choćoniewszczyzny, no i w dużym stopniu z rozgrywek personalnych i partyjnych.

Od początku powstania *Kultury* ten dział był w piśmie szeroko uwzględniany. Z biegiem czasu materiały tak się rozrastały, że powstała potrzeba wydzielenia tej problematyki w osobne wydawnictwo. W r. 1962 stworzyliśmy *Zeszyty Historyczne* jako półrocznik. W polityce redakcyjnej *Zeszytów* w pierwszym rządzie położyliśmy nacisk na dwie rzeczy:

Drukowanie dokumentów i ocen z największym obiektywizmem, nie wahając się poruszania spraw kontrowersyjnych czy niepopularnych, jeśli tylko mogło to służyć poznaniu prawdy.

Drukowanie materiałów w sposób żywy, mogący zainteresować każdego kto interesuje się sprawami Polski, unikając żargonu pseudonaukowego i jałowych przyczynków.

Byliśmy przekonani, że przy istniejącym zainteresowaniu wydawnictwo to nie tylko się utrzyma, ale że w krótkim czasie będziemy mogli przekształcić *Zeszyty* na kwartalnik. W tym celu dla prenumeratorów *Kultury* ustaliliśmy niezmiernie niską cenę prenumeraty, nie mówiąc już o tym że i cena *Zeszytu* była niska, niższa od ceny przeciętnej książki tej samej objętości. Gdyby co drugi choćby prenumerator *Kultury* abonował *Zeszyty* wydawnictwo mogłoby stanąć na mocniejszych podstawach finansowych, płacić wyższe honoraria, przeznaczyć większe środki na szukanie i opracowywanie źródeł. Niestety po 7 latach wychodzenia, po wydaniu 14 numerów ilość prenumeratorów nie o wiele przekracza cyfrę tysiąca osób. Nie mogąc nadal pokrywać deficytu, powiększającego się stale na skutek wzrostu cen druku i papieru — decydujemy się na kontynuowanie *Zeszytów Historycznych* jedynie w przyszłym 1969 roku. Jeśli w ciągu roku 1969 ilość prenumeratorów odpowiednio nie wzrośnie będziemy musieli z żalem zawiesić wydawanie *Zeszytów*.

W związku z tym:

Przyjmujemy prenumeraty jedynie na rok 1969.

Wszyscy którzy opłacą prenumeratę do końca br. będą korzystali z obecnych stawek: tj. prenumerata zwykła 6 dol., prenumerata dla prenumeratorów *Kultury* 3 dol. Z dniem 1. I. 1969 prenumerata na rok 1969 będzie podniesiona do sumy dol. 5,00. W sierpniu 1969 w nrze 16-tym *Zeszytów Historycznych* poinformujemy naszych czytelników, czy nasz apel odniósł skutek i czy ilość prenumeratorów na tyle wzrosła byśmy mogli kontynuować wydawnictwo, nie mówiąc już o przejściu na kwartalnik. Informacje te będą podane również we wrześniowym nrze *Kultury* w roku 1969.

Przyszłość *Zeszytów Historycznych* jest obecnie w rękach czytelników.

REDAKCJA

Wspomnienia kowieńskie

Dzieje stosunków polsko-litewskich w pierwszych latach niepodległości opisywał prof. W. Wielhorski, okres prób porozumienia w latach trzydziestych sen. T. Katelbach, lecz brzemienne w wypadki czasy ultimatum, nawiązania stosunków, i wreszcie napływu uchodźców we wrześniu — były prawie białą kartą w historii. Lukę tę wypełnił pierwszy i ostatni polski attaché wojskowy w Kownie płk dypl. Leon Mitkiewicz. Książka jest ciekawa dla badacza polskiej polityki zagranicznej, zwłaszcza na odcinku bałtyckim, przynosząc też nieznanne fakty np. pewnych sugestii sztabu sowieckiego pod adresem Polski. Najciekawsze jednak będą te wspominki dla wszystkich związanych z Litwą: tamtejszych Polaków, uchodźców, którzy ten kraj poznali (ponoć w Siłach Zbrojnych na Zachodzie około tysiąca oficerów przeszło przez Litwę), jak też rodowitych Litwinów, zwłaszcza wojskowych.

Pomijając zagadnienia wielkiej polityki, poprzestaniemy na omówieniu spraw związanych z Litwą. Na ogół obraz stosunków odtworzony jest wiernie, sylwetki litewskiej generalicji, polityków, studentów dobrze zaobserwowane. Zdarzają się lapsusy popełnione raczej przez nieuwagę. Wymienione są nawet w procentach różnoróżne filmy w kinach kowieńskich, a pominięte niemieckie, których było dużo. W jakimś podręczniku historii czytałem o królewietach ukraińskich Koniecpolskich i Lanckorońskich, i stąd litewski attaché w Paryżu płk Lanckoroński został przechrzczony na Koniecpolskis. Zagłoba kiedyś protestował przeciw okrzykom „Vivat Carolus Gustavus Rex”, a w książce podano, że unia kiejdańska była z Gustawem Adolfem. W Kownie była „Alliance Française”, ale jako żywo nie było „jaczejki” francuskich monarchistów „L’Action Française”.

* Leon Mitkiewicz, *Wspomnienia kowieńskie 1938-1939*. Veritas, Londyn.

Można by się spierać o ścisłość daty dojścia do władzy „tautinków” i nazwiska ich przywódcy, jak też o rolę języka angielskiego w szkolnictwie, ale są to drobiazgi.

Gdy się ma „hobby” zestawiania opisów tych samych zdarzeń w różnym oświetleniu, można znaleźć różnice ujęcia godne zacytowania.

O niechętnie udzielonej audiencji min. Becka gen. Rasztikisowi, ten ostatni pisze w swych pamiętnikach: „W czasie wizyty u min. spraw zagranicznych Becka towarzyszył mi litewski poseł w Warszawie dr Szaulis. Ta wizyta była najprzykrzejsza”. Następują cytaty zwrotów użytych przez min. Becka, po czym: „Beck zrobił wykład o polskiej, raczej jego własnej polityce zagranicznej i w ciągu całej wizyty nie pozwolił mi wtrącić ani jednego zdania”.

A teraz relacja płk. Mitkiewicza:

„Po upływie kilku chwil generał został wprowadzony do gabinetu ministra Becka, ale nie upłynęły dosłownie dwie minuty, gdy drzwi się otworzyły i wyszedł stamtąd z bardzo wyraźnie sztucznym wyrazem na twarzy. Pułkownik Beck nie uznał za stosowne odprowadzić do drzwi swego gabinetu, bądź co bądź niecodziennego gościa w polskim Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Zastanawiałem się nad tym, czy zdążyli oni zamienić ze sobą konwencjonalne frazesy”.

Nie poddając w wątpliwość relacji dwóch wiarygodnych świadków, należy przypuszczać, że wykład Becka o polskiej polityce był w formie dosyć skondensowanej.

Inaczej też wyglądały sprawy Polonii litewskiej widziane z Warszawy, i widziane na miejscu. Z udzielonych autorowi w GISZ-u informacji wynikało, że zamożniejsze polskie ziemiaństwo na Litwie, to byli ludzie uprzywilejowani przez rząd litewski, związani osobiście z obecnym rządem itd. Widziane na miejscu wyglądało tak, że po reformie rolnej w pierwszych latach niepodległości ziemiaństwo polskie zubożało, i pozostało względnie zamożnych około stu rodzin. Byli to ci, co posiadali majątki uprzemysłowione (np. ok. 20 gorzelni), bo fabryki nie były wywłaszczane, ci co mieli majątki w północnej części kraju, gdzie reforma była przeprowadzana później, gdy resztówki podniesiono z 80 na 150 ha, te rodziny gdzie w międzyczasie właściciel zmarł i można było drogą działu zachować resztówki dla każdego członka rodziny, i wreszcie nieliczni właściciele dobrze zagospodarowanych majątków mogli zachować większe obszary, jako gospodarstwa wzorowe, obciążone obowiązkami hodowli bydła zarodowego, nasion itd.

Uprzywilejowanych przez rząd było w tym może 10 procent.

Nie doceniając znaczenia sprytu i okoliczności, można by też tych, którzy w czasie okupacji wymknęli się z łapanki uznać ryczałtem za specjalnie uprzywilejowanych przez władze hitlerowskie.

Wobec nasilenia litewskiego nacjonalizmu, w polskiej pracy społecznej na czołowych stanowiskach mogli występować jedy-

nie ludzie finansowo niezależni, a zatem do prawie ostatnich lat były one obsadzone przeważnie przez ziemian. Ze względu na pokutujący na Litwie mit, że „Polacy chcieliby znów wprowadzić pańszczyznę”, nie było to korzystne dla sprawy polskiej, toteż wpływy z Warszawy zmierzały do zmian strukturalnych w życiu organizacyjnym. Naświetlenie GISZ'u było więc w tym sensie pomocne, tym niemniej krzywdzące. W r. 1937 prezesem centralnej polskiej organizacji na Litwie (Pochodnia) był ziemianin i to zamożny — jako współwłaściciel Hotelu Europejskiego w Warszawie; rodzina dyrektora polskiego Banku Wzajemnego Kredytu też nie była biedna — posiadając od dawna kamienice w Wilnie i Warszawie.

Nie są to dowody uzależnienia finansowego przywódców polonijnych od rządu litewskiego. Przykłady można by mnożyć, ale wykroczyłyby to poza ramy recenzji.

Gdy się czyta ciekawe wspomnienia, odkłada się je z żalem, chciałoby się wiedzieć, co było dalej. Otóż piesek państwa Charwatów (figurujący na fotografii) przechodził z rąk do rąk, bo był bardzo niesforny, wreszcie trafił na wieś, gdzie został uśmiercony, bowiem udusił parę kur rodziny robotniczej, za czasów już sowieckich, wskutek czego dziedzic i jego pies zasłużyli na miano „wrogów ludu”. Biblioteka pozostawiona przez p. Charwata na kowieńskim przedmieściu była pilnie czytana, co było związane z dodatkowym trudem rozcinania stron poważniejszych dzieł.

Wreszcie pisze płk Mitkiewicz o podsłuchu w jego i pośła Charwata mieszkaniach. Właściciel kamienicy, gdzie mieściły się biura poselstwa, dodaje że o piętro wyżej, bezpośrednio nad poselstwem, mieszkał korespondent TASS'a, ale zapewnia, że tam podsłuchu nie było.

E. ŻAGIELL

O Polakach w Kanadzie

Obchód stulecia Konfederacji Kanady — rok 1967 — dokładnie przygotowany objął również grupy etniczne. W pewnym sensie kładziono nawet na nie bardzo duży nacisk. Chodziło o wypuklenie roli jaką odegrały w uformowaniu się nowoczesnego państwa. Wprawdzie tylko nieliczni specjaliści od zagadnień imigracyjnych i poszukiwacze nonsensów znają „dramatyczne” i „prorocze” wypowiedzi na temat wartości poszczególnych grup imigrantów i przyszłości Kanady jednego z najwybitniejszych polityków — twórcy socjalizmu kanadyjskiego — J. S. Woodswortha z książki „Strangers within Our Gates” (Toronto 1909)

czy znakomitego pisarza i ekonomisty Stephena Leacocka („*Economic Prosperity in the British Empire*”, Toronto, 1930). Niemniej jednak uznano, iż lepiej jest raczej przecenić wkład grup etnicznych aniżeli go nie docenić. A uznanie, kosztem pewnych dotacji, na publikacje kilku prac stanowi formę najmniej uciążliwą, najmniej politycznie kosztowną i naturalnie równie mało efektywną.

Niemal każda większa grupa etniczna podjęła z własnej inicjatywy akcję uczczenia czy zadokumentowania swego wkładu w rozwój Kanady i opublikowała jakąś pracę. Niektóre z nich to broszury nieomal o charakterze lokalnym gdyż zajmują się życiem grupy — czasem nawet jednej organizacji — w określonej miejscowości. Inne znowu poświęcone są jakiejś jednej sprawie, czasem jakieś wybitnej jednostce itp. Ukazała się jednak również — kosztem grup czy poszczególnych organizacji określonej grupy etnicznej — pewna ilość cennych pozycji. Trzeba jeszcze dla ścisłości dodać, że Komisja Stulecia — specjalne ciało powołane przez rząd, które dysponowało funduszami budżetowymi — wspierała dotacjami w różnych wysokościach prace badawcze nad dziejami grup etnicznych.

Ograniczymy się oczywiście do prac dotyczących Polaków w Kanadzie.

Na pierwszym miejscu — nie tylko z powodów chronologicznych — umieścić trzeba pracę przedwcześnie zmarłego dra W. Turka. Powstała ona na początku lat pięćdziesiątych i operuje danymi statystycznymi z powszechnego spisu ludności z 1951 r. Turek planował napisanie historii osadnictwa polskiego w Kanadzie i był do tego doskonale przygotowany. Niestety zmarł. Opublikowana praca jest najbardziej źródłową i najbardziej szczegółową pracą o osadnictwie polskim w Kanadzie. Oczywiście Autor skoncentrował się na analizie Manitoby, ale ujął cały problem szeroko. Manitoba była miejscem masowej imigracji Polaków, ale formy ich życia i organizacji nie były odmienne i w innych prowincjach. Ani ich aspiracje. Turek dał zarys historyczny imigracji polskiej, przedstawił jej gospodarcze i polityczne powody. Na tym tle kreśli fazy kształtowania się i rozwoju życia imigrantów, omawia proces adaptacji, perspektywy rozwojowe itp.

Pionierski okres w Kanadzie nie pokrywa się z takimi okresami w Stanach Zjednoczonych, natomiast imigranci — przytłaczająca ich większość — rekrutują się z tej samej warstwy społecznej i przynieśli ze sobą do kraju osadnictwa te same tradycje, te same dążenia. Kiedy w USA istniały już skupiska polskie, posiadające organizacyjne formy działania, do Kanady przybywali pierwsi z masowej imigracji rolnej, ci głodni ziemi robotnicy rolni i właściciele karłowatych gospodarstw. Turek dowodzi, że jeśli chodzi o imigrantów sprzed 1939 roku, osiadłych w Manitobie, to ponad 80 procent przybyło z obszarów dawnej Małopolski a ponad 90 procent z nich to byli chłopci. Układ imigracji polskiej w pozostałych prowincjach nie był inny.

Turek nie ogranicza się oczywiście, ani w części ogólnej ani szczegółowej, do pionierów; charakteryzuje również powojenną falę imigracyjną, która powstała na tle politycznym, a zatem siłą faktu jego wywody zasadnicze nie ograniczają się do Manitoby.

Turek nie przeoczył żadnego aspektu życia polskiego imigranta, stosunku do niego władz i otoczenia. Skrupulatnie przedstawił i przeanalizował osadnictwo rolne i miejskie. Porównał warunki imigrantów polskich z innymi, zarejestrował przemiany zachodzące w każdej fazie.

Obraz życia religijnego, społecznego, kulturalnego, przedstawiony został wręcz drobiazgowo. Nie jest to jednak hagiografia, nie są to tak popularne, jednostronne i uproszczone do granic prymitywizmu relacje, w których podstawowym elementem, często i jedynym, są spisy nazwisk z wyszczególnieniem piastowanych w organizacji urzędów. Turek jest obiektywnym, naukowym badaczem i stara się utrzymać w zakreślonych sobie ramach, tym niemniej często wykazuje swój uczuciowy, serdeczny stosunek do omawianych problemów.

Praca dra Turka ma przede wszystkim znaczenie historyczne. Stanowi najcenniejsze źródło początków polskiej imigracji w Kanadzie i historii kształtowania się Polonii Kanadyjskiej. Tylko jego przewidywania na przyszłość okazały się błędne. Nie mogło być inaczej, bo któż może przewidzieć rozwój wypadków? W strukturze społecznej i gospodarczej Kanady zaszły tak szybko tak wielkie zmiany, które objęły oczywiście również grupę polską, że zarówno obawy jak i nadzieje Turka okazały się płonne. Radykalnej zmianie uległa polityka władz państwowych wobec imigrantów oraz stosunek do nich otoczenia. W ten sposób i proces adaptacyjny musiał przebiegać inaczej. Dr Turek podkreśla, iż adaptacja imigrantów polskich postępuje szybko. Zdaniem jego „zmniejszenie się krytycyzmu wobec adoptowanej ojczyzny stanowi najlepszy miernik stopnia integracji, jest dowodem iż ludzie ci również uczuciowo związaali się z Kanadą”.

Praca Williama B. Makowskiego jest projektem uczczenia Stulecia Konfederacji Kanady przez Kongres Polonii Kanadyjskiej, Okręg Niagara. Z prawdziwym żalem wypadła stwierdzić że praca ta nie jest — wbrew tytułowi i zapowiedziom — historią Polaków i ich adaptacji w Kanadzie. Jest to natomiast niezbyt ściśła kronika życia organizacji polonijnych, parafii i pewnych problemów. Autor zna doskonale problematykę polonijną lecz — niestety — nie wykorzystał jej należycie w swej pracy. Zapewne brak czasu mógł być tu ważnym czynnikiem, ale wówczas nie należało się spieszyć.

Makowski — jeśli chodzi o życie organizacyjne — zna je doskonale z własnego doświadczenia. Odwiedził wiele miejscowości, rozmawiał z działaczami, zajął do protokołów, ksiąg pamiątkowych itp. Nie usiłował jednak przeprowadzić ani głębszej analizy ani oceny krytycznej. Najczęściej zadawała się „oficjalną”

wersją każdej organizacji, nie gardząc nieuzasadnionymi pochwałami dla wybranych przez siebie jednostek czy organizacji i wcale silnym przymrużeniem oczu w odniesieniu do innych. Te błędy nie wynikają z braku wiadomości czy rozeznania ze strony Makowskiego, należy raczej przypuszczać, że są to „odchylenia” z innych powodów uzasadnione.

Część historyczna pracy Makowskiego nie nasuwa żadnych zastrzeżeń. Jest to dobry, zwarty zarys, w którym uwzględniono wszystkie jednostki patronujące Polonii. Jest więc Gzowski, Globenski, Kierzkowski, Blaszkowicz, Piuze i ci wszyscy, którzy poprzedzili pierwszą masową emigrację w początku drugiej połowy ubiegłego stulecia.

W dalszej części pracy Makowski posługuje się podziałem terytorialnym. Kolejno przechodzi prowincje, znajdujące się w nich skupiska polonijne, kreśląc zwięzłą kronikę, czasem charakteryzując poszczególne jednostki, uwypuklając ich znaczenie, względnie rolę. Jest to jednak tylko pobieżny zapis i nie zawsze bezbłędny. Gdyby Makowski zrezygnował z pseudo-naukowości, gdyby nie śpieszył się z wydaniem, to niewątpliwie mógłby napisać pracę popularną — w rodzaju pracy sen. Yuzyka o Ukraińcach — ale zarazem pasjonującą książkę o osadnictwie polskim w Kanadzie.

W ramach szeroko zaplanowanej i finansowanej przez Komisję Stulecia kolekcji etnicznej: *Canada Ethnica*, tom VII nosi tytuł „The Poles in Canada”. Autorem pracy jest Dr Ludwik Kos-Rabcewicz-Zubkowski.

Przykro jest o niej pisać. Trudno oprzeć się wrażeniu, że mamy do czynienia z jakimś wielkim nieporozumieniem. Niesposób zrozumieć w jaki sposób komitet redakcyjny, z prof. J. B. Rudnyckym na czele, mógł tę pracę zaakceptować. Ewentualna odpowiedź, że innej nie było, względnie iż ze wszystkich złych ta była najlepsza — byłaby niepoważna. Jeśli uznano, że w tej serii musi się ukazać praca o Polakach a żadnej odpowiedniej nie zgłoszono, to można było w dyskretny sposób poszukać odpowiedniego autora z grona Polaków lub zwrócić się do dra Kay’a albo dra Kirschbauma — obaj znają doskonale język polski i problematykę polonijną — i niewątpliwie każdy z nich napisałby znakomitą naukową pracę.

Jeśli autor chciał opracować rodzaj książki adresowej Polaków w Kanadzie, to wywiązał się ze swego zadania. Nie najlepiej wprawdzie, gdyż mnóstwo w niej niedokładności czy nawet błędów, ale występują one zazwyczaj w tego rodzaju wydawnictwach. Autor zresztą na tego rodzaju zarzuty ubezpieczył się we wstępie, zaznaczając, iż niewątpliwie mógł nie uwzględnić i bardzo zasłużonych jednostek, bo brak mu było dostatecznych źródeł, środków i czasu na prowadzenie własnych badań. Wyjaśnienie kuleje na obie nogi. Po pierwsze, autor nie wykorzystał istniejących źródeł, właśnie dotyczących tych personalii i dlatego jego książka adresowa jest pełna błędów. Po drugie, praca

w serii oficjalnej, finansowanej przez Komisję Stulecia, powinna mieć charakter źródłowy, w oparciu również o własne badania a nie tylko o źródła dostępne i opracowane przez innych. Oczywiście dr Kos-Rabcewicz-Zubkowski skorzystał obficie ze swoich już poprzednio opublikowanych prac, to jest z jednej książki i kilku szkiców.

W wydanej obecnie pracy brak jest podstawowych rzeczy jak np. zwięzłej historii Polski, jakieś noty o kulturze polskiej, społecznego i gospodarczego tła oraz uzasadnienia imigracji polskiej do Kanady. Gdzieś, czasem, jakieś zdanie na temat Polski przemennie się między wierszami i to wszystko!

Jedną trzecią część książki autor poświęcił streszczeniu i przypomnieniu prac swoich oraz innych autorów o wielkich polskich imigrantach — nie zapominając o legendarnej postaci Jana z Kolna. Przedstawił wszystkie koligacje rodzinne Barczów, Głobeńskich, Gzowskich itp. — osobistości które można dziś umieścić w gablotkach, ale które nie mają żadnego związku z masową imigracją do tego kraju. Grubo większe znaczenie dla rozwoju Kanady i trwalszym wkładem polskich imigrantów było karczowanie części Manitoby, budowa linii kolejowych — ale o tym praca nie wspomina.

Z grup zawodowych wybijają się inżynierowie. Autor poświęcił im najwięcej miejsca. Cytuje nazwiska, tytuły ogłoszonych prac, a nawet tytuły artykułów ogłoszonych w czasopiśmie, wydawanym przez Stowarzyszenie Techników. Umieścił również nazwiska prezesów tej organizacji, co nie zastępuje opracowania roli i wkładu polskich inżynierów w Kanadzie. Jest to liczna i prężna grupa, o której jest mnóstwo materiału wydrukowanego i żywego, ale w „The Poles in Canada” mamy tylko nazwiska z jakimś dodatkiem w rodzaju gdzie pracuje, jaka jest jego specjalność lub co opublikował.

W rozdziale „Geografowie” znajdujemy m.in. taką informację „Tadeusz Jost rozpoczął nauczanie na Uniwersytecie Ottawskim w 1950 r.”. Ale że jest to profesor zwyczajny, autor szczegółowych prac geograficznych o różnych regionach Kanady, delegat na różne konferencje itp. — o tym ani słowa.

Dlaczego chemików autor zaszczycił wymienieniem tytułów ich prac? Może dlatego, iż brzmią tak tajemniczo.

Ani potrafię ani zamierzam wyszczególniać wszystkich braków, niedopatrzeń, błędów w tej „naukowej” księdze adresowej, ale niektóre są tak rażące, iż niesposób ich przemilczeć.

Dr Jerzy Olszewski był jednym z najwybitniejszych, jeśli nie najwybitniejszym uczonym z dziedziny medycyny spośród Polaków w Kanadzie. W spisie zamieszczonym w „The Poles in Canada” czytamy: „Dr Jerzy Olszewski był profesorem nadzwyczajnym w Instytucie Neurologicznym przy McGill University”. Koniec. Zmarły nagle przed czterema laty dr Olszewski był profesorem zwyczajnym Uniwersytetu w Toronto, kierownikiem

Instytutu Neurologicznego. W McGill rozpoczął pracę, stamtąd przeniósł się do Sasakatoon, gdzie był profesorem zwyczajnym a wreszcie do Toronto. Był członkiem najpoważniejszych międzynarodowych instytutów naukowych, w tym PAN-u. To żadna tajemnica ani prywatne wiadomości. Nie! Można było wiele się dowiedzieć chociażby z nekrologów umieszczonych w prasie torontońskiej, ze sprawozdań z akademii ku jego czci w Instytucie Bantinga. Źródła są, trzeba ich tylko szukać. Uwaga ta dotyczy nie tylko informacji o medycynie, ale bodajże prawie o wszystkim.

Niewątpliwie bezbłędna jest autobiografia autora. Napisana w trzeciej osobie, jest niewątpliwie najobszerniejsza jeśli chodzi o osoby współczesne. Dr Kos-Rabcewicz-Zubkowski wydaje się bardzo słabo orientować w czymkolwiek poza swoim bliższym i dalszym gronem — takim specyficznym *establishment*. Zdumiewająca jest „naukowa” powierzchowność czy płycizna autora. Wiadomo mu, np. że Danuta Bieńkowska jest profesorem w Toronto, ale nie wie iż jest też pisarzem i poetką, aczkolwiek wie, że Bohdan Czaykowski, profesor w Vancouver, jest poetą. Nic nie wie o najwybitniejszym poecie i tłumaczu Wacławie Iwaniuku, nie zna książek Zofii Bohdanowiczowej, Jerzego Grobickiego, Bolesława Pomiana, Władysława Włodkowskiego, Andrzeja Buszy. O najwybitniejszym muzyku-kompozytorze polskiego pochodzenia, Walterze Buczyńskim, nie ma żadnej wzmianki, ale za to można się dowiedzieć, iż p. Adelina Czapska „wywoczyła wielu śpiewaków w Montrealu” a p. Pylko-Zagozdon jest „doskonałą śpiewaczką — mezzo-sopran”. Tego typu rewelacji jest więcej, szczególnie gdy chodzi o Montreal a więc miejsce zamieszkania autora.

Ciekawe np. byłoby dowiedzieć się dlaczego brak w tej książce wzmianki o Funduszu im. A. Mickiewicza, a więc o najstarszej instytucji zajmującej się pracą oświatowo-kulturalną, która przyznaje stypendia młodzieży akademickiej i nagrody uczniom szkół polonijnych. Wreszcie jest to jedyna instytucja, która ustanowiła nagrody za twórczość artystyczną.

Wkładem Polaków w obronę tego kraju jest dla autora obok przypomnienia historycznych postaci z XVIII i XIX wieku, pilot A. Młynarski, który zginął w 1944 r. i został pośmiertnie odznaczony Victoria Cross. Ale co współcześnie? Synowie nawet powojennych już imigrantów są w siłach zbrojnych Kanady. Nie tylko na stanowiskach dowódczych, ale i szkoleniowych. Są konstruktorami, wychowawcami i dowódcami. Bardzo ubożuchny jest rozdział „Religia”. Autor miał do dyspozycji maszynopis pracy ks. S. Puchniaka o Zgromadzeniu Oblatów w Kanadzie i na jej podstawie mógł podać wiele ciekawego materiału odnośnie tego zakonu. Mógł sięgnąć do dziejów OO. Oblatów w Polsce na podstawie książek pamiątkowych kilku parafii. Nie uwzględnił innych zakonów a przecież w Ontario pierwsze parafie — poza Wilnem — zorganizowali OO. Zmartwychwstańcy,

w Montrealu — OO. Franciszkanie, a później przybyli tu inni, zarówno księża zakonnicy jak i diecezjalni.

O wydziałach slawistycznych na wszystkich uczelniach — z wyjątkiem Uniwersytetu Montrealskiego — nie ma nic, poza nazwiskami wykładowców-Polaków. Departament Studiów Slawistycznych Uniwersytetu Montrealskiego jest oczywiście bardzo bliski sercu autora. Był jego sekretarzem i wykładowcą. Tam rozpoczęła się jego kanadyjska kariera. Bardzo to ciepły i serdeczny rozdział. Wręcz wzruszająca jest lojalność i atencja wobec organizatora i dyrektora departamentu prof. T. Domaradzkiego i całego zespołu pracowników i władz uniwersyteckich. Otrzymaliśmy nie tylko pełny obraz prac i dokonań tego Departamentu ale dr Kos-Rabcewicz-Zubkowski poinformował nas również o wszystkich orderach i odznaczeniach jakie posiada prof. Domaradzki. Brak, niestety, podobnych, *bardzo zasadniczych*, danych jeśli idzie o innych członków „*establishmentu*”. A szkoda, bo przecież w ten sposób powstała ogromna luka, utrudniająca należytą oceną ich wkładu w życie i rozwój Kanady. Te ordery stanowią bowiem ich najistotniejszy wkład!

Równie cenną i rewelacyjną jest informacja o „Canadian Inter-American Research Institute”. Do władz tej instytucji wchodzi: pp. T. F. Domaradzki, L. Kos-Rabcewicz-Zubkowski, J. Korey-Krzeczkowski i T. Romer. To jakaś bardzo ważna instytucja. Sprytnie zakamufLOWANA podpora Kanady a nie, jakby się komuś mogło wydawać, zalegalizowana fikcja.

Autor w ogóle nie dostrzegł polskiego wkładu w podstawy życia tego kraju, w wychowanie najbardziej autentycznych autochtonów, to jest Indian. Nieznani są mu kierownicy szkół, nauczyciele w rezerwach indiańskich. To oni w najtrudniejszych i najbardziej prymitywnych warunkach spełniali liczne funkcje publiczne. Ich wkład jest realny, bardziej istotny aniżeli dziesiątek osób tak skrętnie wymienionych przez autora. Nie zarejestrował chociażby Radeckich, Mazewskich, Ramczykowskich i Żmigrodzkich!

Nie zanotował też dr Kos-Rabcewicz-Zubkowski nikogo z wcale licznej grupy nauczycieli szkół podstawowych, średnich, zawodowych. Poza pp. Haidaszem, Rockiem i Tatarską nie zna działaczy politycznych, nawet zasiadających w ontaryjskiej Izbie Ustawodawczej, a więc posłów B. Newmana, i P. Yakabuskiego. Naturalnie nic nie wie o działaczach politycznych nie posiadających mandatów, ale odgrywających wcale ważne role. Nie uznał za godnych wymienienia plejady pracowników państwowych, wśród których nie brak osób zajmujących odpowiedzialne stanowiska. Przepraszam: wymienił jednego.

Dr Kos-Rabcewicz-Zubkowski opracowywał „złotą księgę” znakomitych Polaków w Kanadzie. Powinien więc być uwzględniony tych, o których wspomnieliśmy i wielu innych, a nie ograniczyć się do danych, które można było łatwo znaleźć, do danych często zarówno nieścisłych jak i przestarzałych. To nie jest

historia Polaków w Kanadzie i ich wkład w rozwój tego kraju, ale, jak powiedziałem już, najobszerniejsza księga adresowa z odnośnikami. Można i tak!

Benedykt HEYDENKORN

Victor Turek, *Poles in Manitoba*. Foreword by William J. Rose, Edited & with an Introduction by Benedict Heydenkorn, Polish Research Institute in Canada, Toronto, Ont. 1967; pp. XVI-339.

William B. Makowski, *History and Integration of Poles in Canada*, Foreword by John Diefenbaker, Canadian Polish Congress, Peninsula Niagara, 1968, pp. 274.

Ludwik Kos-Rabecwicz-Zubkowski, *The Poles in Canada*, Canada Ethnica VII, Ottawa-Montreal 1968.

Toronto, Tronto, Trana

Dla przeciętnego Polaka z kraju — żeby użyć tego niewygodnego przymiotnika-epitetu — na pojęcie Kanady składają się dwa naczelnie mity. Pierwszy z nich pochodzi jeszcze z książki Fiedlera o „krajnie pachnącej żywicą”, drugi jest już mitem wojennym, mitem zakompleksionym można powiedzieć. W slangu cwaniaków, czyli tych, co wiedzą jak żyć, słowo „Kanada” zastąpiło przedwojenne „Eldorado” i oznaczało coś w rodzaju „żyły złota”, „krajny mlekiem i miodem płynącej” itd. „Wiesz, tam dopiero jest Kanada, mówię ci” — tak określano jakieś miasto w Polsce gdzie łatwo się było dorobić.

Tak więc Kanada ma swą mitologię w Polsce, i jest popularnym krajem do marzeń o lepszej przyszłości.

Dla mnie, mieszkającego jakiś czas we Francji i Anglii, Kanada wydawała się czymś bardziej konkretnym. „Kanada jest szczęśliwym połączeniem cech brytyjskich i francuskich” wyczytałem w bogato ilustrowanej broszurze o Kanadzie, uwierzyłem w to, i tak też napisałem w formularzu emigracyjnym odpowiadając na pytanie: „Dlaczego pragnie Pan migrować do Kanady?”.

Po złożeniu papierów nastąpiła dłuższa przerwa w korespondencji między mną a Urzędem Emigracyjnym. Nie otrzymywałem odpowiedzi. Teraz wiedziałbym, że *bona fide* napisałem coś, czego Kanadyjczycy nie bardzo lubią. Nie lubią oni ani porównań z Europą, ani też nie uznają tzw. „wpływów”. Gdy ktoś mówi o wpływach brytyjskich lub francuskich — to naraża się albo na przykrą odpowiedź, albo też na pogardliwe wzruszenie ramio-

* Jadwiga Jurkszus i Adam Tomaszewscy: *Toronto Tronto Trana*, Toronto, Kanada, 1967 — Wydawca: Autorzy i Czytelnicy.

nami. I może słusznie. Elementy brytyjskie i francuskie nie stopiły się w żadną całość. I jedno i drugie mało zresztą przypominają swe kraje pochodzenia. Kanada jest zupełnie inna niż to sobie może wyobrazić ktokolwiek zza oceanu. Najwięcej jest wpływów amerykańskich i wiele codziennych urządzeń jak i np. język potoczny wzorowanych jest na tym wielkim sąsiedzie. Europejczycy nie są specjalnie cenieni dokąd nie wykażą się *Canadian experience*, co jest sprawą długą, żmudną i trudną. Najlepiej jest tutaj być rodowitym Kanadyjczykiem irlandzkiego pochodzenia, lub Amerykaninem. Te wszystkie myśli przyszedł mi do głowy gdy otwarłem książkę Jadwigi i Adama Tomaszewskich — dwojga podróżników, dziennikarzy i krajoznawców żyjących w Toronto od lat. Ich książka jest tutaj popularna i wszyscy ją czytają. Jest to interesujący zbiór reportaży i esejów dwojga ludzi zaadaptowanych i zasiedziały emigrantów, którzy znaleźli „swoją” Kanadę w tej obiektywnie istniejącej. Książka jest interesująca i napisana ze „słowiańską uczuciowością” — jakby to określił każdy Anglosas. Jest rzeczywiście coś wzruszającego w zaangażowaniu autorów.

Szczególnie zwracającym uwagę czytelnika reportażem jest ten tytułowy: „Toronto, Tronto, Trana”. Ostre widzenie spraw ludzkich i wnikliwa analiza, powiedziałbym, socjologiczna oddają atmosferę tego miasta *prawie* bezbłędnie. „Prawie”, bo jest to analiza z *happy end*-em czyli według teorii, że żyjemy w czasach postępu i że wszystko idzie ku lepszemu. Niedługo żyć będziemy w „najlepszym ze wszystkich światów”.

A Toronto jest rzeczywiście miastem trudnym do sprecyzowania przez swoją złożoność. Gdy autorzy piszą o ekskluzywnych dzielnicach rezydencjalnych ludzi bogatych, dla których futra nurkowe i brylanty są sprawami codziennymi i zwykłymi — łatwo sobie przypomnieć te dostatnie domy położone w pięknych parkach, białe wśród zieleni, często stylizowane na secesję lub coś jeszcze starszego. O wiele trudniej jest jednak coś powiedzieć o samych ludziach żyjących tam, bo są oni dla przeciętnego mieszkańca Toronta niewidzialni. Może moglibyśmy ich podziwiać w niedzielę, wchodzących do kościoła, gdyby nie fakt, że liczba sekt religijnych przekracza tutaj tuzin, nie mówiąc już o ilości kościołów i kaplic. Toronto nie ma jednak nic z atmosfery miasta kościołów w rodzaju jakiegoś miasta europejskiego. Religijność jest tutaj raczej sprawą wyznawaną „na zewnątrz” a nie „do wewnątrz”. Tak zwane wyższe sfery w Anglii czy we Francji pokazują się często na premierach teatralnych, wyścigach konnych, turniejach tenisowych, różnego rodzaju otwarciach i inauguracjach. Wtedy tak zwany szary tłum ma przyjemność oglądania i podziwiania możnych tego świata. Tutaj w Toronto, ludzie bogaci robią po prostu pieniądze. Nie odznaczają się ani arystokratycznym wyglądem, ani wyszukaną elegancją, ani sposobem bycia. Czasem bogate kobiety mają powieszoną na sobie tę przysłowiową kwotę 2 tysięcy dolarów w różnej formie: nurki lub biżuteria.

Sposób bycia mężczyzn czy kobiet nie wyróżnia ich spośród innych ludzi. Są chyba tylko bardziej *tough* — to znaczy twardzi, szorstcy i nieprzejednani. Tutaj wkraczamy w sferę nie tyle socjologiczną, ale, powiedziałbym, zwyczajów i obyczajów życia codziennego. Pod żadnym pozorem nie mówi się tutaj: „dziękuję”, „proszę” czy też: „jak się masz”. Przy otwieraniu drzwi wszyscy przepychają się bez żadnych inhibicji. Wyniosły arystokrata angielski, czy francuski król perfum są ludźmi niesłuchanie wyszukanych manier. A nowobogaccy starają się naśladować styl bycia dobrze urodzonych. Tutaj uprzejmość oznacza słabość, a więc ubóstwo. Gdy się ma znaczenie nie trzeba być uprzejmym. A gdy się dąży do czegoś, tym bardziej nie trzeba przestrzegać żadnych zasad. Typ „nowej arystokracji” nie został sprecyzowany poza ostentacyjnie swobodne zachowanie: „bo ja mam kupę forsy”. Kanadyjczycy mówią wolno, wolniej niż Anglicy i często z trudem dobierają słów. Pasjonującym tematem byłaby różnica w cenie jakiegoś dania w różnych barach torontońskich. Nie ma też zwyczaju rozmawiania z jakimś przypadkowo spotkanym nieznanym. Moda męska obejmuje szczególną troskę o ręce, co jest jakoś uderzające dla Europejczyka. Czyżby chęć zademonstrowania, że nie pracuje się fizycznie? Panowie mają manicure i noszą złote sygnety, czasem po kilka na każdej ręce, często z wyszukanymi esami-floresami. Całe życie kulturalne ma natomiast charakter marginesowy. Niebardzo chodzi się na premiery teatralne, bo ich tak niewiele tutaj. Czy też na koncerty. A nie powiem już nic o współczesnym malarstwie kanadyjskim, bo nie potrafiłbym tego ująć w słowa. Snobizm na sztukę oblicza się ceną artykułów, niewiele wiem o potrzebie jej.

Ktoś mógłby powiedzieć, że staram się w jakiś sposób wykrzywić obraz Torontończyka, bo krytykować jest zawsze łatwo. Tymczasem to, co widzę tutaj nie wywołuje we mnie niesmaku, ale po prostu nasuwa mi pytanie: „czy to nie jest może nowy typ zamożnego posiadacza, czy wszystkie normy europejskie nie skończyły się razem z Drugą Wojną Światową, po której cała europejska tradycja stała się dostępna przeciętnemu posiadaczowi dolarów i w ten sposób stała się mniej cenna, zdewaluowała się i stała się tania? Nie ma czasu na tradycję, czy uznane zwyczaje poza zamknięciem barów w niedzielę, który jest dawnym zwyczajem purytańskim nie przestrzegani już teraz ani w Szkocji ani w Anglii. Chodzi o dzień dzisiejszy, który jest inny, nowy i przyniesie inne jutro. Tradycja ma smak wakacyjnej *tour'y*, z opłaconym biletem powrotnym. Liczne getta narodościowe rozrzucone po całym Toronto są sprawą, która mnie osobiście niepokoi. Przybysze z różnych stron świata nie zintegrowali się, nie zostali wchłonięci przez Kanadę. Tę sprawę poruszają autorzy z właściwą im przenikliwością. Ale wydzwięk tego problemu jest negatywny. Skoro „nowi” Kanadyjczycy potrafili jedynie sprawić sobie telewizor, amerykański samochód i urządzić tak zwany *recreation-room* — to świadczy to jedynie o materialnej stronie ich życia. A więc i oni zatrzymali się właśnie

w sferze materialnej codzienności. Ale żyjąc tylko między sobą nie wyszli poza swą rodzimą wieś w Kalabrii, czy Tarnopolskim. Ich sąsiadem nie jest rodowity Kanadyjczyk ale ich kum z dalekiego kraju ojczystego, ze scenerią wiejską a nie miejską. W Toronto cudzoziemskie getta są rezerwatami prowincjonalizmu. Emigranci przyjechali, dorobili się więcej lub mniej, ale nie zmienili się od czasów swej młodości. Ciekaw jestem czy mają wielu kanadyjskich przyjaciół, czy spotykają się z tubylcami poza koniecznym załatwianiem interesów? Jestem przekonany, że wielu z nich nie ma żadnych spraw wspólnych z Kanadyjczykami. Dlaczego? Polacy angielscy są często bardziej angielscy niż sami Anglicy. To samo można powiedzieć o Polakach francuskich lub amerykańskich. A Polacy kanadyjscy? Owszem, żyją wygodnie. Poza nielicznymi wyjątkami nie wyszli jednak poza swoje getto. Dlaczego nie wchłonęli czegoś typowego, kanadyjskiego, prócz, powiedzmy, *Uninvolvement*, czyli „każdy sobie rzepkę skrobie”? Myślę, że trudność polega na tym, że jest tutaj niezliczona ilość elementów narodowościowych i że nie wiadomo też jak zdefiniować kanadyjskość Toronto. Co jest w nim kanadyjskie, a co narodowościowe, a co kosmopolityczne. Kanadyjskość jest może za świeża jeszcze, żeby ją zdefiniować, żeby się udzieliła przybyłym. Czyżby Kanada była miejscem nowego społeczeństwa, którego oblicza niesposób jeszcze odgadnąć? Może będzie to społeczeństwo bezklasowe, ale za to kastowe, według stanu konta bankowego, może jeszcze według innych kryteriów podziału: według charakteru mieszkańców, ich temperamentu itd.

Jest coś w akcentowaniu „sportowego wyglądu”, który uderza tutaj na ulicy. Wszyscy zdają się wracać „z ryb”, z hokeja lub farmy. Wiatrówki, grube buty, spodnie z grubego materiału, białe skarpety. Ktoś mógłby pomyśleć, że przyjechali do miasta na jeden dzień załatwiać interesy. Nie, spotyka się ich codziennie, tych samych. Może ta „sportowość” jest jedną z cech Kanadyjskich? Może nikt nie ma jeszcze czasu na tworzenie tradycji lub charakteru miasta? Małe prywatne *bungalow*’y przeciętnych Kanadyjczyków mają atmosferę kempingu, prawie wakacyjnego. Są inne niż domki Anglików, bardziej „domowe”, prywatne — w sensie europejskim tego słowa. Są budowane z pośpiechem, w którym tylko użytkowość grała jakąś rolę. Wszystkie druty telefoniczne i elektryczne wiszą na zewnątrz i są regularnie przerywane ciężarem śniegu w zimie.

Autorzy piszą o budowie nowego uderzająco nowoczesnego City Hall’u, który kosztował poprzedniego burmistrza miasta porażkę w wyborach, a następnie stał się dumą jego mieszkańców. Albo o tym, że corocznie najlepsi artyści czy naukowcy wyjeżdżają do Stanów. To są niepokojące fakty. Czyżby niektórzy mieszkańcy tego miasta traktowali je zupełnie bezosobowo, tak jakby przyjechali tutaj na chwilę, na krótko i już jutro wyjadą dalej? Może taka jest nowoczesna świadomość miejsca i kraju w którym się żyje? Czyżby sceneria miasta miała być bezosobowa, nie oddziaływująca na nikogo?

Czy można więc reportaż z historii Toronta zakończyć optymistycznie? Nie wiem. Może nowi przybysze zastąpią lepiej tych, co wyjechali? I będą bardziej „osobiści” w swym stosunku do miejsca, w którym będą żyć? O ile mamy myśleć według tych kategorii, a nie np. według zupełnie nowych, nowoczesnych, jeszcze nie sprecyzowanych?

Tak więc reportaże Jadwigi i Adama Tomaszewskich są pełne kolorytu miejscowego, są napisane z nerwem i talentem. Są obliczone na tego kulturalniejszego czytelnika, który dyskutuje, przynajmniej z samym sobą, problemy otaczającego go świata. Albo i ze swymi przyjaciółmi, bo przecież nie bądzmy pesymistami: ludzie się spotykają i dyskutują różne problemy. Jest tylko może za mało tych, którzy prowokują dyskusje. Albo też i dyskusje obracają się tylko wokół pewnej warstwy codzienności.

Mieczysław SPŁAWIŃSKI

« Ostatni polscy rycerze »

Na półkach księgarskich, nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej w Londynie, ukazała się książka Pawła Starzeńskiego, pt. *Ostatni Polscy Rycerze*. Autor, wieloletni urzędnik MSZ'u, sekretarz polityczny min. Becka w latach 1936-1939, opisuje — na tle osobistych wspomnień — dzieje sformowania i walk 1-ej Dywizji Pancerniej, w której służył, zaczynając od zwykłego ułana, jako redaktor i współtwórca *Dziennika Żołnierza*.

Poniżej, w charakterze recenzji, drukujemy następujący list do autora.

Kochany Pawełku,

Piszę pod istotnym wrażeniem Twojej książki. Nie myśl, że popadam w koleżeńską przesadę, lub okolicznościową apologetykę. Nic podobnego. Z dobrą książką jest jak z dobrym przemówieniem. Według niezrównanej recepty Clemenceau, trzeba mieć coś do powiedzenia, należy to powiedzieć, a kiedy się powiedziało, należy skończyć.

Książka Twoja wiernie trzyma się tej zasady. Ale to nie wszystko. Nie ma w niej ani cienia przesady, czy emocjonalizmu. Jest to, w następstwie, produkt zarówno gorącego serca, jak chłodnej obserwacji i analitycznego spojrzenia na ludzi i wypadki.

Oblicze ideologiczne i polityczne autora — jest wyraźne. Ale — rzecz niełatwa — w tym co pisze nie ma ani śladu napastliwości, mimo że okazji do tego nie brak. Jest dużo odważnej

krzyki — bez niej książka byłaby mdła — ale nigdzie, w żadnym momencie nie pada ani jedno słowo, którego wydźwięk mógłby razić. Maniery autora, wystawionego na wiele prób, są zawsze bez zarzutu. Jego dowcip jest dyskretny, sylwetki ludzi, kreślone kilku oszczędzonymi liniami, mimo że zarysowane ostro i wyraziście, nie zniżają się nigdy do złośliwej karykatury. To tylko sami portretowani, czasami, stroją miny — o które nie można obwiniać autora. Weź redaktora *Słowa* (str. 28): „W pierwszym numerze swego ukochanego pisma, Mackiewicz wylał całą żołąć na rząd Sławoja, potępił Becka, z odpowiedzialności za katastrofę wojenną wyłączył Sikorskiego, Żeligowskiego, kogoś tam jeszcze i *siebie samego*”. A potem, ten sam wielki Europejczyk i Mąż Stanu, dopytujący się autora, spotkanego w Londynie, u zbiegu Green Park i Piccadilly „gdzie w tym niezyczliwym mieście można dostać *ogórki kiszzone*?” (str. 67). A Generał Sikorski? Opowiadający w Gasku, w swej tzw. „kwaterze polowej” o podróży do Rosji i rozmowach ze Stalinem: „Stawiam na Stalina, z którym miałem dobre rozmowy, a gdy nie chciały ruszyć z miejsca, oświadczyłem mu: gdy Władysław Sikorski mówi tak, to jest tak, gdy Władysław Sikorski mówi nie, to jest nie, gdy Władysław Sikorski milczy, to należy się mieć na baczności”. Czy można ten autoportret ulepszyć? Weź znakomity szkic sylwety Generała Sosnkowskiego (str. 103-104), „zatraskanie” Lipskiego (str. 112) a obok tych luminarzy — kilku kreskami sporządzona postać Aunt Amy (str. 158), gdy odprowadzając Cię — Pierwsza Pancerna opuszczała Szkocję — „stała chuda, drobna nadal na progu i robiła dyskretne ruchy ręką, które się układały w kształt maleńkiego krzyża”.

Zachwycające są również opisy natury i zwierząt. Jest ich mnóstwo. Rozsiane są hojną ręką po całej książce. Żaden z nich nie jest cikliwy, żaden nie powtarza się. W parku Lorda Dungalss’a namioty stoją „pod starymi gonnymi sosnami o grubych odziomkach, pięknie czerwieniejących jeśli padły na nie promienie zachodzącego słońca”. Tamże (str. 61) późnym wieczorem, „wystarczyło odejść kilkaset kroków od namiotu by móc obserwować i przysłuchiwać się chrapaniu słońek na ciągu...” Albo opis *grouse’a*: „ładny to ptak, nieco większy od naszej kuropatwy, skrzydła ma ciemne, prawie czarne od góry, jasne od dołu. Ufarbowanie przodu podobne trochę do słonki, nogi opierzone, kogut ma czerwoną oprawę nad oczami... Gdy spłoszone stadko zapadnie w gęstwę wrzósów, kogut który rości sobie pretensje do przywództwa, wychyla głowę lub nawet odważnie cały korpus pokazuje i głośno skrzeczy... GO BACK, GO BACK”.

Pyszny również, jakby u Weysenhoffa, jest opis kosa: „Kos jest urodzonym solistą, nie dla niego duety, co dopiero chóry, w których zagubiłaby się jego własna aria...”

Albo taki wstęp, przed bitwą, daleko za Sassy: „...brakowało jeszcze kilku minut do chwili otwarcia *barrage’u*. Kornelius zgasił motor jeepa, był spokój zupełny, słyszać było tylko suchy

trzask koników polnych, baraszkujących wesoło w gęstwie strawianej, nieskoszonej pszenicy..."

Zacytowałem Ci kilka zaledwie wyjątków z tej świetnej książki, którą, Pawełku kochany, *musisz przeczytać!!*

A gdy dojdiesz do dwóch ostatnich stron, do defilady w Bredzie, gdy cicho, cichutko staniesz — tak, by Cię nikt nie zauważył, za ppor. Gorayskim, i usłyszysz nagle głos jego: „patrz, tam mój pułk idzie” — i Tobie, tak jak wszystkim, którzy tę przepiękną książkę czytają — zwilgotnieją oczy.

Twój

Jan WEINSTEIN

Nadesłane nowości wydawnicze

- STALIŃSKI (Tomasz). *Am Abgrund der Macht*. Przełożyła z polskiego Wanda Bronska-Pampuch. Str. 359. (Wyd. Verlag Kurt Desch, München, 1968).
- Kosynierzy Warszawscy. Historia 303 Dywizjonu Myśliwskiego Warszawskiego im. Tadeusza Kościuszki. Zebrał, opracował i wydał Kazimierz WĘGRZECKI. Str. 506 i 2 nlb. (Londyn, 1968, Skład Główny, Veritas Foundation, Londyn).
- ŁOWCZYŃSKI (Gustaw). *Polak jako żołnierz i moje wspomnienia ze służby żołnierskiej 1914-1918*. Str. 235 i 3 nlb. Ilustracje: Janusz Bruchalski. (Nakładem autora, Londyn, 1968, cena 28 sh.).
- CLAROTTI (Janina). *Kryzys rodzi-ny*. Str. 127 i 1 nlb. (Wyd. Odnova, Ltd., Londyn).
- BRAUN (Jerzy). *Ekumenizm w uchwałach soboru i w okresie posoborowym*. Str. 74 i 6 nlb. (Wyd. Odnova, Ltd., Londyn, 1968).
- STRZAŁKOWSKI (Wiesław). *Don Luis i inne opowiadania*. Str. 105 i 7 nlb. Okładka M. Szyszko-Bohusz. (Skład Główny, Veritas Foundation, Londyn, cena 10 sh.).
- PANKOWSKI (Marian). *Teatrowanie nad świętym barszczem*. Str. 40. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1968).
- ŁAWRYNOWICZ (Zygmunt). *Syn marnotrawny i inne wiersze (1954-1960)*. Str. 110 i 2 nlb. Okładka Rostaw Szaybo. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1968).
- PAWEŁ VI. *Encyklika o popieraniu rozwoju ludów (Populorum progressio)*. Str. 172 i 4 nlb. (Wyd. Editions du Dialogue, Paris, 1968).
- Ośrodek Polski na mapie Londynu*. Komunikat Informacyjny Nr 10 Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego w Londynie. Str. 48. (Wrzesień, 1968).
- JURKIEWICZ (Mieczysław). *Polska szkoła średnia na obczyźnie*. Les Ageux 1945-1967. Str. 225. (Na prawach rękopisu. Powielacz. Całość cztery zeszyty. Paryż, 1968).
- BOGUSŁAWSKA (Anna). *Początkowa nauka czytania*. Str. 120. Poradnik Pedagogiczny, Zeszyt pierwszy. (Wyd. Zrzeszenie Nauczycielstwa Polskiego Zagranicą, Londyn, 1968).

Kalendarz Polski na rok 1969. Rocznik I, pod redakcją Dr. inż. Antoniego Gładysza. Str. 336. (Wydawnictwo „Promyk”, 102 Main St., POBox 383 Helmetta, New Jersey, 08828, cena dol. 2,75).

KURS WIEDZY O POLSCE WSPÓŁCZESNEJ. Powielacz. Wydał Instytut Badania zagadnień krajowych, 9, Princes Gardens, Londyn, S.W.7. Kurs obejmuje następujące opracowania: Zofia Hołub-Pacewiczowa — *Terytorium Polski*. Opis geograficzny; Tytus Komarnicki — *Polska Niepodległa (1918-1945): Jej powstanie, dzieje w okresie przed i w czasie II Wojny Światowej*; Witold Czerwiński — *Rozwój gospodarczy Polski Niepodległej*; Józef Poniatowski — *Ludność Polski*; Jerzy Gawenda — *Ustrój Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej i panujący w niej system polityczny*; B. Hełczyński — *Szkolnictwo*; B. Hełczyński — *Nauka*; Józef Bujnowski — *Motywy ideowe we współczesnej poezji krajowej*; Maria Danilewiczowa — *Literatura piękna i książka*; Stanisław Jachnik — *Siłły Zbrojne w Polsce*; Stanisław J. Paprocki — *Stosunek PRL do Emigracji*; Kazimierz Trębicki — *Kościół katolicki w Polsce współczesnej. Dzieje i aktualna sytuacja*; Janina Miedzińska — *Polityka socjalna (Prawo pracy)*; Józef Poniatowski — *Rolnictwo*; Wiktor Martin — *Polska Rzeczypospolita Ludowa a Rada Wzajemnej Pomocy Gospodarczej*; Alfred Zauberman — *Planowanie gospodarcze w P.R.L.*; Bohdan Stypiński — *Przemysł, spółdzielnie pracy i rzemiosło*; Mieczysław Sokołowski — *Handel wewnętrzny w P.R.L.*; Mieczysław Sokołowski — *Handel zagraniczny P.R.L.*; Leopold Kiełanowski — *Zarys dziejów teatru polskiego w ostatnim Dwudziestoleciu*; Czesław Halski — *Muzyka polska (1895-1930; 1931-1960)*; Maciej Cybulski — *Polskie kino*.

BOGUSZEWSKI (Tadeusz). *Pochylone czoła*. Str. 13. (Przedruk z czasopisma „Nurt”, Rockdale,

NSW, Australia; wyd. Chicago, Listopad 1967).

WARSZAWSKI (Józef). *Ksiądz Dziekan Józef Mickiewicz (Szkic chronologiczny)*. Str. 113-156. (Odbitka z „Ricerche Slavistiche”, Vol. XIV, Roma 1966).

REYCHMAN (Jan). *Likwidacja placówek dyplomatycznych polskich po II i III rozbiórze Rzeczypospolitej*. Str. 301-322. (Odbitka z „Kwartalnika Historycznego”, Rok LXXV, z. 2, 1968).

MANN (Mendel). *Les renards de Samson*. Roman. Str. 219 i 3 nlb. (Wyd. Calmann-Lévy. Collection „Traduit de”, Paryż, 1968, cena F. 13,50).

BERSANO-BEGEY (Marina). *La letteratura polacca*. Nuova edizione aggiornata. Str. 33 i 14 nlb. (Wyd. Sansoni-Accademia, Milano, 1968, cena L. 1000).

GRAHAM (Robert A., S.J.). *The Pope and Poland in world war two*. With a preface by His Eminence John Cardinal Krol, Arcyp. of Philadelphia. Str. 64. (Wyd. Veritas Foundation, Londyn).

Alliance of Friendship. Bulletin No 1, September 1968. Str. 40. (Wyd. Komitet Wykonawczy Związku Przyjaźni Czechosłowacko-Polsko-Ukraińskiego (Chicago)).

DZIEWANOWSKI (K. M.). *King Stanislaw Leszczynski: Some Remarks and Question Marks*. Str. 104-116. (Odbitka z „Jahrbücher für Geschichte Osteuropas”, Band 16, Heft 1/März 1968, wyd. Otto Harrassowitz, Wiesbaden).

SJENKIEVICZ (Henrik). *Selim-Mirza i druge propovetke*. Str. 282 i 2 nlb. (Wyd. Mlado Pokolenje, Beograd, 1967).

ZAMIATIN (Jewgenij). *Lica*. Str. 310. (Wyd. Międzynarodnoje Litteraturnoje Sodruzestwo, New York, 1967).

Historiska och Litteraturhistoriska Studier. 43. Str. 451. (Wyd. Svenska Litteratursällskapet i Finland, Helsingfors, 424, 1968).

DATA	POLITYKA
15-9-68	
16-9-68	Niespodziewane zwycięstwo Socjaldemokratów w wyborach w Szwecji przypisywane jest m.in. wydarzeniom w Czechosłowacji. Komuniści ponieśli zupełną porażkę.
17-9-68	Niemcy Zachodnie zwróciły się o gwarancje do Trzech Mocarstw Zachodnich, że Rosji nie przysługuje prawo interwencji w wewnętrzne sprawy niemieckie na podstawie Karty Atlantycznej.
18-9-68	Niemcy Zachodnie poinformowały Stany Zjednoczone, że w obecnej sytuacji politycznej nie mogą podpisać traktatu o nierozprzestrzenianiu zbrojeń atomowych.
19-9-68	W. Brytania oświadczyła, że jeśli Niemcy Zachodnie zostaną zaatakowane przez Sowiety, to Anglia stanie w obronie swego alianta z Paktu Atlantycznego.
20-9-68	Sowiecka sonda księżycowa okrążyła księżyc i wodowała na Oceanie Indyjskim.
21-9-68	Sowiecka <i>Prawda</i> pisze, że trzeba zmobilizować wszystkie prawdziwe socjalistyczne siły, by rozprawić się z wrogami socjalizmu w Czechosłowacji.

KULTURA I NAUKA

Premier Czernik oświadczył, że mimo restrykcji zachowana będzie wolność twórcza.

Znany poeta Jarosław Seifert zaprotestował w telewizji praskiej przeciw zajęciu przez wojska okupacyjne redakcji pisma *Nova Svoboda* w Ostrawie.

E. Jewtuszenko wystąpił z ostrym protestem wobec inwazji na Czechosłowację.

RÓŻNE

Największe ukraińskie pismo *Svoboda*, wychodzące w Sta. Zjednoczonych, obchodziło 75-lecie swego założenia.

2 września rb. zmarł w Nowym Jorku A. W. Kiełczyński, urzędnik polskiej służby zagranicznej, wieloletni attaché prasowy w poselstwie R.P. w Sofii, przyjaciel naszego pisma.

M. Szołochow, autor „Cichego Donu”, apoteozując interwencję wezwał żołnierzy sowieckich w Czechosłowacji, by byli również dobrymi dyplomatami.

„Podstawowe Zasady Rumuńskiej Polityki Zagranicznej” ogłoszone w formie książkowej w Rumunii w dużym nakładzie, stały się *best-seller'em*.

Zmarł w Nowym Jorku dr Fedor Hodza, wiceprezes Międzynarodowej Unii Chłopskiej, sekretarz gen. Słowackiej (agrarnej) partii Demokratycznej.

Okupowany od dwóch miesięcy Uniwersytet w Meksyku został zajęty przez wojsko. Studentów i profesorów usunięto siłą. Ponad 500 aresztowanych.

544.000 bezrobotnych we Francji, tj. o 146.000 więcej niż w r.ub.

Biskup Włocławski ks. A. Pawłowski zginął w wypadku samochodowym. Miał lat 65.

DATA	POLITYKA
22-9-68	17 osób z 7 krajów zachodnioeuropejskich zostało aresztowanych przez władze komunistyczne za rozdawanie ulotek o Czechosłowacji w Moskwie, Warszawie, Budapeszcie i Sofii. Osoby te należały do „Międzynarodówki Przeciwników Wojny”, która protestowała do-tychczas przeciw wojnie wietnamskiej.
23-9-68	Dania postanowiła „zamrozić” stosunki z krajami, które wzięły udział w agresji Czechosłowacji. Liczni zabici i ranni w walce studentów w Meksyku z policją. Uniwersytecki komitet strajkowy protestował przeciw dymisji rekto-ra Barros Sierra.
24-9-68	Prezydent Tito, przemawiając z okazji wizyty cesarza Haile Selas-sie wezwał wszystkie państwa niezaangażowane do podjęcia wspólnej akcji, by przeciwstawić się tendencjom wybuchu nowego konflik-tu światowego.
25-9-68	Sowiety oskarżyły Izrael o prowokowanie wojny z państwami arabskimi.
26-9-68	Rząd Czechosłowacki, wskutek presji sowieckiej, usunął ze sta-nowisk dyrektorów radia i telewizji.
27-9-68	Sowiecka <i>Prawda</i> zamieszcza artykuł wstępny uzasadniający in-wazję na Czechosłowację. <i>Prawda</i> twierdzi, że państwa „socjalistycz-ne” mają prawo decydowania o swym losie, ale nie mają prawa odejścia od socjalizmu.
28-9-68	W dniu przyjazdu prezydenta de Gaulle’a do Bonn francuski minister Spraw Zagranicznych Debré odrzucił zachodnioniemiecki plan obniżenia taryf celnych między Wspólnym Rynkiem a W. Bry-tanią, jako pierwszego kroku w kierunku przystąpienia W. Bryta-nii do EWG.

KULTURA I NAUKA

W Londynie ukazał się angielski przekład książki Sołżenicyna „Oddział rakowatych” a we Francji wydano tegoż autora „Pierwszy Krąg”.

Stany Zjednoczone odmówiły wiz zespołowi teatru Jerzego Grotowskiego, w związku z bojkotem kulturalnym państw okupujących Czechosłowację. Zespół stara się o zdobycie sali w Londynie.

RÓŻNE

Wskutek nacisków sowieckich czechosłowacki minister Spraw Zagranicznych J. Hajek podał się do dymisji.

W San Giovanni Rotondo zmarł stygmatyk, Ojciec Pio, uważany przez wielu za świętego.

Prof. S. Leszczyński, współprzewodniczący polsko-brytyjskich konferencji „okrągłego stołu” wyraził na łamach *Times’a* ubolewanie z powodu zawieszenia przez Brytyjczyków konferencji. Nie wyraził jednak ubolewania z powodu udziału P.R.L. w okupacji Czechosłowacji.

W Cleveland, Ohio, odbył się VII Zjazd Kongresu Polonii Amerykańskiej.

Według doniesień z Warszawy J. Putrament zaatakował J. Andrzejewskiego za jego protest wobec inwazji na Czechosłowację.

DATA	POLITYKA
29-9-68	<i>Rude Pravo</i>, <i>Mlada Fronta</i> i <i>Prace</i> zamieściły utrzymane w ostrym tonie odpowiedzi na ataki propagandowe 5 państw okupacyjnych. Biafra kontynuuje walkę. Wyraziła podziękowanie Mao Tse-tungowi za rosnącą pomoc.
30-9-68	Premier Chin komunistycznych Czu En-lai oskarżył Sowiety o koncentrowanie wojsk na granicy z Chinami.
1-10-68	Naczelný dowódca wojsk Układu Warszawskiego marszałek Jakubowski przeprowadził w Bukareszcie rozmowy z przywódcą rumuńskim Ceausescu na temat stosunku obu stron do Układu Warszawskiego.
2-10-68	Przemawiając w Zgromadzeniu Narodowym minister Debré potępił w ostrych słowach interwencję sowiecką w Czechosłowacji, ale wyraził nadzieję że nie stanie się to początkiem powrotu do zimnej wojny.
3-10-68	Delegacja czechosłowacka z Dubczkiem na czele przyjęła sowieckie żądania w sprawie podjęcia koniecznych kroków, by podporządkować prasę i radio „służbie socjalizmowi” i wzmocnić władze partyjne i państwowe poprzez wprowadzenie działaczy prorosyjskich.
4-10-68	Skrajnie prawicowy, „trzeci” kandydat na urząd prezydenta Stanów Zjednoczonych, G. Wallace ogłosił, że wraz z nim o urząd wiceprezydenta ubiegać się będzie były d-ca lotnictwa amerykańskiego gen. Curtis LeMay. Zdaniem wielu obserwatorów wzmacnia to szanse Wallace’a.
5-10-68	Chiny udzielają pomocy Albanii w fortyfikowaniu wybrzeża morskiego.
6-10-68	W Chicago odbył się wiec dyskusyjny, zorganizowany przez Światową Federację polsko-węgierską, na temat Wietnamu, konfliktów rasowych, problemu młodzieżowego etc. Dyskusja była nadana w CBS TV na cały kraj.
6-10-68	Kancelarz NRF Kiesinger oświadczył, że rozwiązanie problemu podzielonych Niemiec może nastąpić tylko poprzez nawiązanie porozumienia z Rosją.

KULTURA I NAUKA

Londyńskie *Wiadomości* przyznały nagrodę firmy „Tazab” L. Tyrmandowi za powieść „Życie towarzyskie i uczuciowe”.

Prof. Witold Kula został wybrany prezesem Międzynarodowego Stowarzyszenia Historii Gospodarczej na VI Kongresie tegoż Stowarzyszenia.

W Londynie ukazały się pierwsze trzy tomy Starego Testamentu, ilustrowanego przez 22 współczesnych malarzy. Stały się one sensacją wydawniczą.

Redaktor organu KC Partii Czechosłowackiej *Polityka*, A. Svoboda, został usunięty ze stanowiska. Uważane to jest za koncesję wobec Rosji.

Prof. E. Goldstuecker, wicerektor Uniwersytetu praskiego i przewodniczący Związku Pisarzy Czechosłowackich, mianowany został profesorem literatury na Uniwersytecie w Sussex w Anglii. Zamierzał on przyjechać tam na rok, jeszcze przed inwazją.

W Warszawie ukazał się „Mały Słownik Języka Polskiego” zawierający 35.000 haseł. Pierwsze wydanie zostało rozkupione w ciągu kilku godzin.

RÓŻNE

Zmarł w Paryżu w wieku lat 73 Oleksander Bojkow, wybitny działacz ukraiński, pierwszy redaktor *Ukraińskiego Słowa*, wychodzącego w Paryżu i założyciel „pierwszej ukraińskiej drukarni w Paryżu”.

Departament Stanu zaprotestował w Moskwie wobec wznowienia zagłuszania audycji „Głosu Ameryki”.

W Melbourne powstało „Towarzystwo Przyjaciół Kultury”. Sekretarzem została p. Krystyna Millicer.

W Londynie urodziły się sześcioraczki. Matka zażywała środki na rozrodczość.

Zespół taneczny polskiej YMCA w Londynie wystąpił w katedrze Św. Pawła, w ramach odbywającego się tam Festiwalu Młodzieży.

Pożar w studio malarskim F. Topolskiego zniszczył wiele dzieł tego malarza.

W Warszawie zmarł Jan Kurnakowicz, jeden z wybitniejszych aktorów sceny polskiej.

W Zakopanym zmarł znany polski narciarz, Andrzej Marusarz.

DATA	POLITYKA
7-10-68	Czechosłowacka Agencja Prasowa ogłosiła wiadomość o ponownym wprowadzeniu cenzury.
8-10-68	Premier sowiecki Kosygin przybył do Finlandii na rozmowy z prezydentem Kokkonen'em. Prasa sowiecka twierdzi, że w Skandynawii szerzą się wpływy niemieckie.
9-10-68	Premier brytyjski Wilson udał się do Gibraltaru na rozmowy z przywódcą rodezyjskim Smithem na temat zakończenia sankcji i wznowienia stosunków między obu krajami.
10-10-68	Wielka Brytania podjęła decyzję wzmocnienia swej floty wojennej na morzu Śródziemnym, by dorównać wzrastającym w tym rejonie sowieckim siłom morskim.
11-10-68	Stany Zjednoczone wystrzeliły raketę typu Apollo 7 z 3 astronautami na pokładzie. Rakietę ma okrążyć 164 razy ziemię i jest pierwszym krokiem w przygotowaniach podróży na księżyc.
12-10-68	A. Dubczek oświadczył w pierwszym przemówieniu po powrocie z Moskwy, że Czechosłowacja nadal będzie realizować program reform uchwalonych po styczniowym Plenum.
13-10-68	Rozmowy premiera Wilsona z przywódcą rodezyjskim Smithem zostały zerwane.
14-10-68	

KULTURA I NAUKA

W Polsce ogłoszono, że rektorzy Wyższych Uczelni będą mianowani przez rząd, a nie jak dotychczas wybierani przez ciała profesorskie.

80-letni prawnik francuski René Cassin otrzymał Pokojową Nagrodę Nobla. Był on jednym z autorów Deklaracji Praw Człowieka i jest przewodniczącym Trybunału Praw Człowieka przy Radzie Europy.

Znany pisarz Teodor Parnicki obchodził podwójny jubileusz: 60-lecie urodzin i 40-lecie pracy twórczej.

Le Monde i *Figaro Littéraire*, wśród kandydatów do literackiej nagrody Nobla wymieniają Witolda Gombrowicza.

RÓŻNE

Przed gmachem sądu w Moskwie, gdzie toczy się proces Pawła Litwinowa, Larysy Daniel i 3 innych osób oskarżonych o „naruszanie godności społeczeństwa sowieckiego” zbierają się grupy protestujących przeciw procesowi, z b. generałem P. Grigorenko na czele. Grigorenko protestuje przeciw niedopuszczeniu go na salę sądową.

Zmarł we Wrocławiu znany pisarz Romuald Cabaj, kierownik redakcji literackiej Polskiego Radia w rozgłośni wrocławskiej, laureat nagrody literackiej Wrocławia.

Zmarł w wieku lat 84 Jean Paulhan, członek Francuskiej Akademii, redaktor *Nouvelle Revue Française*.

Znany reżyser operowy w Niemczech Wschodnich, Horst Bonnet, został skazany na dwa i pół lata więzienia za rozdawanie ulotek protestujących wobec inwazji na Czechosłowację.

Sąd rejonowy w Moskwie skazał na 5 lat zsyłki dr. Maksyma Litwinowa za demonstrowanie przeciw inwazji na Czechosłowację na Placu Czerwonym w Moskwie. Wraz z nim skazano: L. Daniel na 4 lata zsyłki, K. Babickiego — krytyka i lingwistę, na 3 lata. Dwóch innych oskarżonych skazano: robotnika W. Dremljugę na 3 lata łagru, a poetę W. Deloney na 2 lata i 10 miesięcy łagru.

Zmarł w Polsce Nikifor znany krytyki malarz-akwarelista prymitywny.

Listy do Redakcji

Quebec, 28 września 1968.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze

List p. Bohdana Kaweckiego w 6/7 nrze *Kultury* wspomina osobę pułkownika Jerzego Dąmbrowskiego, znanego wszystkim mieszkańcom Wileńszczyzny dowódcy oddziału ochotniczo-partyzanckiego z lat 1918-1920.

Autor listu sugeruje aby ktoś z dawnych żołnierzy tego oddziału spisał jego dzieje zanim ulegną one zapomnieniu. Inicjatywa godna gorącego poparcia; trzeba, póki czas, uchwycić i zachować dla historii te barwne karty naszych walk o wolność, po których pozostała tylko ustna legenda. Sądzę że autor takiego opracowania będzie chciał uzupełnić własne wspomnienia wkładem i współpracą innych podkomendnych Dąmbrowskiego. Byłem sam jednym z nich, choć już z następnego pokolenia, gdyż służyłem w czasie kampanii wrześniowej w 110 pułku ułanów, którego dowódcą był płk. Jerzy Dąmbrowski, zaś zastępcą dowódcy major Henryk Dobrzański, głośny później „Hubal”. Jako ułan z cenzusem byłem przydzielony do pocztu d-cy pułku i byłem stale w jego bliskości aż do rozwiązania przez niego pułku w Janowie pod Kolnem. Byliśmy w kleszczach niemiecko-sowieckich i dalsze prowadzenie akcji bojowej było niemożliwe. Dąmbrowski zwolniwszy nas z żołnierskiej przysięgi, zwołał ochotniczy oddziałek i wrócił się w lasy wileńskie, pod prąd nawały sowieckiej. Zamierzał kontynuować dawne tradycje partyzanckie, choć zdawał sobie sprawę że to walka na straconej pozycji. My z Dobrzańskim i kpt. Maciejem Kalenkiewiczem poszliśmy w 40 koni przez Łomżę, Łochów na Warszawę, która jak skąpe wieści niosły jeszcze się broniła.

Ufam że znajdzie się ktoś z dawnych towarzyszy broni płk. Dąmbrowskiego kto podejmie inicjatywę p. Kaweckiego i spisie ze wspomnień monografię-opowieść o tym świetnym żołnierzu i nieposzlakowanym człowieku. Będę gotów wówczas służyć mu relacją z kampanii wrześniowej która stała się dla Pułkownika gorzkim epilogiem jego życia wojskowego.

Łączę wyrazy szacunku,

Józef BISPING



Londyn, 19 października 1968.

Szanowny Panie Redaktorze,

List Józefa Piłsudskiego, napisany we wrześniu 1908 r. przed wyprawą bezdańską, przytoczony w wyjątkach w zeszycie specjalnym „Kultury”, po-

święconym wydarzeniom w Czechosłowacji — określony został jako list do Ignacego Daszyńskiego. Jest to błąd. Wyjątki z tego listu zacytował po raz pierwszy Ignacy Daszyński w broszurze „Wielki człowiek w Polsce”, Warszawa 1925, str. 5-7, określając go jako list Piłsudskiego „do przyjaciela”. Z broszury Daszyńskiego przedrukowano owe wyjątki w II tomie „Pism-mów-rozkazów”, str. 309-310, wymieniając mylnie Daszyńskiego jako adresata. W rzeczywistości list ten skierowany był do Feliksa Perla. W całości list ten przytoczony został przez Władysława Pobóg-Malinowskiego w jego pracy „Akcja bojowa pod Bezdanami”, Warszawa 1933, str. 27-29, a następnie w II tomie „Pism zbiorowych” Józefa Piłsudskiego, Warszawa 1937, str. 298-300. Nie ma najmniejszych wątpliwości: adresatem listu nie był Ignacy Daszyński, lecz Feliks Perl.

Łączę wyrazy uszanowania,

Adam CIOŁKOSZ



Caracas, 15 października 1968.

Do Redaktora „Kultury”.

Gramatyki siły, i wobec cenzury pokory i milczenia, uczono mnie w Polsce. Na emigracji znalazłem się nie po to, aby się tu tego uczyć ponownie, i to z „łaski” nie urzędu — zasłaniającego się „ważnymi” interesami „państwa i narodu” — ale dużo niżej, bo tylko redakcji „Kultury”, walczącej jakoby o jakieś zasady i swobody.

Niestety, po prawie dwudziestu latach pozytywnego stosunku do „Kultury”, z zalem muszę stwierdzić, że „Kultura” stosuje nie tylko najostrejszy rodzaj cenzury redakcyjnej, ale i prewencyjną ochronę nazwisk swego etatowego Zespołu, z którym przez to, jakiegokolwiek dyskusje są tu mechanicznie wyłączone.

Zapewnianie sobie pozycji aż tak monopolistycznych jest nieco zdumiewające; przypomina to bowiem „Kulturę” krajową, która *nota-bene*, nie mniej niż paryska, rości sobie prawa podobne. Nie jest też dla „Kultury” istotne i ważne, co się do niej pisze, ale niezmiernie ważne, kto pisze. I w tej mierze, przekroczono wszelkie dopuszczalne granice.

W sumie, stanowi więc „Kultura” przykład jak najściślejszej kapliczki publicystyczno-literackiej, w której w dodatku, rozbudziły się dość niewspółmierne ambicje polityczne bez właściwej i nieodzownej w tym przypadku racjonalnej podbudowy ideologicznej.

Niestety, nie potrafię improwizować i pisać o rzeczach miłych, jak i nie potrafię występować w cieniu tzw. „autorytetów”. A w ogóle, nieznosząc orienent spekulacji politycznych i iluzji, a już najbardziej fałszywej i nieczystej łopatologii, którą w miejsce rzeczy konkretnych i racjonalnie uzasadnionych serwuje tu „Kultura” jak z rogu obfitości — „Ewolucjonizm” i koncepcje inne, których tu cytować nie będę — ceniąc zaś wolne słowo — nie mniejsze się w tych ciasnych ramach — nawet jako czytelnik.

W jednym z mych ostatnich listów napisałem Panu otwarcie: że z Waszych bardzo pracowitych zabiegów, wielkiego zapisu historycznego nie będzie. Bo aby taki zapis był, musi być Wielka Wizja i plan. A tego Wam chronicznie brak. Ta wizja, nie może być w dodatku funkcją interesów niczych. Musi być funkcją interesów wyłącznie polskich; i mieć też nie może charakteru wyłącznego politycznego. Bo to już zbankrutowało.

Niestety, nie znalazło to zrozumienia. W „Kulturze” w ogóle nie potrafia zrozumieć, że narodu na nagą politykę mobilizować już nie można. Bo jedynie, mobilizować go może, tylko racjonalna ideologia. A jeśli nawet nie ideologia, to przynajmniej zakres tych pierwszoplanowych i arcyważnych zagadnień, w które wstępuje dziś każdy były marksista, każdy dawny socjalista i każdy robotnik, który kiedyś wierzył w tradycyjne bajki o socjalizmie.

Myszę też, że i „odtrącenie” od marksizmu filozofowie: Baczko, Bauman, Bruss, Hochfeld, Schaff, Żółkowski, Kołakowski i wielu innych, nie przejdą przecież na pozycje „Kultury” — ideologicznie nagie. Jest raczej więcej niż pewne, że ci ludzie pogłębia właśnie ten nowy ruch umysłowy, który nazywa się rewizjonizmem i który tu i tam formuje się jako nowa i konkretna ideologia. Wskazywałem to „Kulturze” kilkanaście lat temu i czemu Pan chyba nie zaprzeczy? Ale o tym w „Kulturze” dyskutować nie podobna. Bo to nie tylko reżym boi się wolnego słowa. Boi się go i „Kultura”. A poza tym, w „Kulturze” wie się wszystko prędzej i lepiej, i to tak, że „mucha nie siada”. W tym miejscu, muszę Panu przypomnieć, podkreślić i zaakcentować, że istotnie, słowo ocenzone, albo całkiem zepchnięte do redakcyjnego kosza, nie stanowi odpowiedzi na słowo wolne.

Na jakiej więc zasadzie moje polemiczne uwagi odnoszące się do nowego „meteorytu” „Kultury”, Leopolda Tyrmanda, — który ma tyle wigoru, że w międzyczasie zdążył nawet rzec się obywatelstwa polskiego i, ni z tego ni z owego, głosi tu Wielką odbudowę moralną; ot tak, z niczego, i w ogóle bez obywatelstwa (coś jakby Felak, któremu jest wszystko jedno) i całkiem bez koniecznych założeń ideologicznych — Pan zaś uwagi te uznał za nieistotne i druku nie warte?

A przecież Tyrmand pragnął tu jak kania deszczu, by go w końcu ktoś zauważył. Sam zaś atakował tu ostro i bez pardonu i wiele bardzo złośliwie i ironicznie zauważył...

Zauważyłem go i stwierdziłem, że w istocie, w zanadru, ma tylko to, co już wszyscy od dawna wiemy. Że chce tu być nie tylko primadonną i jej impresario, ale i swoim własnym adwokatem.

Ale żeby coś tu w ogóle postulować, trzeba co najmniej mieć tu jakieś ogólniejsze założenia polityczno-ideologiczne, których niestety, Tyrmand z kraju nie wyniósł. Wyniósł wprawdzie rzeczy inne, ale nie te, które by tu przedstawiały wartości najwyższe. Bo w ogóle, z kim my tu chcemy szukać kontaktów? Z „anonimowym” narodem i z „anonimową” Polską? Czy z jej wybitniejszymi przedstawicielami, którzy przybывая tu i zabierając głos, powinni powinni umieć przemawiać w jej imieniu.

Ale o czym tu przemawiać? Bo właśnie można sypać starą sieczkę: że terror, że nędza, że cenzura. Ale ostatecznie, co to daje? Należy więc przemawiać nowym, mobilizującym językiem ideologiczno-politycznym. Tyrmandowi, wzorów kierunkowych nie brakło, ale jeśli nie potrafił — jak i nie potrafił Jedlicki — to niech już tylko o literaturze... I niech mu się tu nie roją jakieś Wielkie odnowy moralne. Bo niby jak? I na czym to opierać?

Ale Pan, pilnujący tu z uwagą interesów swych podopiecznych schował tę moją replikę pod sukno. Dlaczego? Może gdyby rzecz była miłą, druku może by się doczekała? Ale że nie była i wykazywała miłą wołania o moralność — w niczym nie umieszczoną, i miłą intelektualnego wypisu — bo przecież nie o formy tu idzie, ale treści, treści jak najbardziej skazane zostały na kosze.

Zatem jakie fermenty intelektualno-polityczne — o których pisze p. Mieroszewski — chce Pan tu kontynuować? I z kim te fermenty? — skoro pierwsza i rzeczowa z Tyrmandem próba polemiki spotkała się z punktu z ochroną nazwiska. Jest to metoda. Stara i znana metoda; kneblowania ust tym, którzy potrafią wyjść ze starego koryta w którym nieustannie sypie się tylko sieczka. Bo nawet listy do „Kultury”, które czasem znaczenie mają

większe od patentowanych artykułów, patentowanych autorów, utracą Pan metodycznie. Wszystko jednak musi mieć swój koniec.

W tych warunkach, dalsze abonowanie „Kultury” uważam za zbyt czyste, i w styczniu, po wyekspirowaniu terminu prenumeraty, proszę mi jej więcej nie wysyłać. Rezygnuję też z wydawnictw Instytutu Literackiego. 147 tomów które dotychczas nabyłem, — na moje potrzeby „upupienia” — w zupełności wystarczą. Nie wątpię oczywiście, że listu tego w „Kulturze” Pan nie zamieści, nie jest to bowiem sprostowanie daty, ani zaprzeczenie...

Ale ja, Panie Redaktorze, nie o tym. Ja o rzeczach znacznie ważniejszych. O ideologii, a także o i tym, by nie było cenzury nie tylko komunistycznej, ale i aby nie było cenzury redakcji „Kultury” jak i nie było ochrony nazwisk. Bo chroniło się tu te nazwiska lat dwadzieścia, i te lat dwadzieścia zmarnowaliśmy. I dziś dopiero pp. Stahl, Zarzewski, Mackiewicz, Axel i nieco Pragier, ale nikt więcej, zaczynają w końcu rozumieć, że to wielkie kokoszenie się „Wielkiej” publicystyki i jej stare orientacje, były po prostu dziecinne i bez sensu.

Wiedziałem to, odkąd tu tylko przybyłem, i właśnie dlatego ja, zupełnie obsesyjnie — tak jak Gombrowicz o młodości i formie — wciąż tylko o tym. O ideologii rewizjonizmu. Być może żem w tych wypisach za mało precyzyjny, ale przecież chyba nie na tyle, aby tego nie rozumieli co inteligentniejsi czytelnicy? i aby to było całkiem nieszkodliwe dla tych, którzy tu od lat sypali i sypią, oczyszczoną sieczkę.

Obecna aktywizacja „Kultury” jest rzeczą godną pochwały i uwagi... Ale jakie tu jest ideologiczne fondo? Na czyją wreszcie i jaką administrację się orientujecie? Bo moment orientacji jest właśnie krytyczny. A może nawet już minął, lub minie — nim się to gdziekolwiek w druku ukaże?

I wreszcie, sprawa ostatnia: czy Wasz „bunt” jest rzeczywiście bardziej realistyczny jeśli chodzi o wschodnią Europę, niż patetyczny socjalizm reprezentowany przez PPS? Ale czy to aby nie te same fondo i ten sam realizm, który śp. Zygmuntowi Zarembie oferował Adam Ciołkosz? „Ze najpierw, trzeba bić się i nie gadać, a po zwycięstwie, jakaś praktyka się ustali”. Oczywiście, demokratyczna... A to właśnie jedna z ostatnich i bodaj najbardziej zasadniczych tez „Kultury” i p. Mierszowskiego.

Teza oczywiście błędna jak i wiele innych, np. teza o „Ewolucjonizmie”, która ostatnio znalazła nawet „potwierdzenie” w szczególnym stosunku Rosji do Czechosłowacji... Wreszcie, czy to ja piałem z zachwyty nad „Końcem wieku ideologii” Raymonda Arona? I czy to ja pieję w zachwycie nad koncepcjami „technostruktur” Kenneth Galbraitha?

Proszę mi wierzyć, wierzyć amatorskiemu publicyście (z żadnej tam czołówki), że publicyści myślą się, i że się właśnie myślą w „Kulturze”. Ale nie chcę tu powoływać się na świadectwa p. K. A. Jeleńskiego. Jednak może Pan uwierzyć w świadectwo najautentyczniejszego przedstawiciela opinii publicznej, na którą Wy w „Kulturze” stale się powołujecie. Ale kto z Was kiedy z opinią rozmawiał? I to tylko ja, usiłując tu w jej imieniu zabrać głos, i nadaremnie.

Droży Panowie, opinii publicznej, którą Wy tu często szafujecie, w ogóle nie ma. I co myśli ona trudno w ogóle powiedzieć. Ale proszę o odrobinę cierpliwości. Co myślą robotnicy i rewizjoniści, wyłożę niedługo w dużej polemicznej książce pt. „Światopogląd i alternatywa rewizjonizmu”.

Beniamin Józef JENNE

Waszyngton, D.C., 19 września 1968.

Drogi Panie Redaktorze,

Artykuł pt. „Za nasz i wasz stalinizm”, w *Kulturze* z sierpnia/września br., powołuje się na list 1000 profesorów wyższych uczelni, wydrukowany w prasie amerykańskiej jako płatne ogłoszenie, w którym protestują oni przeciwko kampanii antysemickiej w Polsce. Dla pełności obrazu pragnę dodać, że *The New York Times* ogłosił w dniu 13 lipca br. moją odpowiedź na ten list, która w polskim tłumaczeniu brzmi następująco:

„Całkowicie uzasadniony protest 1000 profesorów przeciwko obecnej antysemickiej czystce w Polsce (ogłoszenie z 2 lipca) nie poświęca należytej uwagi faktowi, że naród polski nie bierze w tej czystce żadnego udziału i że odbywa się ona wewnątrz partii komunistycznej, gdyż ogromna większość osób czystką dotkniętych należy do jej wybitnych członków.

Naród polski, który nie ma nic do powiedzenia ani w tej sprawie, ani w innych, uważa tę czystkę za sprawę wyłącznie rodzinną obecnych „właścicieli Polski”. I jeśli nikt nie roni łez z powodu usunięcia tak dominujących postaci okresu stalinowskiego, jak Roman Zambrowski, Stefan Żółkiewski, Juliusz Katz-Suchy, Stefan Staszewski i prof. Adam Schaff, to nie dlatego, że są oni Żydami, a dlatego że są komunistami, których naród polski odrzuca w ten sam sposób jak Gomułkę i jego klikę lub generała Moczara i jego tajną policję”.

Łączę wiele serdecznych pozdrowień,

Stefan KORBOŃSKI

Berlin, 28 września 1968.

Szanowny Panie!

Pragnąłbym złożyć krótkie oświadczenie w sprawie, która jak sądzę jest bardzo ważna. Paryski miesięcznik *Horyzonty* w ostatnim wydaniu (15 sierpień/15 wrzesień 1968) opublikował artykuł P. Żegoty pt. „Żydzi w Polsce wczoraj i dziś”. Autor powyższego artykułu wykorzystał (bez podania o tym najmniejszej wzmianki) fragmenty z prasy polskiej ukazujące się w Polsce (zwłaszcza w miesiącach marzec-kwiecień) tylko po to, aby dojść do haniebnej konkluzji, znanej nam dobrze poprzez prawicowych ekstremistów Moczara, jakoby polscy Żydzi byli „zdrajcami” Republiki Polski. P. Żegota powołuje się również na rozmaite informacje, które są bądź to jego własnymi wymysłami, bądź prymitywnymi kłamstwami.

1. P. Żegota utrzymuje, iż Adam Michnik dostarczał mi informacji, które następnie przekazałem rozgłośni RWE.

Chciałbym oświadczyć publicznie, że podczas mojego kilkuletniego pobytu w Warszawie, byłem naocznym świadkiem politycznych wydarzeń i byłem obecny na większości wszystkich burzliwych zgromadzeń na Uniwersytecie Warszawskim. Cokolwiek napisałem lub powiedziałem w Polsce, czy za granicą było oparte na moich własnych spostrzeżeniach i informacjach. Adam Michnik nigdy nie dostarczał mi tajnych, antypaństwowych czy jakichkolwiek innych informacji. Znam zarówno Michnika jak i jego przyjaciół. Są oni

i pozostaną moimi drogimi, osobistymi przyjaciółmi. Nasze stosunki ograniczały się jedynie do akademickich i prywatnych rozmów. Jestem gotowy publicznie świadczyć o niewinności Michnika przed sądem w Warszawie.

2. P. Żegota wyrządza wielką krzywdę młodym, polskim studentom, takim jak Szlajfer, Dajczgewand i innym, poprzez fałszywą interpretację ich własnych wypowiedzi. P. Żegota pisze, iż Szlajfer podawał sam w ankietach personalnych, że ma obywatelstwo polskie, ale jest narodowości żydowskiej. Chciałbym wiedzieć, jak P. Żegocie udało się uzyskać dostęp do personalnych ankiet, które są dostępne jedynie funkcjonariuszom MSW. P. Żegota stwierdza ponadto, że w klubie Babel, studenci Dajczgewand, Szlajfer, Bibrowski i inni wyraźnie stwierdzali, iż za swoją ojczyznę uważają Izrael, a nie Polskę. Te oświadczenia, jak pisze P. Żegota, były na ogół czytane z kartek.

Po pierwsze, jeżeli P. Żegota był obecny na zebraniach klubu, to to co stwierdził jest kłamstwem, gdyż studenci krytykowali jedynie politykę rządu i zawsze traktowali Polskę jako swoją ojczyznę. Po drugie, jeżeli P. Żegota kiedykolwiek był w klubie, to nikt tam nie słyszał o nazwisku Żegota. Liczba osób uczęszczających do klubu była tak mała, że wszyscy znali swoje nazwiska. Wynika z tego prosty wniosek, że to nazwisko jest pseudonimem i P. Żegota nie ma nawet odwagi podpisać tego artykułu pełnego nonsensów swoim prawdziwym nazwiskiem.

Jestem osobiście zdania, że P. Żegota jest ślepym narzędziem MSW i ponadto nie posiada dosyć inteligencji, aby poprawić nawet mniej ważne fakty. Dla informacji P. Żegoty: Michnik, Dajczgewand (a nie Dojczgewant) i Szlajfer, są tak doskonałymi mówcami, że nigdy nie wygłaszają deklaracji „na ogół czytanych z kartek”. Mogę równie dobrze dodać, iż zawsze znałem tych wszystkich studentów, którzy obecnie w więzieniu oczekują na rozprawę, tylko jako patriotycznych obywateli Polski i szczerych marksistów. Nigdy nawet nie odniosłem wrażenia, że byli oni, lub czuli się Żydami. Dopiero w marcu br. po raz pierwszy, po przeczytaniu artykułów w *Słowie Powszechnym*, *Życiu Warszawy*, *Trybunie Ludu*, *Żołnierzu Wolności* i w innych gazetach polskich, dowiedziałem się o tych haniebnych insynuacjach.

Jestem zaskoczony, że polska gazeta emigracyjna *Horyzonty* potrafiła tak się poniżyć, zamieszczając bezkrytycznie artykuł P. Żegoty, który jest jedynie odbiciem najbardziej krańcowych tendencji panujących obecnie w prasie polskiej.

Peter RAINA



Jacksonville, Ill., 1. X. 1968 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

Wobec pięknego hołdu, złożonego w ostatnim numerze *Kultury* pamięci Wacława Lednickiego, wybitnego uczonego i zasłużonego Polaka, zaskoczyło mnie zakończenie artykułu p. W. A. Zbyszewskiego pt. „Dwaj Lednicy”.

Mimo że dział *Straty kultury polskiej* wydaje się odnosić do strat chwili bieżącej, wolno p. Zbyszewskiemu podzielić się z okazji śmierci syna swymi wspomnieniami nie tylko o nim, ale i o jego ojcu, zwłaszcza iż odegrał on w życiu syna tak wybitną rolę. Wydaje mi się jednak, że gdy stwierdza

ex cathedra, że „syn był człowiekiem dużo mniej wybitnym od ojca”, że „był to człowiek wykształcony, kulturalny, płodny, pracowity, dobrze wychowany, *ale nic więcej*”*, nie tylko wyrządza krzywdę pamięci prof. Lednickiego, ale wykazuje brak logiki jako krytyk.

Na jakiejż bowiem podstawie dochodzi do takiego sądu, jakiego wspólnego mianownika używa do tej oceny? Czy obaj Ledniccy są oceniani z punktu widzenia ich osiągnięć „zawodowych” oraz reputacji, jaką im te osiągnięcia zapewniły, czy też stosowana jest do nich jakaś wspólna, przez p. Zbyszewskiego wypracowana, skala „wielkości” narodowej, której czytelnikowi w tym artykule nie wyjawia?

Sądzę, iż raczej to pierwsze, bo pisze, że Wacławowi Lednickiemu brakło „lwiego pazura”, że grzeszył rozwlekłością oraz „bładością” sądów. Nie pisze jednak nic o lwim pazurze Aleksandra Lednickiego. Trudno też uwagi jego brać poważnie, bo wyznaje otwarcie, że nie ma „najmniejszych kwalifikacji”, by zabierać głos na temat osiągnięć Wacława jako rusycysty, a była to przecież jedna z ważniejszych dziedzin jego specjalizacji w zakresie literatury porównawczej.

Wydaje mi się, że moglibyśmy już się nauczyć od tego Zachodu, z którym zawsze, a słusznie, się identyfikujemy, że ocena czyjegós dorobku naukowego należy do specjalistów w danej dziedzinie, niezależnie od tego z kogo dany uczony się urodził.

Jako socjolog, nie jestem powołany do oceniania Wacława Lednickiego — sławisty czy badacza literatury porównawczej. Ale widziałem, słyszałem i czytałem dosyć ludzi nauki, aby nie mieć wątpliwości, iż był to uczony o rozległej kulturze, o wielkiej erudycji, prawdziwy humanista, utalentowany pisarz i dobry mówca, nawet jeśli miał czasem skłonność do rozciągłości. Odejście jego jest dotkliwą stratą nie tylko dla kultury polskiej, ale także i dla sprawy popularyzacji wiedzy o kulturze i literaturze polskiej na Zachodzie, w czym położył niemałe zasługi.

Konstanty SYMONOLEWICZ-SYMONS
doktor filozofii

* Podkreślenia moje.



Panie Redaktorze!

Jak widać z reakcji Pana i Jego pisma, rozumie Pan aż nadto dobrze konieczność podwójnej reakcji ze strony wolnych Polaków na inwazję Czechosłowacji.

W pierwszym rządzie Polacy uczestniczą w ogólnym oburzeniu wszystkich cywilizowanych ludzi na świecie.

Ponadto Polacy czują się w obowiązku bardzo stanowczego odcięcia się od służalczego kroku Gomułki i innych sowieckich fagasów, którzy wystali „polskie” wojska na zajęcie Czechosłowacji wraz z wojskami sowieckimi, wschodnionieemieckimi itd.

Wolni Polacy winni wziąć czynny udział we wszelkich inicjatywach, mających na celu odcięcie się od Gomułki i uratowania dobrego imienia Polaków w świecie.

Jedną z akcji, podjętych przez przyjaciół Czechosłowacji jest bojkot krajów Paktu Warszawskiego na odcinku sportowym, szczególnie w odniesieniu do tegorocznych igrzysk olimpijskich.

O ile stanowisko to spotka się z uznaniem społeczeństwa polskiego w Australii, należy zastosować natychmiastowy bojkot Polskiego Komitetu Olimpijskiego, który i tak od wielu lat — i z dużym powodzeniem — wyciąga fundusze od wychodźstwa, które można byłoby znacznie lepiej zużytkować.

Propozycja ta WINNA BYĆ RÓWNIEŻ PRZEKAZANA WŁADZOM polonijnym innych krajów wychodźstwa, przede wszystkim St. Zjednoczonych i Kanady.

W nadziei, że Pan Redaktor poprze niniejszy apel i ogłosi go w swoim poczytnym piśmie, pozostajemy z poważaniem.

Za Związek Dziennikarzy R.P.
Syndykat Australia
R. KRYGIER, prezes
E. BAJKOWSKI, sekretarz
C. ŻÓRAWSKI, skarbnik

Powyższy apel został uchwalony w dniu 10 września przez zarząd Związku Dziennikarzy R.P. (Syndykat Australia).



Zamieszczamy poniżej tekst karty pocztowej adresowanej do Juliusza Mieroszewskiego, którą otrzymaliśmy 22. X. 68. Wysyłając tę kartę do nas i podając swój dokładny adres autor — Zbigniew Rewski — liczy niewątpliwie że to pomoże mu w „karierze”. Tekst ten publikujemy in extenso jako dokument obrazujący rezultaty polityki i propagandy PZPR.

REDAKCJA

Warszawa, 17. X. 1968.

„Juliusz Mieroszewski,
Instytut Literacki.

Przed laty czytywałem Pana artykuły w „Kulturze”, wydały mi się trzeźwe, oryginalne. Wczoraj przeczytałem „Polityczne neurozy”, ale tylko część środkową. Szkoda mi było na to czasu. Ani trafności sądów, ani wiedzy, ani błyskotliwości intuicji politycznego publicysty nie znalazłem. Niekonsekwentne przemyślenie i dreptanie bezradne w miejscu nad obojętnym a nawet wrogim dla Polski zagadnieniem, tzw. zjednoczonej Europy, które pod batem U.S.A., Izraela i N.R.F. równa się zawsze jedynie śmierci każdej i wszelkiej Polski! Kompletny zanik instynktu samozachowawczego. Zamiast dobrej rady — szkodliwość działania na rzecz uzbrojonego p-ko nam pangermanizmu, jakby doświadczenia 1939-45 nie istniały — i nie obowiązywały Polaka i do tego „polityka”? Chyba, że Mühlsteiny płacą jedynie za kolaborację ze spiskiem antypolskim izraelsko-germańsko-anglosaskim. Dla mnie najważniejsza i najaktualniejsza jest najwyższa gotowość militarna Polski do odparcia grożącej inwazji w realizacji jedynie słusznego sojuszu ze Zw. Radzieckim! NRF są nadal zbyt głupie i nikczemne, by nie sprowokowały III wojny światowej. Tylko po to są karmione i szczute przez U.S.A. Jedynie zniszczenie

Niemiec na ziemię spaloną oraz Izraela może stworzyć realną platformę do zjednoczonej Europy!!

Może spotkamy się na polach Grunwaldu gdzieś w spalonej na Wietnam Nadrenii, o czym marzę jako o odwecie za 1939 i udrękę w niewoli w Oflagu! Do Paryża nie tęsknię choć znam go od strony urbanistyki i architekt.-zabytkowej. Obrzydli mi doszczętnie zachodni kapitalistyczni zawodowi faryzeusze i ich handel żywymi narodami. Życzę im bomb atomowych na Londyn, New York i Tel-Aviv.

Rabinacki z kultury, pochodzący z Saksonii (XVI w.) de Gol zrobi to co mu każą „mocodawcy” — Rotschild i „Pompidou” oraz oportunistyczny utrzymywanie władzy.

Emigracja winna Polsce pomagać a nie szkodzić kolaboracją ze śmiertelnymi wrogami Izraelem, N.R.F. i U.S.A.

Zbigniew REWSKI, mgr.

Warszawa — 45

Kasprowicza 12 m. 30.”

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedyne pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec
UKAZUJĄCE SIĘ DWA RAZY TYGODNIOWO
RAZ W MIESIĄCU DODATEK LITERACKI

Redakcja, administracja, drukarnia:
6800 Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 309

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: 01-994-1860.



Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 387456.



Kanadyjski korespondent „Kultury”: Wacław IWANIUK
263 Keewatin Ave., Toronto 12, Ont. — Telefon: 481 93 63.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, 78-Maisons-Laffitte
Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Roman Krolikowski, 507 Westmorland, O'Reilly Road, Johannesburg	75 cent.	R 4,20	R 8,00
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc. 25.	5,00 F	28,00 F	54,00 F
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) Pty Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	\$ A 1,00	\$ A 5,35	\$ A 10,00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczubut, Wien I, Schönlatern-gasse Nr 5/2. Stiege/Türe 14		145 szyl. a.	280 szyl. a.
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app. 57, Bruxelles 3, Nr konta pocztowego 7315-20	60,00 F. b.	300.000 F. b.	560.00 F. b.
BRAZYLIA : Jerzy Pomian-Piatkowski, rua Guara 143, villa Pompeia, Sao Paulo. Tel. 62-0523.			
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	5,00 F.	26,00 F.	50,00 F.
HOLANDIA : Inz. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, tel.: 40-73, Postgiro 1379176.	4,00 Fl. h.	22,00 Fl. h.	41,00 Fl. h.
KANADA : M. Jaxa-Debiecka, Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto, Ont.; Krystyna Krakowska, 5109 Blvd de Maisonneuve O., Montreal 28, Que., Tel. : 488-5224; B. Krasuski, 857 King St. W., Toronto 3, Ont.; Rev. Donald Malinowski, 361 Burrows Ave., Winnipeg 4, Man., Tel. : 586-3825; Jozef Polkowski, 110 Cobourgh Str., apt. 301, Ottawa 2, Tel. : 233-7212; « ZWIAZKOWIEC », 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tel. : LE 1-2491.	1,50 \$ Can.	8,00 \$ Can	13,00 \$ Can.
NIEMCY : St. Mikicluk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1	4,50 DM	24,00 DM	46,00 DM
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss. ...	5,50 F.	28,00 F.	54,00 F.
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, 1211 Genève 7. Tél. : 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	4,75 F. s.	25,00 F. s.	48,00 F. s.
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm.	6,00 Kor.	30,00 Kor.	58,00 Kor.
U.S.A. : J. Bienkowski, 627 Tracy St. Utica, N.Y. 13502; S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; L. Dudarew-Ossetynski, 1603 N° Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046; S. Dzierczykowski, 2402 Cheremoya Av., Hollywood, Cal. 90028; M. K. Dziewanowski, 41 Katherine Rd., Watertown, Mass. 02172; Adam J. Galinski, 1727 Mass. Ave. N.W., Washington, D.C. 20036; T. Konopacki, 11839 Edgewater Dr., Lakewood, O. 44107, tel. LA-1-2305 ; Christian M. Kretowicz, 4477 Wilson Ave., San Diego, Cal., 92116; V.B. Kwast, 376, Wallingford Terr., Union, N.J. 07083; Polish Amer. Book Co 1136 Milwaukee Av., Chicago Ill. 60622; E. Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo N.Y. 14212; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia, Pa 19125; The Polish Book Importing Co., 410 Matchaponix Ave. Jamesburg, N. Y. 08831. R. J. Sas-Babczynski, 9530 East Rosecrans Ave, Bellflower, Cal. 90706, Tel. 867-1857; Jan Wojcik, 674 Farmington, Ave., New Britain, Conn. 06053; Jan Zych, 5515 Tarnow, Detroit, Mich 48210, Tel. : 899-5165.	1,25 dol.	7,00 dol.	12 00 dol.
W. BRYTANIA : P.C.A. Publications, Ltd., 20, Queen's Gate Terrace, London, S.W.7.	5,00 F	28,00 F	54,00 F
WLOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27 Tél. : 75-67-241	700 L	3.600 L.	7.000 L.

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty portu 2 F półrocznie i 4 F rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,35 F

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, 78-Mesnil-le-Roi,
par MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18.228-56

BIBLIOTEKI «KULTURY»

TOM 161 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT CZTERNASTY

Zawiera m.in. prace: K. Iranka-Osmeckiego: *Polacy i Żydzi 1939-1945*; T. Nowackiego: *Gen. Kazimierz Sosnkowski*; St. Biegańskiego: *Rozkaz Nr 19 gen. Sosnkowskiego i kryzys polityki polskiej*; R. Królikowskiego: *Operacja Polejump*; F. Kalinowskiego: *Lotnictwo polskie w bitwie o Atlantyk*.

Str. 240.

Cena egz. F. 15 (dol. 3,00)



TOM 162 — ANDREJ SACHAROW

ROZMYŚLANIA

o postępie, pokojowym współistnieniu
i wolności intelektualnej
(Seria „Dokumenty”)

Str. 46.

Cena egz. F. 4 (dol. 1,00)



TOM 163 — JERZY ANDRZEJEWSKI

APELACJA

Str. 112.

Cena F. 9 (dol. 2,25)



**SPECJALNY ZESZYT
« KULTURY »**

poświęcony wydarzeniom czechosłowackim

Str. 224.

Cena F. 7,50.

Cena 5,00 F